

WYDZIAŁ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Nowe drogi

9 (87)

WRZESIEŃ 1956

WYDZIAŁ PRACOWNICZY
w GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Nowe drogi

**ORGAN TEORETYCZNY I POLITYCZNY
KOMITETU CENTRALNEGO
POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ**

9 (87)

**ROK X
WRZESIEŃ 1956**

Składano i drukowano w Zakładach Graficznych RSW „Prasa“, Warszawa,
Al. Jerozolimskie 125. Nakł. 64 965. Zam. 2068. 10.IX.56 r, B-7-27997
Podpisano do druku 24.IX.56 r,

Niektóre dysproporcje sześciolatki w naszym przemyśle

Rezultaty trudnych lat 1949—1955 pozwalają spojrzeć wstecz z uczuciem słusznej dumy z tego, co zostało dokonane w naszym kraju. Przeobraziła się głęboko struktura gospodarki, a charakter pracy znacznej części wytwórców uległ prawdziwej rewolucji. Niemal $\frac{3}{4}$ dochodu narodowego wytwarza się w socjalistycznych kuźniach pracy. Prawie 2,5-krotny wzrost produkcji przemysłowej podniósł wyżej miejsce Polski w świecie, przybliżył nas do ekonomicznej czołówki starych potęg kapitalizmu. Pomniejszanie lub dyskredytowanie tego ogromnego dzieła przez wyolbrzymianie trudności i błędów, przez powoływanie się na to, czego nie zdołaliśmy osiągnąć, byłoby przysłowiowym widzeniem oddzielnych drzew, a nie lasu. Jeżeli zaś skupiamy uwagę na trudnościach i błędach, to czynimy to dlatego, żeby te trudności mniej nam dokuczały, żeby popełnione błędy się nie powtarzały, a przede wszystkim, żeby dalszy marsz naprzód nie był okupiony takimi ofiarami w bycie codziennym jak w minionych latach.

Za globalnymi wskaźnikami wzrostu gospodarki narodowej w 6-leciu kryje się nierównomierny rozwój jej poszczególnych gałęzi.

Jak wiadomo, najbardziej zasadniczą dysproporcją dotychczasowego okresu jest nienadążanie rolnictwa za potrzebami rozwoju przemysłowego kraju. Odnacza się ona swym szczególnym charakterem społecznym, związanym przede wszystkim z okresem przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu. Problemy, o których będzie mowa, wiążą się z tą podstawową nierównomiernością, stanowią jednak odrębną sferę zarówno ze względu na charakter przyczyn i źródeł, jakie je wywołały, jak i ze względu na drogi prowadzące do ich rozwiązania. Pominiemy również dysproporcje, jakie wytworzyły się w dziedzinie przemysłu grupy B, a skoncentrujemy uwagę na tych różnicach w rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu środków produkcji, które obok zbyt powolnego rozwoju rolnictwa w największym stopniu ograniczyły efekty ekonomiczne 6-lecia.

Bogaci w doświadczenia 6-latki rozumiemy już dziś, że jedną z zasadniczych przyczyn niepełnego wykorzystania potencjału produkcyjnego, istniejącego na początku planu i stworzonego w toku jego wykonania, jest niedostateczny rozwój bazy surowcowo-energetycznej oraz w dużej mierze z tym związane nabrzmiałe problemy zaopatrzeniowe przemysłu.

Dysproporcje pomiędzy bazą surowcowo-energetyczną a możliwościami wytwórczymi przemysłu oraz dysproporcje wewnątrz przetwórczych gałęzi przemysłu są również jedną z najistotniejszych przyczyn niepełnego wyku-

rzystania rąk ludzkich, istnienia nieproduktywnych rezerw siły roboczej, hamulcem wzrostu wydajności pracy.

Namie łatwo jest ująć statystycznie rozmiary i skutki tych dysproporcji. W ich istocie i treści mieści się bowiem zbyt duża liczba elementów o różnorodnym i nieporównywalnym charakterze. Nie przeprowadzono dotychczas analizy tych elementów, zwłaszcza według poszczególnych gałęzi wytwórczości. Dlatego w syntetycznym zarysie ograniczyć się trzeba do uchwycenia kilku spośród tych elementów.

Przyda się tu porównanie osiągniętego w 6-leciu *średniego rocznego tempa wzrostu* produkcji hutniczej z tempem wzrostu produkcji przemysłu maszynowego — jednego z głównych odbiorców metalu.

Przyrost produkcji hutniczej był bardzo duży. Jej średnio-roczone temp. wzrostu w latach 1950—1955 w procentach wskazują następujące liczby:

surówka przelicznio	14,4
stal surowa	11,5
wyroby walcowane	11,3
cynk	6,3
olów rafinowany	8,0
miedź	13,7

Ponadto w 1954 r. uruchomiono produkcję aluminium w oparciu o importowany tlenek glinu i w 1955 r. osiągnięto 20,4 tysiąca ton tego cennego metalu.

Tempo wzrostu produkcji przemysłu maszynowego było jednak znacznie szybsze. Pomijamy tu wskaźnik wzrostu produkcji globalnej w tym przemyśle, gdyż jest on obciążony szczególnie wielkim błędem, wynikającym z wielokrotnego liczenia przerabianej kolejno w różnych przedsiębiorstwach produkcji (rozbudowana kooperacja) i stosowania niewłaściwych cen niezmiennych wyrobów wprowadzonych do produkcji w ti-latace.

Srednie roczne tempo wzrostu produkcji niektórych wyrobów metalowych było w latach 1950—1955 następujące:

kotły wodnorurkowe (poza okrętowymi) — w tonach pary/godz.	38,5 ⁰ / ₀
turbiny parowe energetyczne — w MW	86,0 ⁰ / ₀
obrabiarki do obróbki wiórowej metali — w sztukach	26,4 ⁰ / ₀
„ „ „ „ „ w tonach	16,1 ⁰ / ₀
maszyny włókiennicze w milionach złotych wg cen niezmiennych	22,9 ⁰ / ₀
maszyny i urządzenia dla przemysłu papierierniczego — w tonach	130,0 ⁰ / ₀
ciągniki — w sztukach	21,4 ⁰ / ₀
samochody ciężarowe — w sztukach	92,0 ⁰ / ₀
„ „ osobowe — w sztukach	36,6 ⁰ / ₀
statki pełnomorskie powyżej 100 DWT — w tys. DWT	65,0 ⁰ / ₀
łożyska toczne — w tys. sztuk	43,6 ⁰ / ₀

Wymieniono tu tylko niektóre metalochłonne wyroby. Tempo wzrostu produkcji wielu innych było niemniejsze, a nawet znacznie większe. Do nich zaliczyć trzeba cały przemysł obronny, pochłaniający w ubiegłych latach wielkie ilości metali. Nie wymieniliśmy również tych wyrobów, których produkcję rozpoczęło w 6-leciu, a jest ich liczba bardzo znaczna.

Można więc powiedzieć, że tempo wzrostu produkcji przemysłu maszynowego było o wiele większe od przemysłu hutniczego. Trzeba przy tym zaznaczyć, że tempo to opierało się na *pokrytym* zapotrzebowaniu na metale; mogłoby być jeszcze większe, gdyby w szerszym zakresie zaspokajano potrzeby surowcowe przemysłu maszynowego. W tym właśnie tkwi istota zagnienienia.

Moce wytwórcze przemysłu maszynowego są niedostatecznie wykorzystywane, rzecz prosta, nie tylko z powodu braku wystarczającej ilości odpowiednich materiałów. Ale nie ulega wątpliwości, że zaopatrzenie materiałowe odgrywa obecnie rolę zasadniczą, w wielu wypadkach decydującą o intensywności pracy tego przemysłu. Wskaźnik zmianowości w przemyśle maszynowym wynoszący 1,2 sam przez się świadczy już o ilości czasu, przez który maszyny i urządzenia stoją bezczynnie. Wskaźnik ten obejmuje przy tym także „zmiany“, występujące zwłaszcza w początkowych tygodniach miesiąca, w których faktycznie pracuje się na pół lub ćwierćobrotach, w których robotnicy marnują swój czas roboczy. Znaczna liczba przedsiębiorstw przemysłu maszynowego pracuje wykorzystując zaledwie 30—50% swoich mocy wytwórczych. Należy do nich kilkanaście największych naszych zakładów.

Tempo wzrostu produkcji wyrobów metalowych, które podaliśmy poprzednio, zostało osiągnięte (w warunkach znacznie wolniejszego tempa wzrostu produkcji metali) na skutek niewielkiego wzrostu zużycia lub stagnacji zużycia metali w tak ważnych gałęziach, jak: zaopatrzenie rolnictwa, przemysł taboru kolejowego, transport kolejowy, częściowo budownictwo, przemysł chemiczny i inne. Prymat zaopatrzenia w metale przemysłu maszynowego i obronnego był słusznym i koniecznym założeniem, ale tym ostrzejsze były braki w innych gałęziach. Jest to jeszcze jeden z aspektów tej dysproporcji.

Dla scharakteryzowania dysproporcji pomiędzy bazą surowców metalowych a produkcją wyrobów metalowych należy jeszcze dodać, że o ile produkcja przemysłu maszynowego osiągnęła na ogół — eliminując nawet błąd wynikający z rozbudowanej kooperacji — wskaźniki założone w Planie Sześcioletnim (jeśli uwzględni się zwłaszcza asortymenty nie przewidziane w pierwotnym planie), to hutnictwo nie wykonało w pełni zadań ustalonych w planie. Produkcja surowki przeliczniowej osiągnęła w 1955 roku w stosunku do planu 88,7%, stali surowej 96,7%, wyrobów walcowanych 94,7%. Plan produkcji w ciągu sześciu lat również nie został wykonany. Jest to cały łańcuch wzajemnych zależności, których podstawę stanowi brak dostatecznej ilości wsadu.

Bardzo dotkliwe dla gospodarki narodowej były niedobory w stali jakościowej. Udział jej w ogólnej produkcji stali wynosił 12,6% wobec planowanych 15%. Główną tego przyczyną było opóźnienie budowy Huty „Warszawa“, która miała w 1955 r. osiągnąć produkcję 100 tys. ton, faktycznie zaś będzie uruchomiona dopiero w obecnej pięciolatce.

Produkcja metali nieżelaznych osiągnęła w 1955 r. w stosunku do zadań 6-letki następujący poziom: cynku 79,0%, ołowiu rafinowanego 89,1%, miedzi 51,5%.

Jedną z najważniejszych dziedzin naszej bazy surowcowej jest wielkość produktów przemysłu chemicznego. Produkty te są przeważnie surowcami zużywanymi przez ten przemysł bądź są ważnymi półproduktami

dla innych dziedzin gospodarki (nawozy sztuczne, wyroby lakiernicze, tworzywa sztuczne, włókna sztuczne, wyroby gumowe, barwniki itd.).

Nie wykonaliśmy ważnego zadania, które postawiliśmy w ustawie o Planie Sześcioletnim: stworzenia z przemysłu chemicznego drugiego po węglowym przemysłu narodowego. Rozwiązanie jednego z najważniejszych zagadnień rozwoju przemysłu chemicznego, tj. zapewnienie należytego wzrostu bazy surowców mineralnych — było wyraźnie upośledzone w podziale inwestycji dla przemysłu.

Zadania 6-latki dotyczące przeważającej ilości podstawowych produktów w przemyśle chemicznym nie zostały wykonane pomimo dużego tempa wzrostu ich produkcji.

Przemysł chemiczny rozwijał się w ubiegłym 6-leciu znacznie szybciej niż inne gałęzie przemysłu i jego udział w produkcji przemysłowej wzrósł w znacznym stopniu. Uruchomiono produkcję ponad 600 wyrobów nie wytwarzanych w Polsce przed wojną. A jednak dał się odczuć brak wielu podstawowych asortymentów dla potrzeb gospodarki narodowej, co sprawiło, że przemysł chemiczny był jednym z głównych hamulców pełniejszego wykorzystania mocy produkcyjnych takich ważnych dziedzin, jak przemysł włókienniczy, samochodowo-traktorowy, a zwłaszcza rolnictwo. Przemysł chemiczny nie dostarczał znacznie większych ilości zaplanowanych produktów i materiałów potrzebnych do podniesienia spożycia artykułów masowego użytku, hamował postęp techniczny i wzrost oszczędności w zużywaniu deficytowych produktów przez przemysł ciężki, a zwłaszcza przez przemysł maszynowy (aparatura, elektrotechnika).

Zacofanie nasze w produkcji niektórych ważnych asortymentów chemicznych jest tym większe, że dzisiaj rozmiary ich wytwarzania przypadające na głowę ludności uważa się za wskaźnik poziomu ekonomicznego o niemal takim samym znaczeniu, jakie ma wskaźnik produkcji stali czy energii elektrycznej. Chodzi tu zwłaszcza o produkty syntezy organicznej, których produkcja znajduje się u nas na poziomie nie pozwalającym nawet na przeprowadzenie porównań międzynarodowych, gdyż to, co zaledwie zaczynamy robić, jest już gdzie indziej potężną gałęzią wytwórczości.

Jednym z najważniejszych elementów dysproporcji Sześciolatki jest niedoładanie tempa wzrostu produkcji materiałów budowlanych za potrzebami budownictwa. Co do większości asortymentów nie osiągnęliśmy poziomu wyznaczonego w Planie Sześcioletnim. Udział Polski w światowej produkcji cementu, głównego materiału, od którego zależy postęp techniczny w budownictwie, nie wykazuje wydatniejszego wzrostu w porównaniu z okresem przedwojennym, pomimo prawie trzykrotnego wzrostu w 1955 r. produkcji na głowę ludności w porównaniu z 1938 r. Jest to przypadek wyjątkowy w całym wachlarzu produkcji naszego przemysłu, wymagający jednak podkreślenia.

Słabość bazy produkcyjnej materiałów budowlanych wyrządziła szczególnie dotkliwe straty w działalności inwestycyjnej wielkiego przemysłu, zahamowała procesy inwestycyjne w rolnictwie i stała się główną przyczyną niedostatecznego, niewspółmiernego do potrzeb mieszkaniowych rozwoju budownictwa mieszkaniowego.

Z 6-latki wychodzimy również z nie nadążającą za potrzebami przemysłowymi bazą paliwowo-energetyczną.

Główny nasz przemysł — górnictwo węglowe — wykonał niemal w pełni zadanie Planu Sześcioletniego (w ciągu całej 6-letki wykonano plan wydobycia węgla kamiennego w 99,1%, w 1955 r. osiągnięto natomiast tylko 94,5% planu na ten rok). Należy jednak stwierdzić, że osiągnięty przyrost produkcji w wysokości 27,5% — w porównaniu z przyrostem produkcji innych wyrobów przemysłowych w skali 100—150% — w warunkach technicznego zacofania większości węglochłonnych gałęzi gospodarki był zbyt niski. Stało się to jedną z głównych przyczyn deficytu energii w przemyśle, bolesnych cięć w eksporcie węglowym, braków w zaopatrzeniu ludności.

Wydobycie ropy naftowej osiągnęło w 1955 r. 45,1% poziomu zaplanowanego na ten rok w Planie Sześcioletnim. Przyczyniło się do tego stanu przede wszystkim zaniedbanie poszukiwań geologicznych (36,4% planu metrażu odwierceń) i minimalne nakłady inwestycyjne na eksploatację złóż. W rezultacie wydobycie ropy pokrywa zaledwie 10% zapotrzebowania krajowego.

Wydobycie gazu ziemnego osiągnęło w 1955 r. 81,9% poziomu zaplanowanego na ten rok w Planie Sześcioletnim.

W wytwarzaniu energii elektrycznej dokonaliśmy w 6-leciu wielkiego skoku naprzód. Produkcja wzrosła z 8 300 mln. kWh w 1949 r. do 17 745 mln kWh w 1955 r. (213,6%). Produkcja energii rosła więc znacznie szybciej niż ogromnej większości głównych asortymentów przemysłowych.

Produkcja energii elektrycznej wyniosła jednak w 1955 r. tylko 91,9% poziomu planowanego na ten rok, a roczne przyrosty produkcji (13,5%) są o wiele za małe w zestawieniu z rosnącymi potrzebami gospodarki narodowej. W innych krajach przyrost produkcji energii elektrycznej wyprzedza przyrost produkcji przemysłowej w szybszym tempie niż u nas.

Niedobór mocy (w latach 1952—53 — od 100 do 150 MW rocznie) powodował przesunięcie pracy w zakładach z drugiej zmiany na trzecią, przyczyniał się do chorobliwego wzrostu liczby godzin nadliczbowych oraz do zmniejszenia przyrostów produkcji szeregu ważnych artykułów.

Zapotrzebowanie na energię elektryczną, które nie zostało pokryte, wynosiło w poszczególnych latach:

1952	—	166,8	mln. kWh
1953	—	48,0	„ „
1954	—	142,0	„ „
1955	—	82,0	„ „

Skoro zaś nie zdołano pokryć zapotrzebowania na energię nawet przy tym niedostatecznym wzroście elektryfikacji procesów produkcyjnych, jaki osiągnęliśmy w 6-leciu, to szybszy marsz naprzód w tej podstawowej dziedzinie postępu technicznego przemysłu był w ogóle niemożliwy, był z góry ograniczony przez brak rozporządzalnych mocy. Przy wprowadzeniu nowych urządzeń i procesów zużywających energię elektryczną trzeba się było liczyć z deficytem energii. Wiele gałęzi przemysłu musiało wręcz ograniczyć poziom produkcji.

Po tym najogólniejszym przedstawieniu obrazu dysproporcji pomiędzy bazą surowcowo-energetyczną a możliwościami wytwórczymi przemysłu zastanówmy się nad głównymi przyczynami tego stanu rzeczy.

Stwierdzimy od razu, że pierwszą zasadniczą przyczyną niedostatecznego rozwoju bazy surowcowej i energetycznej było, naszym zdaniem, skierowanie w minionym okresie olbrzymich środków na inwestycje i produkcję w przemyśle obronnym.

Można śmiało powiedzieć, że w okresie co najmniej 3 lat spośród ubiegłego 6-letnia gospodarka nasza miała charakter ekonomiki półwojennej, ze wszystkimi konsekwencjami takiej gospodarki. Należy przy tym uwzględnić ogólny poziom gospodarki narodowej. W kraju o bardzo wysokim poziomie uprzemysłowienia podobny udział wydatków na obronę nie wpłynąłby tak głęboko na ukształtowanie proporcji gospodarki narodowej, na deformację proporcji pomiędzy przemysłem a rolnictwem, pomiędzy surowcowymi a przetwórczymi gałęziami przemysłu, pomiędzy wzrostem globalnej produkcji a wzrostem spożycia itd. jak w kraju, który dopiero buduje podstawowe dziedziny wielkiego przemysłu. Nie ulega jednak wątpliwości, że zdobyczą 6-letnia jest właśnie zbudowanie od podstaw tego przemysłu o podstawowym ogólnonarodowym znaczeniu. Bez podkreślenia tego faktu wszelkie refleksje na temat Planu Sześcioletniego będą zawieszane w próżni.

Nie cofajmy się jednak przed przyznaniem, że ciężar wysiłków obronnych przynajmniej w owych 3 latach stał się zasadniczą przyczyną dysproporcji gospodarczych i w rezultacie przyczynił się w wysokim stopniu do niewykonania naszych zamierzeń w dziedzinie wzrostu stopy życiowej.

Poziom inwestycji, w skrócie mówiąc, „cywilnych“ został obniżony na rzecz inwestycji w przemyśle obronnym. Wzrost produkcji asortymentów przemysłu cywilnego ograniczono na rzecz szybszego wzrostu asortymentów na potrzeby obronne. Surowce, materiały pomocnicze i energia były rozdzielane z preferencjami dla przemysłu obronnego. Wszystko to prawda. Ale otwarte pozostaje jeszcze zagadnienie, czy rozmiary, podział i sposób wykorzystania środków inwestycyjnych, które przeznaczaliśmy na rozwój gospodarki narodowej, były prawidłowe? Jakie błędy popełniono w tej dziedzinie niezależnie od obiektywnych możliwości i konieczności ubiegłego okresu? W jaki sposób błędy te wpłynęły na pogłębienie dysproporcji rozwojowych wewnątrz przemysłu?

Jak wiadomo, plan inwestycyjny 6-latki pod względem finansowym nie został w pełni wykonany. Nie zbudowano dużej liczby obiektów, które miały być uruchomione. Budowy niektórych obiektów w ogóle zaniechano, budowę innych rozpoczęto później i ciągnęła się ona dłużej niż planowano, wreszcie gdzie indziej przerywano inwestycje rozpoczęte lub przesunięto terminy oddania ich do użytku na lata następne. Innymi słowy — plan inwestycyjny był zbyt napięty lub wręcz nierealny. Pociągnęło to za sobą daleko idące następstwa w kształtowaniu się proporcji gospodarki narodowej, wzrostu spożycia klasy robotniczej i dochodów chłopstwa, sprzyjało wypaczeniom socjalistycznych metod kierownictwa gospodarczego.

Mówiąc o nadmiernym napięciu planu inwestycyjnego nie możemy jednak stanąć na oportunistyczno-kapitulanicznym stanowisku negującym konieczność szybkiego rozwoju przemysłu ciężkiego, a więc i konieczność ogromnego wysiłku inwestycyjnego. To, co zbudowaliśmy, budzi podziw

I uznanie naszych przyjaciół, a znaczenie dokonanej pracy podkreślają nawet wypowiedzi naszych niewątpliwych wrogów. Wielkie budownictwo przemysłowe było konieczną, historyczną racją stanu narodu polskiego i już dziś stało się trwałą zdobyczą ojczyzny. Taki kraj jak np. Czechosłowacja mógł w oparciu o odziedziczone siły wytwórcze uzyskiwać wielkie przyrosty produkcji przemysłowej bez konieczności ponoszenia ofiar hamujących wzrost bieżącego spożycia w takich rozmiarach, jakie miały miejsce u nas. Dlatego wytykając jak najostrzej przesadę i nierealność programu inwestycyjnego, zwłaszcza w pierwszych latach Planu Sześcioletniego, nie tracimy z oczu tego wielkiego sensu, który nami kierował, którego słuszość sprawdziła się mimo wszystkich trudności w rzeczywistości dnia dzisiejszego. Zwróćmy uwagę na te właśnie błędy w inwestowaniu produkcji surowcowej, które niezależnie od obiektywnych warunków pogorszyły w rezultacie sytuację zaopatrzeniową przemysłu.

Na niedostatecznym rozwoju bazy surowcowo-energetycznej zaważyło z jednej strony przesunięcie części środków inwestycyjnych, potrzebnych do jej rozwoju, na rzecz przemysłu obronnego i urządzeń obronnych, a z drugiej strony przeznaczenie stosunkowo zbyt małych środków na realizację planowanych obiektów i mocy wytwórczych. Faktyczne nakłady były z reguły znacznie większe od planowanych. Niezależnie od przesunięć w programie inwestycyjnym dokonanych w związku ze zmianami w sytuacji międzynarodowej już w samym Planie Sześcioletnim tkwiła dysproporcja pomiędzy bazą surowcowo-energetyczną a mocami wytwórczymi przemysłu. Zbyt optymistycznie liczone na przyrosty zdolności produkcyjnych bazy surowcowej przy takim poziomie środków, jakie przewidziano w planie (podobny grzech, choć w jeszcze większym stopniu, popełniono wobec rolnictwa: środki inwestycyjne planowane na zapewnienie 50% wzrostu produkcji rolnej były o wiele za małe; nie zostały zresztą — nawet w tak małej skali jak planowano — wykonane).

Co było przyczyną i jakie były skutki zbyt nisko szacowanych kosztów inwestycji surowcowych?

Na początku 6-latki nie byliśmy organizacyjnie i kadrowo przygotowani do prowadzenia wielkich budowli przemysłowych. Przytłaczająca większość kadr w biurach projektowych nie miała doświadczenia odpowiadającego zadaniom, jakie przed nimi stały. Przygotowanie ich miało charakter chałupniczy, wywodzący się z bardzo ograniczonej praktyki inwestycyjnej Polski kapitalistycznej. Przy wznoszeniu nielicznych wielkich obiektów w przeszłości (przeważnie jeszcze przed pierwszą wojną światową) korzystano z doświadczenia specjalistów zagranicznych. Brak było elementarnego orientowania się w samym programowaniu inwestycji. Dokumentacja techniczna wielkich inwestycji 6-lęcia pochodząca w większości od zaprzyjaźnionych sąsiadów, zwłaszcza ze Związku Radzieckiego, nie mogła przecież w pełni uwzględnić specyfiki technicznej, a tym bardziej warunków ekonomicznych wielkiego budownictwa w naszym kraju. Należało to do naszych inżynierów i ekonomistów, którzy swoją szybko uzupełnianą teoretyczną wiedzę czerpali często ze źródeł dotyczących odmiennych warunków zagranicznych (czasem tylko z literatury technicznej). W tej sytuacji przy opracowywaniu kosztorysów obiektów nie opierano się w dostatecznym stopniu na realnym rachunku potrzeb, efektywności i głębszym przemysleniu sposobów realizacji.

Szczególnie wielką cenę za tę jedyną w swoim rodzaju naukę płaciły inwestycje surowcowe. Wynikało to ze słabości geologii najważniejszych kopalin. Plany geologicznego udokumentowania zostały wykonane w niewielkiej tylko części. Mówią o tym następujące dane:

Kopaliny	Plan udokumentowania w mln ton	Wykonano udokumentowanie w mln. ton	% wykonania
Węgiel kamienny	12,950	5,096	39
Węgiel brunatny	2,380	0,056	2,3
Ropa naftowa	28,8	1,9	6,9
Gaz ziemny (mln. m ³)	24,650	3,464	14
Rudy żelaza	143,3	138,0	97
Rudy miedzi	300	24,5	8,1
Rudy cynku i ołowiu	65	69	106
Fosforyty	18	10,9	60,5

(dane PKPG)

Oprócz tego złoża odkryte i udokumentowane geologicznie wykazywały z reguły mniejsze zasoby niż oczekiwano. Zwłaszcza rudy cynku, ołowiu i miedzi wykazywały niższą zawartość metali w porównaniu z planowanymi.

Szczególnie pozostawały w tyle perspektywiczne prace geologiczne, przyczyniając się w niemałej mierze do niesłusznych decyzji rejonizacyjnych i lokalizacyjnych inwestycji kopalnianych. Prace nad udokumentowaniem złóż przeciągały się daleko poza planowane terminy. Budowy rozpoczynano więc nieraz bez należytego udokumentowania, co przysporzyło wiele strat w inwestycjach.

Niedocenianie trudności i kosztów związanych z nowym, wielkim budownictwem spowodowało:

1) konieczność dofinansowywania jednych, najważniejszych inwestycji w toku budowy, co dezorganizowało wykonywanie robót i podnosiło ich koszty;

2) ograniczanie środków dla innych inwestycji, co przesunęło termin oddania ich do użytku, lub konieczność całkowitego przerywania budowy i w efekcie zamrażanie na wiele lat poważnych środków.

Inwestycje np. w Nowej Hucie były wielokrotnie dofinansowywane ponad projektowane limity na sumy wielu setek milionów zł. W 1955 r. dofinansowano inwestycje węglowe na sumę 500 mln zł (33% pierwotnie przyznanego limitu finansowego). To samo działo się z reguły na wszystkich wielkich budowach.

Do tych faktów dodamy jeszcze, że globalne zmniejszenie środków inwestycyjnych w porównaniu z planowanymi było w surowcowych gałęziach nagminne. Np. w górnictwie węglowym planowano w 6-leciu nakłady w wysokości 12,290 mld zł, otrzymano zaś faktycznie 9,705 mld zł.

Pierwszym więc błędem, który zaciążył na powstaniu omawianej dysproporcji, była nierealna ocena rzeczywistych kosztów i trudności związanych z rozwojem produkcji surowców.

Drugim, bodajże jeszcze ważniejszym błędem było założenie fałszywych proporcji pomiędzy nowowznoszonymi obiektami a rozbudową, rekonstrukcją i modernizacją obiektów już istniejących.

O głębokiej rozbieżności pomiędzy nakładami na nowowznoszone obiekty a nakładami na rekonstrukcję starych obiektów świadczą następujące dane o dynamice wykonania inwestycji (ceny 1955 r.):

	1950	1951	1952	1953	1954	1955
Nakłady inwestycyjne limitowe ogółem w mld. zł	19,6	23,7	27,6	32,6	34,2	34,4
wskaźnik	100	121	141	166	174	175
Nakłady na roboty budowlano-montażowe w mld. zł	11,7	15,8	18,1	21,0	20,4	19,8
wskaźnik	100	135	155	180	175	170
Nakłady na zakup maszyn, urządzeń i inwentarza w mld. zł	5,9	5,8	7,2	8,6	10,2	10,7
wskaźnik	100	99	123	151	173	181
Nakłady inne w mld. zł	2,0	2,1	2,3	3,0	3,6	3,8
wskaźnik	100	102	111	135	173	187

(dane GUS)

Należy zwrócić uwagę na to, że do 1953 r. nakłady na roboty budowlano-montażowe rosły znacznie szybciej (wskaźnik 180) niż nakłady na maszyny i urządzenia (wskaźnik 151). W następnych dwóch latach proporcje te zostały poprawione, nie na tyle jednak, aby dojść do bardziej prawidłowego układu założonego w Planie Sześcioletnim. Podczas gdy plan robót budowlanych został przekroczony, to plan nakładów na maszyny i urządzenia nie został w pełni wykonany. Takie proporcje w wykonaniu planu inwestycyjnego, w warunkach wspomnianej wyżej efektywności nakładów rekonstrukcyjnych, odbiły się dotkliwie na stopniu wykorzystania globalnych środków, dały mniejsze wyniki, jeśli chodzi o przyrosty produkcji, niż można było osiągnąć, prowadząc inną politykę inwestycyjną, i przyczyniły się w decydującym stopniu do pogłębienia deficytu materiałów budowlanych.

Przytoczone dane obejmują zarówno inwestycje w przemyśle surowcowo-energetycznym, jak i w przemyśle przetwórczym. Interesujące nas kierunki inwestycyjne tej pierwszej grupy przemysłu obciążone jednak były w wysokim stopniu tym wykrzywieniem proporcji nakładów. Najbardziej typowo błąd ten ujawnił się bowiem w hutnictwie żelaza, pochłaniającym ogromną część nakładów inwestycyjnych przemysłu. Przyrosty produkcji hutniczej w starych zakładach, uzyskane dzięki dobudowaniu nowych jednostek oraz rekonstrukcji dawniej zbudowanych i intensyfikacji procesów produkcyjnych, okazały się niespodziewanie wielkie, ekonomicznie efektywne i kosztujące stosunkowo niewiele. Budowa zaś nowych obiektów okazała się o wiele kosztowniejsza, dłużej trwała i dawała mniejsze przyrosty produkcji niż oczekiwano. Ogromna większość uzyskanych przyrostów produkcji pochodziła ze starych zakładów, a inwestycje w tych zakładach były mniejsze niż inwestycje na zakłady nowe. Gdyby więc środki, które przeznaczaliśmy na rozwój hutnictwa żelaza, skierowane były w większym stopniu do zakładów dawniej zbudowanych, można byłoby uzyskać jeszcze większe efekty produkcyjne niż otrzymaliśmy, a deficyt wyrobów hutniczych dałby się nam mniej we znaki.

Mówiąc o kosztach i trudnościach wielkich inwestycji nie zapominajmy, że nie podobna ich w ogóle uniknąć w budownictwie gospodarczym. Odnosi

się to zwłaszcza do kraju o niewielkim poziomie uprzemysłowienia, jakim byliśmy na początku 6-latki. Odnosi się to tym bardziej do wielkich inwestycji w surowcowych gałęziach gospodarki. Znajomość zasobów rodzimych surowców, stopień ich wykorzystania i rozmieszczenie eksploatacji świadczą same przez się o drodze, jaką przeszliśmy w ujarzmieniu sił przyrody dla potrzeb człowieka. Skoro zaś decydowaliśmy się na wszechstronne rozwijanie krajowej produkcji surowców, nie podobna było całkowicie zrezygnować z nowych, wielkich zakładów. A właśnie inwestycje dotyczące nowych obiektów surowcowego charakteru są najbardziej kosztowne, często niepewne w swoich rezultatach, trwają najdłużej, nie przynoszą przez długie lata żadnych korzyści, wyciągają ogromne siły z całej gospodarki narodowej. Dlatego przy podejmowaniu decyzji o tego rodzaju inwestycjach potrzebne jest szczególnie wielkie doświadczenie, znajomość technicznych i ekonomicznych warunków produkcji i zapewnienie możliwości wyboru między wieloma wariantami (dotyczy to także handlu zagranicznego). Niedostatek tego wszystkiego dawał się mocno odczuć w latach ubiegłych.

Trzecim błędem w dziedzinie inwestycji surowcowych, wynikającym częściowo z poprzednich, było nadmierne rozproszenie nakładów i zbyt szeroki front robót. Wobec braku dostatecznych środków materiałowych, finansowych i kadr — prowadziło to do jednoczesnego budowania i instalowania dużej liczby obiektów, których wykonanie trwało bardzo długo. Błędy tego typu występowały w znacznym nasileniu powodując nieproduktywne zamrożenie środków. Np. w przemyśle chemicznym działalnością inwestycyjną objęto prawie 90% wszystkich zakładów. W samym planie założono powiększenie produkcji wszystkich niemal asortymentów chemicznych w skali 200 — 300%. Błędem było nieskoncentrowanie wysiłków w celu rozwoju decydujących, najbardziej ekonomicznie efektywnych i potrzebnych w gospodarce narodowej rodzajów produkcji chemicznej (np. nawozy sztuczne, produkty syntezy organicznej). Koncentracja nakładów dotyczyła tylko obronnych asortymentów tego przemysłu.

Oprócz wyżej wymienionych błędów dotyczących polityki inwestycyjnej, błędów raczej szczebla centralnego, ponosiliśmy straty również w wykonywaniu budownictwa obiektów surowcowych. Pisano i pisze się na ten temat dosyć dużo, tę stronę zagadnienia tutaj pomijamy.

Przyczyną niepełnego wykorzystania mocy wytwórczych w przemyśle oprócz braków w zaopatrzeniu surowcowo-energetycznym jest również niedostateczne skoordynowanie zdolności produkcyjnych wewnątrz poszczególnych gałęzi. Inaczej mówiąc, obok dysproporcji pomiędzy surowcowymi a przetworczymi gałęziami produkcji wytworzyły się dysproporcje pomiędzy zależnymi od siebie kolejno przerabianymi rodzajami produkcji. W przeważającej liczbie wypadków dysproporcje te występują pomiędzy możliwościami wytwórczymi zakładów wytwarzających półprodukty lub części gotowych produktów (grup zakładów, oddziałów produkcyjnych itp.) a możliwościami zakładów wytwarzających produkt gotowy.

Pominiemy tu opisywanie błędów kooperacji wynikających po prostu ze złej organizacji lub niedostatecznego zainteresowania materialnego przedsiębiorstw, załóg itd. w wykonywaniu dostaw kooperacyjnych, chociaż ta strona zagadnienia ma bardzo duże znaczenie.

Natomiast zatrzymamy się krótko na tych brakach, które wynikają z nierównomiernego rozwoju zdolności produkcyjnych i są obecnie w du-

łym stopniu hamulcem wzrostu produkcji niezależnym od samej załogi i administracji gospodarczej.

Na pierwszy plan wysuwają się dysproporcje wewnątrz przemysłu maszynowego.

Jak wspominaliśmy, wykorzystanie zdolności produkcyjnych przemysłu maszynowego jest bardzo niskie. Ilustruje to choćby wskaźnik rytmiczności produkcji osiągany w przemyśle maszynowym. W pierwszej dekadzie wykonuje się mianowicie zaledwie kilka lub kilkanaście procent produkcji miesięcznej. W drugiej dekadzie miesiąca wykonuje się 10 — 30%, a w dekadzie trzeciej aż 50 — 70% produkcji miesięcznej. Nie trzeba uzasadniać, jakie marnotrawstwo kryje się za tymi wskaźnikami. Rzecz prosta, powodem tego jest zła organizacja produkcji w zakładach i zła organizacja kooperacji pomiędzy zakładami. Nie ulega jednak wątpliwości, że braki i napięcia w zaopatrzeniu w surowce, półprodukty, części, zespoły itd. mają zasadniczy wpływ na ukształtowanie się tak fatalnej rytmiczności i niski stopień wykorzystania mocy produkcyjnych w ogóle. Wewnątrz przemysłu maszynowego wytworzyły się „wąskie gardła” hamujące rozwój całości gałęzi i mające niemalże wpływ na inne dziedziny gospodarki narodowej. Stały się one przyczyną ustalania zbyt niskich normatywów zapasów części i materiałów potrzebnych do produkcji, trudności w utrzymaniu choćby tych niskich normatywów, a więc przyczyną braku elementów niezbędnych do produkcji.

Jednym z najważniejszych hamulców w rozwoju produkcji maszyn i urządzeń jest słabość w dostawach kooperacyjnych elektrotechniki. Wyposażenie elektrotechniczne jest dziś najważniejszym składnikiem nowoczesnych narzędzi wytwórczych. Chodzi tu o silniki elektryczne do wysokoobrotowych maszyn, elektryczne przyrządy kontrolne, urządzenia elektryczne do środków transportowych itd. Zwiększenie eksportu produkcji maszynowej jest utrudnione m. in. właśnie na skutek niskiego poziomu jej wyposażenia w urządzenia elektryczne.

Jak wiadomo, w technologii produkcji maszyn, urządzeń i wyrobów metalowych w ogóle dominuje od wielu już lat tendencja do maksymalnego zastępowania obróbki skrawaniem (toczenie, frezowanie itd.) przez obróbkę plastyczną (tłoczenie, kucie i odlewanie). O ile w pierwszej formie obróbki metali wielokrotnie pomnożyliśmy zdolności wytwórcze zakładów metalowych (aczkolwiek poziom konstrukcyjny maszyn skrawających i jakość wykonania jest jeszcze niska), to druga forma obróbki pozostała daleko w tyle, uniemożliwiając pełniejsze wykorzystanie obrabiarek skrawających. Brak odlewów, odkuwek i elementów prasowanych o wymiarach już gotowych części lub najbardziej zbliżonych do ostatecznych wymiarów powoduje nie tylko znaczne marnotrawstwo metali (np. przy produkcji kół zębatych frezarki „F” odpada 60—75% jakościowej stali), energii, pracy ludzkiej i nieproduktywne obciążenie maszyn, ale wręcz uniemożliwia rozwinięcie na skalę zbliżoną do aktualnych zapotrzebowań produkcji części i całych maszyn lub urządzeń. Udział maszyn do obróbki plastycznej, wynoszący w krajach produkujących pod względem technicznym około 30% całości parku maszynowego, ocenia się u nas na 10—15%. Braki dają się szczególnie mocno odczuwać jeśli chodzi o ciężkie prasy kolanowe, kuźniarki, urządzenia do nagrzewania prądami o wysokiej częstotliwości. Niedostateczny poziom odlewnictwa stał się również ważną

przeszkodą w rozwoju produkcji maszynowej. Niska jakość i powszechny brak potrzebnych typów i wymiarów odlewów, niski poziom techniki odlewniczej i organizacji produkcji odlewów (zasadnicze zaniedbanie mechanizacji wszystkich faz produkcji odlewów) jest w dużym stopniu rezultatem błędów w podziale środków inwestycyjnych w przemyśle maszynowym.

Podstawę omawianej dysproporcji w przemyśle maszynowym stanowi niedoinwestowanie odlewnictwa i parku maszyn do obróbki plastycznej w ogóle, przy względnym przeinwestowaniu parku maszyn do obróbki wiórowej. Inne jeszcze błędy w polityce inwestycyjnej w przemyśle maszynowym pogłębiły tę dysproporcję. Budowano mianowicie zbyt wiele małych, przyzakładowych odlewni i kuźni, które bardzo często produkują tylko dla potrzeb własnego zakładu i które nie mogą wykorzystać w pełni swych zdolności produkcyjnych. Zaniedbano natomiast skoncentrowanie produkcji odlewów, odkuwek, normalii w większych wyspecjalizowanych wytwórniach obsługujących wiele innych zakładów metalowych.

O ile nierównomierności powyższe ograniczają możliwość zwiększenia rozmiarów i możliwość podniesienia jakości produkcji maszyn i urządzeń, to w samej strukturze wytwarzanej produkcji, w jej składzie asortymentowym ujawniły się dysproporcje o niemniejszym znaczeniu i niemniej dotkliwych skutkach dla gospodarki narodowej. Nie jest to przypadkowe. Niesłychany skok, jakiego dokonał ten przemysł w rozmiarach i (jakby nie było) poziomie technicznym produkcji, obciążony był jednostronnością i nie był dostatecznie skoordynowany z potrzebami innych dziedzin gospodarki narodowej. Przemysł, którego nazwa „maszynowy” lub „motoryzacyjny” pochodziła u nas od nazwy kierujących ministerstw, zużywał stosunkowo dużą część swych zdolności produkcyjnych na produkcję bardzo potrzebnych „maszyn” służących do obrony kraju. Skoncentrowanie wysiłku inwestycyjnego w tym przemyśle, przestawienie najlepszych kadr inżynierskich i organizatorskich, przekazanie działających mocy (w drodze kooperacji) przemysłowi obronnemu musiało odbić się ujemnie na stopniu zaspokojenia potrzeb innych dziedzin gospodarki w nowe maszyny i urządzenia. Część produkcji tego przemysłu przeznaczona na produkcję maszyn dla podstawowych dziedzin gospodarki jest niewielka. Łączna produkcja maszyn i urządzeń dla przemysłu węglowego, chemicznego, budowlanego, energetyki i rolnictwa nie obciąża nawet w 20% mocy wytwórczych przemysłu metalowego. Przemysł ten oprócz produkcji uzbrojenia i sprzętu dla wojska wytwarza w znacznych rozmiarach środki transportu (wagony kolejowe, lokomotywy, okręty, samochody itp.) oraz maszyny służące do rozszerzenia przeważnie swojej własnej bazy wytwórczej (maszyny do obróbki metali).

Ten ostatni kierunek rozwojowy przemysłu metalowego był ze wszech miar słuszny i konieczny, pozwolił bardzo poważnie umocnić siły naszego przemysłu w tych decydujących w ostatecznym rachunku o poziomie ekonomicznym kraju dziedzinach produkcji materialnej. Osiągnięte efekty zostały jednak silnie podważone przez zasadnicze braki konstrukcyjne i technologiczne.

Takie dziedziny gospodarki narodowej, jak energetyka, przemysł chemiczny, węglowy, włókienniczy i inne, w małym stopniu opierały się na krajowej produkcji maszyn i urządzeń. Ograniczyło to z jednej strony

możliwości wzrostu produkcji najważniejszych asortymentów wyjściowych w przemyśle, a z drugiej strony zdecydowało o ogromnym obciążeniu bilansu handlu zagranicznego sumami wydatkowanymi na import urządzeń inwestycyjnych.

Energetyka w ubiegłym 6-leciu zainstalowała zaledwie 37% maszyn i urządzeń pochodzenia krajowego. Były to przy tym urządzenia z reguły o niższej wydajności i jakości od importowanych. Resztę pokryto z importu, który dla energetyki wynosił w 6-leciu aż 5—6% sumy całego importu.

Przemysł chemiczny otrzymuje z produkcji krajowej tylko około połowy instalowanej aparatury.

Udział węgla urabianego mechanicznie wzrósł z 28,6% w 1949 r. do 36% w 1955 r. Mechanicznie ładuje się tylko 14% urobku (w ZSRR ponad 30%). Słabość wyposażenia maszynowego przedsiębiorstw budownictwa węglowego jest główną przyczyną opóźnień inwestycyjnych w tym przemyśle.

W kopalnictwie rud żelaza dotychczas nie jest w pełni zmechanizowany nawet transport główny (82%), mechanizacja wierceń stanowi tylko 52%, a mechanizacja urobku zaledwie 1,2% itd. itp. Fakty podobnej natury są już dość powszechnie znane i nie ma potrzeby ich tutaj mnożyć.

Zwróćmy natomiast uwagę na konsekwencje dysproporcji w produkcji maszyn i urządzeń w dziedzinie handlu zagranicznego. Przede wszystkim rzuca się tu w oczy przeszło dwukrotnie większy w 1955 r. import maszyn i urządzeń (razem ze środkami transportu) od eksportu maszyn i urządzeń. W innych latach stosunek ten wynosił nawet 3 : 1. Udział maszyn i urządzeń (razem ze środkami transportu) w ogólnej sumie importu był przy tym w 1955 r. znacznie większy niż ich udział w imporcie w 1949 r. Eksport nasz w tej dziedzinie również poważnie wzrósł, jednak nie pokrył wzrostu wydatków związanych ze wzrostem importu maszyn i urządzeń. To znaczy, że w dziedzinie handlu zagranicznego nie zbieramy jeszcze czystych plonów dokonanego uprzemysłowienia kraju. Przeciwnie. Koszt importu na potrzeby inwestycji przemysłowych musimy jeszcze w wielkiej części pokrywać eksportem surowców lub wyrobów o niewielkim stopniu przeróbki. Nasz handel zagraniczny w dziedzinie surowców i paliw wykazuje bowiem bardzo poważne nadwyżki eksportu nad importem. O ile import surowców i paliw dla przemysłu środków wytwórczości (bez surowców dla przemysłu lekkiego) wynosi około 25% całego importu, to eksport surowców i paliw (bez surowców rolniczych) dochodzi do 60% wartości eksportu (w tym około 45% węgla i koksu). Nawet po uwzględnieniu bardzo dużego importu surowców dla przemysłu lekkiego (ca 25% całego importu) okaże się, że eksportujemy więcej surowców niż ich importujemy.

Import wielkich ilości sprzętu wytwórczego był konieczny wobec zardawnionej słabości krajowej bazy produkcji maszynowej. Kredytowany import z ZSRR był tu nieocenioną pomocą. Jednak wykorzystanie struktury bazy krajowej zmuszało do rozdęcia importu inwestycyjnego do rozmiarów przekraczających nasze możliwości. Nadmierny import maszyn i urządzeń wynikał zresztą z przyjęcia w ogóle zbyt wielkiego programu inwestycyjnego, o którego ujemnych skutkach poprzednio wspominaliśmy. Zaangażowanie zbyt wielkich środków w imporcie maszyn i urządzeń przyczyniło się do eksportu tak boleśnie deficytowych produktów

jak cement i tarcica. Eksport cementu (w skali 500—600 tys. ton rocznie) i tarcicy zahamował nie tylko niezwykle ważne procesy inwestycyjne na wsi, ale zahamował również rozwój budownictwa mieszkaniowego i przyczyniał się do przedłużenia cyklu budowy nowych obiektów przemysłowych.

Oprócz tego w handlu zagranicznym figuruje nadal nadwyżka eksportu produktów rolnych nad ich importem. Eksport takich artykułów rolnych jak mięso, cukier i jaja jest nader korzystny i nie należy z niego rezygnować. Ale nie zapomnijmy, że prawie żaden z uprzemysławiających się krajów europejskich nie eksportował więcej produktów rolnych niż ich importował. Przeciwnie, przez długie dziesiątki lat importowano więcej żywności niż eksportowano (do dziś utrzymuje się ten stan rzeczy). Wydaje się, że dla kraju o takim poziomie przemysłu i takim tempie jego rozwoju, jakim jest Polska, nadwyżka eksportu żywności nad importem jest — naszym zdaniem — raczej nienormalna.

Tak więc dochodzimy już do całego splotu wzajemnie zależnych dysproporcji, jakie dają się mocno we znaki w szybkim rozwoju naszej gospodarki.

Wskutek wypaczenia struktury produkcji przemysłu metalowego, nie dającego innym gałęziom takiego oparcia, jakie byłoby możliwe w warunkach jego bardziej prawidłowego rozwoju, nastąpiło poważne osłabienie możliwości rozwoju przemysłu surowcowo-energetycznego, a w samym przemyśle metalowym wytworzyły się „wąskie gardła” hamujące wykorzystanie jego mocy wytwórczych. Wpłynęło to w decydującej mierze na nadmierne obciążenie handlu zagranicznego importem inwestycyjnym, a tym samym — na konieczność nadmiernego rozwinęcia eksportu surowców (m. in. deficytowych w kraju).

Możliwości rozwoju krajowej bazy surowcowo-energetycznej zostały ograniczone zarówno przez błędy polityki inwestycyjnej i obiektywne trudności inwestycyjne, jak i przez niedostateczne uzbrojenie procesów produkcyjnych w surowcowych gałęziach. Przyczyniło się to do powstania nie wykorzystanych rezerw wytwórczych w przemyśle przetwórczym, co z kolei przez niedostateczny dopływ na wieś materiałów budowlanych, maszyn rolniczych, nawozów sztucznych itp. hamowało rozwój rolnictwa.

Należy podkreślić jeszcze jeden niezmiernie ważny aspekt tych dysproporcji. Deficyt surowców i energii w stosunku do potrzeb przemysłu nie byłby tak głęboki, gdyby ich użytkowanie było oszczędniejsze. Marnotrawstwo w tej dziedzinie, osiągające poważne rozmiary, wynika nie tylko z braku gospodarności przedsiębiorstw, braku dostatecznych bodźców materialnych do oszczędzania surowców, paliw i energii, ale wynika przede wszystkim ze słabości technicznej gałęzi zużywających surowce. Nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do wyników produkcyjnych zużycie surowców wewnątrz gospodarki ogranicza jednocześnie tak korzystne możliwości eksportowe, jak wywóz węgla, przyczyniając się dodatkowo do napięcia bilansu handlu zagranicznego i poszukiwania artykułów eksportowych wśród asortymentów, o które woła wielkim głosem nasza gospodarka narodowa.

Oszczędność w zużyciu surowców i energii przypadających na jednostkę produktu gotowego jest nierozdzielnie związana z postępem technicznym, jest z reguły bezpośrednim zadaniem nowowprowadzonych maszyn i urzą-

dzeń oraz zasadniczym kryterium ich efektywności, jest decydującą nie-raz formą zmniejszania nakładów pracy społecznej, podnoszenia wydajności pracy — a więc zależna jest od stopnia nasycenia gospodarki nowoczesnymi narzędziami produkcji.

Oto kilka mających wręcz kluczowe znaczenie przykładów wprowadzania nowych maszyn i urządzeń w celu zmniejszenia deficytu podstawowych surowców i energii.

Zużycie koksu na wyprodukowanie 1 tony surówki wynosiło u nas w 1955 r. przeciętnie 1 180 kg, na Węgrzech zaś tylko 1 120 kg, a w Anglii nawet 1 050 kg (w 1949 r.). Wynika to ze zbyt niskiego udziału aglomeratu we wsadzie, zbyt niskiego ciśnienia powietrza w wielkich piecach itd. Nie rozwiązany problem tlenu dla martenów i pieców elektrycznych zwiększa zużycie paliwa o 20% i rudy do świeżenia o 30—40% itd.

Zagadnienie oszczędności zużycia metali jest przede wszystkim zależne od postępu w hutnictwie. Na skutek zaniedbań w produkcji stali węglowych i niskostopowych, walcowania w tolerancjach ujemnych, braku profili oszczędnościowych, profili giętych z blach wyginanych lub walcowanych na zimno, ponosimy rokrocznie bardzo poważne straty w metalu. Np. kontrola 2 400 arkuszy blachy w ZISPO stwierdziła, że tylko 80 arkuszy posiadało wymiary i ciężar odpowiadający normom. Reszta przekraczała normy średnio o 4,2%. Jeśli przyjmiemy ten odsetek przekroczenia tolerancji dla wszystkich wyrobów walcowanych, otrzymamy stratę walcówki w ilości około 100 tys. ton rocznie, czyli w ilości przekraczającej połowę całego eksportu wyrobów walcowanych. Oprócz tego straty z tytułu nadmiernych ciężarów konstrukcji stalowych (z powodu braku stali o wyższych wskaźnikach wytrzymałościowych) dochodzą do 20% całego zużycia w tej dziedzinie (dźwigi, mosty, wagony itd.).

Ogromna większość produkowanych u nas maszyn jest cięższa od analogicznych maszyn produkowanych za granicą. Np. silniki wysokopreżne grupy S są niemal dwukrotnie cięższe od radzieckich i niemieckich i spalają przy tym 220—240 g/KM/godz. paliwa, podczas gdy silniki zagraniczne spalają 160—190 g/KM/godz.

Niska jakość blach transformatorowych, które dają wysoki współczynnik strat energii, powoduje znaczne marnotrawstwo energii. Za granicą osiąga się współczynnik strat o wiele niższy. Obniżenie u nas tego współczynnika przyniosłoby ogromne oszczędności energii.

Również zużycie energii w przemyśle na wytworzenie jednostki produktu jest bardzo często nadmierne i wynika głównie z przestarzałej konstrukcji maszyn, urządzeń i aparatury.

Postęp w oszczędzaniu zużycia energii elektrycznej napotyka przeszkodę zasadniczej natury w słabości naszego przemysłu elektrotechnicznego. Brak nam w szczególności wielkich maszyn energetycznych, silników o dużej mocy, silników wielobiegowych, komutatorowych, sprzętu do transportu elektrycznego, silników do napędów szybkoobrotowych urządzeń i narzędzi, prądnie wysokiej częstotliwości itd.

Zużycie węgla przekraczające u nas ogromną ilość 70 mln. ton rocznie nie jest usprawiedliwione poziomem produkcji przemysłowej. Wynika to z przestarzałości węglochłonnych urządzeń przemysłowych, transportowych, ogrzewniczych itd. Zmniejszenie zużycia węgla w kraju choćby o 4 mln. ton pokryłoby cały nasz import zbóż lub pozwoliłoby na znaczny import

takich nowoczesnych urządzeń inwestycyjnych, które amortyzują się w ciągu 1—3 lat, przynosząc następnie wielki czysty dochód. W większości przemysłowych krajów dominuje od szeregu lat tendencja wzrostu „wydobycia“ węgla nie wskutek wzrostu produkcji kopalni, lecz przez zmniejszenie zużycia przypadającego na jednostkę produkcji. W czołowych krajach kapitalistycznych poziom produkcji węgla jest prawie taki sam jak w okresie przedwojennym, przy wzroście poziomu produkcji przemysłowej o 40—60% i więcej. Tendencja ta będzie torować sobie u nas drogę z tym większą siłą, im prędzej nasz przemysł maszynowy opanuje produkcję nowoczesnych, oszczędnych, węglochłonnych agregatów.

Jedną z decydujących dziedzin postępu w oszczędności zużycia surowców i postępu technicznego w ogóle jest produkcja całego wachlarza asortymentów chemicznych.

Nie są u nas racjonalnie wykorzystane takie składniki smoły węglowej, jak karbozol, acenaften, dwufenyl, metyionaftaleny i inne. Nie przerabia się gazu koksowniczego i ziemnego w celu uzyskania acetyleny i etyleny, które stanowią podstawę produkcji szeregu tworzyw sztucznych, włókien syntetycznych itd. Jesteśmy ogromnie opóźnieni w produkcji polichloru winylu, wenolitu, tworzyw konstrukcyjnych typu karbat, żywic silikonowych mających wielorakie zastosowanie w technice, m. in. do budowy kwasoodpornej aparatury chemicznej, do budowy maszyn i wyrobów powszechnego użytku. Brak tych produktów pogłębia nasz deficyt miedzi, ołowiu, stali stopowych i in. Niemożliwość zastosowania tych tworzyw wpływa na zacofanie techniczne i obniża jakość produkowanych maszyn i urządzeń, utrudnia szersze wyjście na rynki zagraniczne.

* *

Z tego, co zostało dotychczas powiedziane, można wyprowadzić kilka ogólnych wniosków.

Dysproporcje, o których była mowa, są typowymi nierównomiernościami powstałymi *w toku szybkiego rozwoju gospodarki narodowej jako całości*. Trzeba to z całą siłą podkreślić, aby nie utracić właściwej miary opisanych zjawisk, aby mieć jasną perspektywę dalszego działania. Przyczyną tych dysproporcji są częściowo niezależne od nas zmiany sytuacji międzynarodowej, częściowo zaś takie błędy polityki gospodarczej, których dałoby się uniknąć w warunkach większego doświadczenia w budownictwie przemysłowym i w warunkach lepszego stylu kierowniczej pracy gospodarczej, stylu polegającego na szerszej dyskusji i współudziale licznych kadr techniczno-naukowych i organizatorskich w decydowaniu o kierunkach rozwoju naszej ekonomiki. Dysproporcje te nie byłyby tak istotne, gdyby w większej mierze opierano się na działaniu obiektywnych praw ekonomicznych, wykorzystując je w szczególności dla pobudzania aktywności klasy robotniczej i inteligencji technicznej.

Przezwyciężenie dysproporcji pomiędzy zdolnościami wytwórczymi różnych gałęzi gospodarki nie może być dokonane od razu. Będzie ono wymagać wysiłków w ciągu całej 5-latki, której cechą charakterystyczną będzie właśnie dążenie do maksymalnego wykorzystania już zbudowanego potencjału produkcyjnego. Wydaje się, że najważniejsze, najbardziej bieżące i dotkliwe nierównomierności będzie można usunąć już w ciągu najbliższych 2—3 lat. W tym celu potrzebne będą skoordynowane

przedsięwzięcia w dziedzinie podziału środków inwestycyjnych, w handlu zagranicznym i polityce technicznej. W związku z tym kilka końcowych uwag.

Rozmiary inwestycji przemysłowych w nadchodzących latach będą znacznie większe niż w 6-latce, pomimo że tempo ich wzrostu będzie znacznie lepiej zharmonizowane z tempem wzrostu dochodu narodowego, a zwłaszcza z tempem wzrostu funduszu spożycia. Pod tym względem układ proporcji będzie bliższy stanowi osiągniętemu w ostatnich dwóch latach 6-lecia niż stanowi z lat wcześniejszych. Jednocześnie dążyć będziemy do wszechstronnego umacniania siły obronnej kraju przy jednoczesnym ograniczaniu wzrostu wydatków obronnych. Rozwój współczesnej techniki wojennej, zakładając, że wszystkie inne okoliczności są stałe, może umożliwić taką właśnie ewolucję.

W bilansie handlu zagranicznego wystąpią jednak zamiast wpływów kredytów inwestycyjnych pozycje spłat tych kredytów, potrzeby inwestycyjne zaś — w związku z koniecznością kontynuowania budowy rozpoczętych obiektów, z rekonstrukcją innych i dobudowywaniem dla różnych cykli produkcyjnych brakujących mocy wytwórczych — będą bardzo duże. Dlatego centralnym zagadnieniem polityki gospodarczej 5-lecia jest jak najbardziej właściwy podział środków inwestycyjnych.

Wielkie budownictwo będzie prowadzone tylko w górnictwie węglowym, hutnictwie, energetyce i chemii. W budownictwie tym udział obiektów zupełnie nowych (głównie w górnictwie i energetyce) będzie niewielki. W przeważającej liczbie wypadków polegać będzie ono na doprowadzeniu do końcowych faz obiektów rozpoczętych. Stosunek nakładów inwestycyjnych do uzyskanej produkcji będzie tym samym znacznie korzystniejszy niż dotychczas (zwłaszcza w hutnictwie).

Koncentracja nakładów w tych właśnie gałęziach przy równoczesnym większym uwzględnieniu potrzeb inwestycyjnych, przede wszystkim rolnictwa, a także przemysłu konsumpcyjnego, jest ze wszech miar słuszną: pozwoli nie tylko zbliżyć produkcję głównych surowców i półproduktów do rozmiarów możliwości przetwórczych, pozwoli nie tylko szerzej wprowadzać nową technologię w oparciu o wyprzedzający ogólny rozwój wzrost produkcji energii elektrycznej i wzrost produkcji nowoczesnych asortymentów chemicznych, ale również pozwoli na korzystne zmiany w handlu zagranicznym.

Dalszy przerób szeregu wyjściowych, już wytworzonych u nas produktów chemicznych pozwoli na lepsze zaspokajanie potrzeb krajowych na te cenne asortymenty, o jakich mówiliśmy, i poprawi ogólny bilans handlu zagranicznego.

Ale musimy się liczyć z tym, że potrzeby importowe w zakresie surowców wzrastają w szybkim tempie. Chodzi tu o surowce, których w kraju bądź w ogóle nie posiadamy, bądź posiadamy w niewielkich ilościach, a ich eksploatacja jest niezwykle kosztowna. Do surowców, których import będzie musiał najbardziej wzrosnąć, należą rudy żelaza, niektóre metale kolorowe, duża ilość nieorganicznych surowców chemicznych, ropa naftowa i jej przetwory. Wzrośnie również bardzo wydatnie import surowców dla przemysłu lekkiego (bawełna, wełna, skóry surowe). Błędem byłoby wyrowadzenie z faktu nienadążania bazy surowcowej wniosku o koniecz-

ności rozwijania krajowej produkcji surowców bez względu na koszty i trudności z tym związane. Byłaby to *ogromnie szkodliwa fetyszyzacja* i niezrozumienie prawdziwej *samodzielności gospodarczej kraju*. Na dłuższą metę rozstrzygać tu powinien dokładny rachunek ekonomiczny opłacalności własnych inwestycji surowcowych, kosztów eksploatacji własnych surowców, kosztów wytwarzania produktów, za które można nabyć potrzebne surowce, kosztów inwestycji dla podniesienia produkcji pełnowartościowych wyrobów w handlu zagranicznym itd. Tylko w oparciu o szereg wariantów, uwzględniających również momenty natury pozaekonomicznej (m. in. dyskryminację stosowaną przez niektóre kraje kapitalistyczne wobec naszego handlu zagranicznego) — należy rozwiązywać trudne problemy koordynacji struktury produkcji przemysłu za strukturą handlu zagranicznego. W takim rachunku ekonomicznym, który powinien być stałą metodą wyboru kierunków produkcji, będzie w najbliższych latach musiało być uwzględnione ze szczególną siłą *kryterium wykorzystania własnych już istniejących mocy wytwórczych*. Jest to zagadnienie węzłowe dla całej naszej ekonomiki, dla radykalnego zmniejszenia marnotrawstwa pracy ludzkiej, podniesienia jej wydajności i zwiększenia zatrudnienia, dla poprawienia sytuacji w handlu zagranicznym, dla wzrostu masy towarowej na rynku i poprawy stopy życiowej.

To kryterium rachunku ekonomicznego jest aktualne — jak wynika z poprzednio zarysowanej sytuacji — w odniesieniu do przemysłu metalowego w wyższym stopniu niż dla innych gałęzi, gdyż rezerwy nie wykorzystanych mocy wytwórczych i pracy ludzkiej są w nim największe.

Rzecz prosta, że pomimo to nie można będzie całkowicie zrezygnować z inwestycji w tej gałęzi. Trzeba będzie inwestować przede wszystkim w odlewnictwo, w park maszyn do obróbki plastycznej metali, w przemysł elektrotechniczny. Nie można będzie stracić z pola widzenia konieczności wprowadzania nowych maszyn do obróbki wiotrowej, zwłaszcza automatów, półautomatów itd. Udział przemysłu metalowego w całej produkcji przemysłowej musi poważnie wzrosnąć. I znów nie dla dogmatu będziemy starać się, aby przemysł ten stał się obok węgla i chemii jednym z narodowych przemysłów Polski, lecz dlatego, że posiadamy jak najbardziej sprzyjające warunki do rozwoju co najmniej 3—4 dziedzin tego przemysłu. Bez rozwoju przemysłu metalowego nie będzie można zmechanizować produkcji surowcowo-energetycznej, nie będzie można wprowadzić na szerszą skalę urządzeń oszczędzających zużycie surowców i energii, nie będzie można dążyć do zrównoważenia importu maszyn i urządzeń przez ich eksport z produkcji krajowej.

Struktura produkcji przemysłu metalowego będzie musiała zmieniać się tak, aby podstawowe gałęzie gospodarki narodowej znajdowały w niej rosnące oparcie dla swych potrzeb wytwórczych.

Kiedy mówimy o konieczności dalszego rozwoju przemysłu maszynowego, o zwiększeniu jego udziału w całej produkcji przemysłowej, mamy na myśli nie po prostu ilościowy wzrost produkcji, lecz przede wszystkim zasadnicze zmiany w jej jakości, poziomie konstrukcyjnym i technologicznym. Na skutek technicznego zacofania wielu dziedzin tego przemysłu mamy właśnie obecnie do czynienia ze szkodliwą praktyką swego rodzaju „produkcji dla produkcji“, wytwarzania maszyn przestarzałych, nie znajdujących zbytu za granicą i z trudnością lokowanych w naszym przemys-

416. Jedyną do przyjęcia formą rozwoju przemysłu metalowego jest nieustanne rewolucjonizowanie własnej technologii wytwarzania i samych wytwarzanych produktów. Tylko w drodze nieustannego postępu technicznego w przemyśle metalowym, jak również w przemyśle chemicznym będzie można rozwiązywać nabrzmiałe problemy dysproporcji wewnątrz gospodarki narodowej i dysproporcji w handlu zagranicznym.

To co zostało powiedziane o dysproporcjach w przemyśle ciężkim i kierunkach ich przewyżczenia, nie może prowadzić do fałszywego wniosku o konieczności jednostronnego forsowania inwestycji w tym przemyśle w imię rozwijania za wszelką cenę bazy surowcowej ze szkodą dla przemysłu grupy B i ze szkodą dla rolnictwa. Dysproporcje, o których mówiono, będą stopniowo przewyżcane w toku 5-latki, jednak nie w takim tempie i w takiej skali, która znowu poderwałaby możliwości inwestycyjne dziedzin gospodarki pracujących bezpośrednio dla potrzeb ludności. Poprawienie proporcji w przemyśle ciężkim nie może również podważać możliwości zwiększania pomocy produkcyjnej dla rolnictwa i masy towarowej na rynku wewnętrznym przez handel zagraniczny. Przeciwnie, cechą szczególną 5-latki jest położenie znacznie większego nacisku na inwestycje rolnicze i wyższy wzrost zasobów towarów szerokiego spożycia niż w 6-latce. Trzeba jednak wskazać oczywiste związki pomiędzy omawianymu nierównomiernościami a stopniem zaspokojenia potrzeb bytowych ludności.

Pełniejsze wykorzystanie mocy wytwórczych przemysłu ciężkiego przez likwidację istotniejszych braków zaopatrzeniowych będzie miało zasadniczy wpływ na możliwości zwiększenia nakładów inwestycyjnych w rolnictwie, a także na zwiększenie ilości niektórych towarów na rynku. Wzrośnie poziom zatrudnienia a równocześnie stosunek pomiędzy wielkością produkcji a ilością zatrudnionych. Najważniejsze jednak będzie powstanie w bilansie handlu zagranicznego nowych możliwości dla podnoszenia stopy życiowej. A mianowicie: pełniejsze oparcie gospodarki narodowej na nowoczesnych maszynach i urządzeniach produkcji krajowej pozwoli stosunkowo zmniejszyć import inwestycyjny a także zaoszczędzić nieekonomicznie zużywane surowce, a więc umożliwi szerszy import surowców dla przemysłu lekkiego, nawozów dla rolnictwa i innych towarów decydujących o zaopatrzeniu rynku oraz stworzy warunki do zmniejszenia lub likwidacji eksportu asortymentów szczególnie ważnych dla zaspokojenia potrzeb ludności. Takie same możliwości otwierać będzie uniezależnienie się od importu szeregu asortymentów chemicznych i wzrost eksportu wartościowych produktów ciężkiej chemii. Zupełnie wyjątkowe znaczenie dla najbliższych perspektyw wzrostu spożycia ma postęp w produkcji i w oszczędności zużycia węgla, który jest wysoce opłacalnym surowcem eksportowym. Każda tona tego surowca, o którą powiększamy nasz eksport, codziennie — można powiedzieć — wpływa na wielkość masy towarowej, którą dysponujemy w kraju.

Tak więc ostatecznym i najważniejszym celem walki o przewyżczenie dysproporcji w rozwoju przemysłowym Polski Ludowej — o czym nie wolno nam zapominać — jest zapewnienie znacznie szybszego niż dotychczas wzrostu masy towarowej na rynku, wzrostu płac i dochodów realnych ludności pracującej.

PROBLEMY I DYSKUSJE

LESZEK KOŁAKOWSKI

Intelektualiści a ruch komunistyczny

Jeśli nazwą inteligencji oznaczać będziemy ogół ludzi wykształconych i zarazem bądź zdobywających środki utrzymania dzięki pracy umysłowej, bądź przynajmniej traktujących ją jako zajęcie główne, łatwo zauważyć, że warstwa ta stanowiła niezbędny składnik funkcjonowania państwa niemal od chwili jego pojawienia się w historii. Jej wyraźne wyodrębnienie w nowożytnych społeczeństwach kapitalistycznych należy zawdzięczać dwóm okolicznościom: po pierwsze, w społeczeństwie kapitalistycznym znaczna większość ludzi wykształconych żyje istotnie z pracy umysłowej, nie zaś, jak np. w społeczeństwach antycznych, z jednoczesnego posiadania środków produkcji; po wtóre, rola wykształcenia, nauki, życia kulturalnego, wychowania umysłowego wzrasta niezmierznie w czasach nowożytnych — i to tym więcej, im bardziej demokratyczny jest sposób sprawowania władzy. Nie mówiąc o tym, że nie podobna żyć w społeczeństwie nowożytnym bez lekarzy i inżynierów, że niesposób bez wielkiej ilości ludzi specjalistycznie wykształconych zorganizować aparatu administracyjnego i sądowniczego, inteligencja jest warstwą, która rozporządza olbrzymią większością umysłowych środków oraz umiejętnością wychowawczego, kulturalnego oddziaływania. Natomiast nie rozporządza ona jako warstwa (lub tylko w niewielkim stopniu) materialnymi i technicznymi warunkami tego oddziaływania, przez co łatwo staje się uzależniona od grup bądź ekonomicznie najsilniejszych, bądź sprawujących władzę państwową. Stopień tej zależności, a także siła więzi łączącej inteligencję z ustrojem politycznym, w którym żyje, bywają rozmaite w różnych jej warstwach; jest rzeczą oczywistą, że np. w państwach kapitalistycznych aparat urzędniczy, który w utrzymaniu panującego systemu widzi gwarancję swojej pozycji życiowej, musi być znacznie bardziej konserwatywny niż środowiska artystyczne.

Mówiąc dalej o inteligencji, mam na uwadze tylko tę jej część, którą można by nazwać inteligencją nauczycielską, rozumiejąc przez to nie tylko personel nauczający szkolnictwa wszystkich stopni, ale ogół ludzi, których zawodowe czynności polegają na tworzeniu lub przekazywaniu wartości kultury duchowej — wiedzy naukowej, poglądów na świat, dzieł sztuki, znajomości bieżącego życia społecznego, opinii politycznych — a więc ludzi nauki, nauczycieli, artystów, dziennikarzy, pracowników ośrodków propagandy itp. W szczególności jednak chodzi o ludzi zawodowo zajmujących się pracą teoretyczną w dziedzinach doniosłych dla organizacji życia

społecznego. Otóż umysłowe panowanie każdej klasy rządzącej w jeszcze większym stopniu niż jej panowanie materialne jest uzależnione od istnienia związanej z nią inteligencji. Toteż we wszystkich ustrojach warstwy będące u władzy starają się w możliwie największym stopniu sprawować ją w oparciu o współpracę z inteligencją, w przeciwnym bowiem wypadku system rządzenia musiałby mieć za podstawę wyłącznie siłę policji i wojska — pozornie najbardziej skuteczną, a jednak, jak uczy doświadczenie, zawsze zawodną, jeśli wyczerpuje sobą ogół środków panowania. Udział inteligencji nauczycielskiej w systemie rządzenia jest też, *ceteris paribus*, odwrotnie proporcjonalny do udziału aparatu represyjnego, albowiem im mniej się umie rządzić środkami umysłowymi, tym bardziej trzeba rządzić narzędziami przemocy. Stąd inteligencja bywa często przedmiotem przyrodzonej niechęci ze strony policji i wojska.

Jest też zjawiskiem naturalnym, że jakkolwiek ekonomiczna walka klasy robotniczej mogła rodzić się żywiłowo, bez współdziałania środowisk wykształconych, to zorganizowany ruch komunistyczny był nie do pomyślenia bez udziału ludzi należących do burżuazyjnej inteligencji a umiejscowić ocenę przyszłe perspektywy proletariatu i zająć w życiu postawę zgodną z jego naturalną tendencją dziejową.

Teoria socjalizmu naukowego nie mogła powstać w wyniku automatycznego działania konfliktów klasowych, nie mogła być produktem „instynktu klasowego” ani dziełem samych robotników; wymagała opanowania całej istniejącej wiedzy o społeczeństwie, osiągalnej tylko długotrwałymi studiami wyspecjalizowanymi. Stąd — mówiąc słowami Lenina — konieczność „wniesienia z zewnątrz” ideologii socjalistycznej do ruchu robotniczego, który sam nie był zdolny jej wytworzyć. Stąd również nieprzypadkowa okoliczność, że najwybitniejsi przywódcy proletariatu — Marks, Engels, Lenin — byli inteligentami z wykształcenia, pochodzenia i rodzaju swojej pracy, a żaden z nich nie mógłby odegrać swojej roli politycznej bez wielostronnego przygotowania naukowego, które umożliwiałoby im ekonomiczną i polityczną analizę współczesnego życia społecznego oraz zrozumienie perspektyw jego przyszłych przeobrażeń.

Jednakże teoretyczna wiedza o społeczeństwie jest nadal warunkiem skutecznej walki ruchu komunistycznego. Nadal tedy pozostaje w mocy sytuacja, w której ruch ten, jeśli nie ma ulec stagnacji, musi być ożywiany postęпами teorii; tworzonej i rozwijanej przez intelektualistów komunistycznych. Rola intelektualistów w ruchu komunistycznym jest też i zawsze była nieporównanie większa niż w partiach typu labourzystowskiego, nastawionych niemal wyłącznie na uzyskiwanie doraźnych sukcesów, głównie ekonomicznych, a pozbawionych bardziej odległych perspektyw walki o władzę proletariatu i organizację w jej ramach życia gospodarczego. Przeciwnie, ruch, który stawia przed sobą cele polityczne, który zmierza do złamania władzy państwowej burżuazji i do kompletnej przebudowy wszystkich dziedzin życia ludzkiego, nie może się obejść bez teorii, stale poddawanej krytyce, stale uwspółcześnianej, stale będącej przedmiotem rewizji, dzięki której mogłaby ona utrzymać się na poziomie adekwatnym do aktualnej sytuacji i bieżących przemian społecznych na świecie. Intelektualiści, którzy tworzą teoretyczne podstawy działania politycznego, nie są też po prostu „pomocnikami” ruchu robotniczego, ale niezbędnym warunkiem jego istnienia.

Ta ich rola w ruchu robotniczym nader dobitnie ukazuje swoją wagę w obecnym stanie impasu, jaki panuje w teorii marksistowskiej. Odbudowa marksizmu adekwatnego do epoki współczesnej — epoki bomby atomowej, imperializmu w jego obecnej fazie, współczesnej kultury burżuazyjnej oraz istnienia ukształtowanego w państwa obozu socjalizmu — jest zadaniem, którego rozwiązanie może wpłynąć w sposób stanowczy na przyszłość komunizmu. Jest jasne, na przykład, że rozstrzygnięcie pytania o ważność tzw. prawa bezwzględного zubożenia w dzisiejszym świecie kapitalistycznym musi mieć istotny wpływ na politykę całego międzynarodowego ruchu robotniczego, pytania tego wszakże nie podobna zaspokoić frazesem ani sofistyczną kazuistyką — wymaga ono specjalnych studiów naukowych i dyskusji, nie ograniczonych niczym innym poza dążeniem do ustalenia obiektywnego stanu rzeczy. Analogicznie marksistowska teoria kryzysów w zastosowaniu do współczesnego kapitalizmu; analogicznie teoria rewolucji socjalistycznej, gdzie nie wystarczą same wskazówki praktyczne pozbawione rzeczowych uzasadnień. Podobnie ma się sprawa z samą teorią o partii i jej roli w państwie, w którym sprawuje władzę — w szczególności sprawa słuszności poglądu, wedle którego zasadnicza rola organizacji partyjnych polega na dbałości o sprawne działanie systemu produkcyjnego w państwie i wypełnieniu czynności urzędu inspekcyjno-alarmowego w zakładach wytwórczych. Podobnie — wszystkie problemy związane z mechanizmem władzy w społeczeństwach rządzonych przez partie komunistyczne oraz związków między życiem politycznym i ekonomicznymi uwarstwieniami społecznymi a kształtowaniem się w nich różnego typu hierarchizacji socjalnych itd. Bez analiz tego rodzaju, przeprowadzanych w warunkach absolutnej swobody, a wymagających m. in. odrodzenia socjologii jako nauki samodzielnej, nie zaś zbioru popularnych komunalów — bez takich analiz partia nie może znać ani przewidywać rzeczywistych skutków własnych postanowień. Rodzą się wówczas niebezpieczeństwa tego typu, jak naiwna i groźna, a skrajnie idealistyczna wiara w możliwość zastępowania praw ekonomicznych oddziaływaniem ideologicznym albo konieczność wzmożonego działania środkami represyjnymi wskutek nieumiejętności zarządzania techniką — pewne jest bowiem że im mniej potrafiły zarządzać rzeczami, tym bardziej jesteśmy zmuszeni administrować ludzi. Może się wtedy zdarzyć, że dobre intencje będą obracać się w swoje przeciwieństwo, a decyzje powzięte ujawnią skutki nieoczekiwane i zaskakujące w wyniku nieznanomości uzależnień życia społecznego.

Rola inteligencji w ruchu komunistycznym nie polega jednak tylko na tworzeniu teoretycznej niezbędnej w politycznych działaniach. Inteligencja jest właściwym twórcą kultury socjalistycznej w jej formach najprostszych, ale nade wszystko intelektualnej i artystycznej, to znaczy tym tendencjom ewolucji dziejowej, które prowadzą do zagłady kapitalizmu, a które dochodzą do skutku w wyniku walki klas wyzyskiwanych, nadaje formę odpowiednią do społecznego obiegu i zdolną wpływać na kształtowanie świadomości społecznej. W warunkach życia kapitalistycznego proletariatu pozostaje z konieczności pod stałym naciskiem kulturalnym tych warstw, z którymi najbliższy jest jego kontakt i najpospolitsze wzajemne przechodzenie z jednej klasy do drugiej: chłopstwa i drobnej burżuazji miejskiej. Bez udziału inteligencji klasa robotnicza z trudnością może się

też uwalniać od wpływu kulturalnego drobnomieszczaństwa (podobnie jak inteligencja, na mocy innego mechanizmu społecznego, nie mogłaby przewyższać swojej duchowej zależności od kapitalizmu bez związania swojego życia z losami klasy robotniczej), a również życie duchowe nowego społeczeństwa jest zagrożone zalewem gustów i upodobań chłopskich, które mogą zdławić kielki socjalistycznej kultury. Jak wiadomo, awangardowe kierunki w sztuce XX wieku — w malarstwie, w poezji, w literaturze, w teatrze — miały w większości u swego podłoża (nie w całości rzecz jasna) orientację polityczną wyraźnie lewicową: futurizm, ekspresjonizm, kubizm („kubizm — sztuka bolszewicka“ — pisał Hitler w *Mein Kampf*). Być może, w niejednym z tych prądów, od których odżegnała się brutalnie oficjalna doktryna, zawarta była w zarodku kultura przyszłego świata. Nie inaczej miała się sprawa z wieloma nowatorskimi prądami w różnych dziedzinach życia naukowego. Nie znaczy to oczywiście, że klasa robotnicza może być tylko biernym przedmiotem twórczości kulturalnej uprawianej od niej niezależnie — jest rzeczą jasną, że jej walka i jej sytuacja jest uwarunkowane powstanie kultury socjalistycznej, której doniosłe składniki, nade wszystko w życiu moralnym, uformowały się żywiołowo w procesie walki klasowej — niemniej klasa robotnicza nie może sama przeciwdziałać dosyć skutecznie, w szczególności w krajach chłopskich, przemożnemu naciskowi kulturalno-obyczajowemu drobnomieszczaństwa. Przy współczesnym poziomie życia umysłowego również twórczość artystyczna, narzędzie społeczne o wielkiej sile oddziaływania, nie powstaje faktycznie bez wykształcenia, często niezmiernie fachowej warstwy, i nie może być w skali społecznej uprawiana na wysokim poziomie poza inteligencją.

Jeśli jednak życie gospodarcze i polityczne państwa kierowanego przez partię komunistyczną i partii samej jest uzależnione od naukowej i kulturalnej twórczości, to w jeszcze większym stopniu ta twórczość zależy od systemu sprawowanej władzy politycznej. Łatwo zauważyć, że zjawiska kulturalne, najbardziej uwrażliwiona tkanka społecznego organizmu, odczuwają również najdotkliwiej niszczące promieniowanie wszelkich ognisk degeneracji powstałych w organizmie. Jest też faktem naturalnym, że ogół zjawisk określanych konwencjonalnie i symbolicznie mianem „kultury jednolitej“ oraz wszystkie elementy jedynowładztwa lub oligarchii w życiu publicznym rozciągają swój wpływ rozkładowy i hamujący również na życie umysłowe. Długotrwałe gwałcenie zasady demokratyzmu w sprawowaniu władzy, to znaczy zasady możliwie najszerszego udziału opinii powszechnej w podejmowaniu decyzji ważnych dla życia zbiorowego (a więc zasady różniacej w sposób istotny ruch rewolucyjny od sekty religijnej), doprowadziło do ujemnych skutków, z których najgroźniejszy jest bezwład inicjatywy masowej, paraliż możliwości zewnętrznych, a z czasem również uzdolnień do indywidualnej i kolektywnej samodzielności twórczej w życiu ekonomicznym, politycznym i intelektualnym. Śmiercią nauki jest religia. Religia stała się też w ciągu długiego czasu właściwą formą życia umysłowego wielu środowisk intelektualnych; religia z wszystkimi jej akcesoriami: objawieniem w dziedzinie poznania, systemem magii i tabu, istnieniem kasty kapłańskiej monopolizującej prawo ogłaszania prawd, dążeniem do pochłonięcia absolutnego wszystkich form życia ludzkiego przez ideologię (w dziedzinie intelektualnej, artystycznej, obyczajowej i innych).

Nie jest prawdą, iżby ów stan rzeczy był nieuchronnym wynikiem przybrania przez marksizm charakteru masowego i fałszywa jest teoria Bruno Bauera, według której każda teoria, skoro staje się udziałem mas, przeobraża się w religię. Odwrotnie, jedną z głównych przyczyn tej sytuacji była monopolizacja twórczości teoretycznej. W wyniku dochodziła do głosu skrajna pogarda dla teorii, maskowana deklaracjami o jej wielkiej wartości. Faktycznie teoria działała *ex post*, dorabiając uzasadnienia do powziętych postanowień; nie tylko nie zmieniała świata, ale również go nie objaśniała. Zmuszona do uzasadnienia posunąć najrozmaitszych stawiała się z konieczności mętna, a dialektyka — skuteczne narzędzie badania zjawisk społecznych w dynamice ich ewolucji i starć wewnętrznych — bywała utożsamiana z wieloznacznością i brakiem precyzji. Przy tej roli teorii, zredukowanej do narzędzia apologetycznego i wyjąłowanej z funkcji intelektualnych, sytuacja ta była nieuchronna. Powiadało się, że „z jednej strony“ masy są twórcami historii, a „z drugiej strony“ jednostka może wywierać znaczny wpływ na bieg dziejów, skoro rozumie jego tendencje itd. Charakterystyka na tyle mglista, że da się przy jej pomocy już to usprawiedliwiać boską cześć dla autokraty, już to ją zwalczać. Należy „z jednej strony“ przewycięzać nacjonalizm, ale „z drugiej strony“ walczyć z kosmopolityzmem; na podstawie takiego ogólnika z łatwością można raz tolerować szowinistyczne wybryki, raz — przy innej potrzebie — potępiać je najgwałtowniej. Przykładów jest bez miary. Teoria służąca do wszystkiego, oparta na mglistych formułkach „i tak, i nie“, „z jednej strony i z drugiej strony“ — musiała się bronić przed jakimkolwiek rozwojem i precyzacją, ponieważ jej siła tkwiła w popularnej mętności. Było to m. in. wynikiem wulgarnego pojmowania zasady klasowości teorii społecznych; prymitywna socjologia pseudo-marksistowska zakładała, że cała treść tych teorii jest określona interesami klasowymi (przy czym, nawiasem mówiąc, istnienie ogromnej wielości kierunków w socjologii i filozofii burżuazyjnej stawało się zgola zagadkowe); stąd i cała treść marksistowskiej doktryny jest zdeterminowana interesami partii robotniczej; skoro zaś interesy te, jak głosi inna zasada, nie mogą popaść w konflikt z rozwojem prawdziwej wiedzy o świecie, tedy wszystko, czego przyjęcie służy tym interesom, jest prawdziwe; jednak — co mianowicie służy tym interesom, określało się bez teorii, przy pomocy samych decyzji politycznych. W tej sytuacji teoria musiała działać według zasady: wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne — w tej najbardziej trywialnej interpretacji. Do teorii wprowadzony został „porządek“ w tym sensie, iż została ona ujęta w całość pozornie usystematyzowaną, a faktycznie zamkniętą, wyczerpującą ogół możliwych problemów teoretycznych i całość zasobu pojęć dopuszczalnych, sfetyszyzowanych i niedostępnych analizie. Wedle jakiej zasady wprowadza się ową czynność porządkującą — to rzecz bez znaczenia: ostatecznie wszystko jedno, czy wyklada się marksizm wedle czterech „cech“ dialektyki, czy wedle kilkunastu „kategorii“, jeśli zakłada się przy tym milcząco, że wyczerpują one cały aparat dozwolonych w użyciu pojęć i narzucane są jako jedyny i obowiązujący system organizacji myślenia. Wszelka petryfikacja doktryny prowadzi z konieczności do jej przeobrażenia w mitologię, otoczoną rytualnym kultem, uczynioną przedmiotem czci dewocyjnej, a wolną od wszelkiej krytyki. W tej sytuacji postęp teoretyczny staje się niemożliwy, a nowe dogmaty, które się pojawiają,

są zmonopolizowane i podawane bez uzasadnień jako obiekty wiary; w tej sytuacji również ogłaszane są jako osiągnięcia teoretyczne zawstydzające banały; za zdobycz naukową uchodzi pogląd, że np. w dramacie powinien istnieć konflikt oraz działać zasada typowości — zasady znane z poetyki Arystotelesa; jak bolesny żart wygląda tłumaczenie, że nie wszystkie wynalazki w dziejach techniki są dziełem jednego narodu; za genialne odkrycie uchodzi prawda, że wszystkie zjawiska w świecie pozostają w oddziaływaniu wzajemnym — odwieczny komunał spotykany w dziesiątkach najrozmaitszych kierunków filozoficznych. Od stuleci znane truizmy przedstawiane są jako twórcze wyniki naukowego postępu. Głęboko poniżające jest stwierdzanie, że nie należy fałszować dokumentów historycznych, że w nauce potrzebne jest uzasadnienie głoszonych poglądów, że krytyka przeciwnika naukowego ma być rzeczowa itd.

W panującej obecnie w teorii marksistowskiej sytuacji, można by życzyć sobie zaiste, aby Karol Marks zmartwychwstał. Otóż to właśnie jest mało prawdopodobne. Dlatego praca teoretyczna, która tworzyć ma dla ruchu komunistycznego naukowo ugruntowane podstawy działania politycznego, adekwatnego do współczesnej epoki, może być tylko kolektywnym wysiłkiem intelektualistów-komunistów wyspecjalizowanych w różnych dziedzinach wiedzy o społeczeństwie, uzdolnionych do korzystania z doświadczeń życia codziennego mas ludności i wyczulonych na głos opinii publicznej. Jest to potrzebne i po to, aby komunistyczny pogląd na świat umiał reagować na problemy, jakie rodzi życie światopoglądowe naszych czasów, które tak samo żyło na wpółutajonym tętnem poza hasłami naszych transparentów, jak olbrzymi obrót pieniężny dokonywał się w społeczeństwie poza kontrolą banków państwowych i urzędowych statystyk.

Przed intelektualnymi środowiskami komunistycznymi stoi zadanie walki o laicyzację myślenia, walki z mitologią i bigoterią pseudo-marksistowską, z praktykami religijno-magicznymi, walki o odbudowę szacunku dla niezłomnego nie skrepowanego świeckiego rozumu. Doświadczenie codzienne uczy, że proces ten nie jest zakończony i nie może przebiegać bez wielkich oporów wynikłych z istnienia znacznej liczby ludzi, których społeczna pozycja żywi się tylko zachowanymi elementami antydemokratycznego sposobu sprawowania władzy i związanego z nimi najściślej anty-intelektualnego sposobu myślenia (nie tylko ludzi: również systemów organizacyjnych i instytucji). A ponieważ związek ów jest dwustronny, ponieważ, jak wspomniano, przewyciężenie fetyszyzacji teorii jest samo warunkiem skuteczności politycznego działania ruchu komunistycznego — współdziałanie środowisk intelektualnych wrogich wszelkiej mitologii stanowi niezbędny składnik wysiłków podejmowanych dla politycznego odrodzenia partii. Twórcze środowiska inteligencji są przy tym, z racji swojego zawodu, szczególnie uwarunkowane na impulsy nowości w rozmaitych dziedzinach życia i stosunkowo łatwiej uwalniają się od konserwatyzmu.

Wypełnianie przez inteligencję, w szczególności przez środowiska naukowe, jej normalnej, przez społeczny podział pracy określonej funkcji wymaga zniesienia ograniczeń powstałych w tym zakresie w wyniku fałszywego organizowania związku między życiem naukowym a politycznym oraz fałszywej metody usuwania powstających między nimi konfliktów.

" Szkodliwe jest, po pierwsze, wszelkie *ograniczanie przedmiotu* badań naukowych dla racji politycznych; istnieje ono nadal, a przy świadomości, że wyniki analiz przeprowadzonych w jakiejś dziedzinie rzeczywistości nie mogą ani zostać opublikowane, ani wykorzystane — trudno organizować wokół nich zespołowe prace badawcze (dotyczy to zwłaszcza niektórych fragmentów historii politycznej i historii ideologii oraz niektórych kwestii współczesnego życia krajów wyemancypowanych od kapitalizmu).

Równie szkodliwe po wtóre jest ogłaszanie jakichkolwiek prawd w zakresie, który jest przedmiotem badań naukowych, za „politycznie słuszne” i żądanie ich upowszechniania bez względu na naukową dyskusję. Tam, gdzie krzewią się takie praktyki, nauki humanistyczne muszą ulegać nekrotyzacji intelektualnej, a powołaniem ich staje się splatanie girland wokół gipsowej fasady życia socjalistycznego, uprawiane szczerze przez umysły mniej rolgarnięte i uprawiane cynicznie przez bardziej inteligentnych; cynizm naukowy jest naturalnym produktem gwałcenia zasad naukowego myślenia.

Po trzecie: narzucanie *kierunków badań* środowiskom naukowym, niezbędne w dziedzinach blisko związanych z techniką, jest o tyle niebezpieczne w naukach humanistycznych, że kryje często żądanie dostarczenia argumentacji dla poglądów z góry uznanych za słuszne, wtedy zaś staje się narzucaniem tez pod pozorem stawiania pytań (są przykłady na takie zabiegi). Lepiej znacznie zaufać pod tym względem kolektywnej kompetencji komunistycznych środowisk intelektualnych.

Groźne i lekkomyślne, po czwarte, jest ustalanie jakiegoś *zakresu prawd netykalnych* i wyłączonych z dyskusji; sytuacje takie wyłaniają w swoich skutkach różne formy pozanaukowego monopolu w nauce — skoro muszą istnieć grona uprawnione do ustalania tego zakresu. Otóż operacje takie są niemożliwe z tej choćby racji, że w naukach humanistycznych, w szczególności w socjologii i filozofii, podstawowe pojęcia są na ogół niejednoznaczne, a przez to niejednoznaczne są również tezy, w których pojęcia te są zaangażowane. Dlatego szkodliwe jest określanie z góry granic dopuszczalnej dyskusji, grożące sytuacją, kiedy słowa „marksizm” i „marksistowski” będą używane jako narzędzie szantażu i kiedy środki polemiki naukowej będą zastępowane administracyjnym naciskiem, demaskującym słabość teoretyczną strony dyskutującej. Nie oznacza to, oczywiście, hasła nieskrępowanej swobody dla wszelkich form anty-nauki, którym ciągle nie brak środków odżywczych w naszym życiu umysłowym — oznacza tylko hasło stworzenia atmosfery, w której poziom naukowy, dający się przecież ustalać przez fachowe zespoły twórcze, będzie sam określał granice dyskusji. Gdzie istnieje katalog twierdzeń bezdyskusyjnych, niejako dogmatyka szkolna, tam pozostałe myślenie staje się apologetyką — jest to prawidłowość aż nazbyt dobrze sprawdzona w dziejach kultury i anty-kultury.

Wszystkie te reguły dotyczą wszakże tylko jednego elementu sytuacji: oddziaływania na środowiska naukowe w sposób ignorujący ich opinie i sprzeczny z zasadami ich pracy. Drugim elementem jest sprawa odpowiedzialności społecznej tych środowisk. Albowiem komuniści-pracownicy nauki nie przestają być komunistami zajmując się kwestiami socjologii lub filozofii, a ruch robotniczy ma nie tylko własne cele polityczne, ale i własny pogląd na świat, w którym zawierają się również liczne założenia nau-

kowe. Wydaje się zatem, że komunista jest jako taki zobowiązany do akceptowania pewnej sumy założeń typu naukowego, a zarazem że — jeśli chce zachować naukową postawę — musi być przekonany, iż nie ma takich twierdzeń, które a priori nie mogą podlegać krytyce, dyskusji, rewizji a to stanowi główną różnicę między nauką a teologią. Niesposób postulować, aby ruch robotniczy nie posiadał własnego poglądu na świat i niesposób zarazem uznać nietykalności pewnych prawd. Istnieje obecnie jasno uświadomiona potrzeba walki z degeneracyjnym, rakowatym przerostem ideologii, w której dochodziło do wiary, iż partia jako taka winna wyznawać jakiś określony pogląd na prawa dziedziczenia biologicznego lub na najlepszy rodzaj twórczości muzycznej. Jeśli jednak oczywiste są katastrofalne następstwa takiego systemu, to niemniej oczywiste jest to, że redukcja ideologii komunistycznej do samego celu politycznego nie związanego żadnymi założeniami naukowymi byłaby równie zgubna w wynikach. Jest również prawdą bezsporną, że uczony-humanista nie jest bynajmniej czystą substancją intelektualną motywowaną wyłącznie bodźcami poznawczymu, że jest osobnikiem podległym różnym oddziaływaniom społecznym i niewolnym od klasowych, warstwowych czy klanowych determinacji, z którym to faktem nie podobna się nie liczyć.

Nie zakładając atoli fikcji uczonego, który jest wyłącznie uczonym — uczonym destylowanym i powodowanym samymi racjami naukowymi — możemy przecież uniknąć sprzeczności omówionej sytuacji, jeśli na serio, nie werbalnie, uznamy zasadę, iż interesy ruchu komunistycznego nie stoją w sprzeczności z obiektywną wiedzą o świecie, to znaczy, że *polityczna* inspiracja tego ruchu, który w swym rodowodzie intelektualnym powstał z całej tradycji racjonalistycznej myśli europejskiej — nie może prowadzić do zniekształcania prawdy naukowej w celu dowodzenia prawd ustalonych z góry lub podawanych do wierzenia, czy też, innymi słowy, że działalność naukowa kierowana rzeczywistymi interesami komunizmu polega na możliwie maksymalnej wolności od wszelkiej pozanaukowej motywacji w ustalaniu treści uzyskanej wiedzy i na kształtowaniu najbardziej stanowczej postawy obiektywności i krytycyzmu. Przy tym założeniu nie ma żadnej potrzeby katalogowania założeń świętych, w pracy naukowej niezbędnej ruchowi robotniczemu nie są potrzebne żadne inne kryteria prawdy oprócz orzyjętych i powszechnie wykształconych w nauce; nie powstaje przeciwieństwo między dążeniem do obiektywnej wiedzy naukowej a walką o cele polityczne ruchu. Ideologia partii w tym zakresie, w jakim dotyczy kwestii socjologicznych, ekonomicznych, filozoficznych — musi być, w związku z tym, konstruowana przez środowiska najbardziej w tych dziedzinach kompetentne naukowo i kontrolowana doświadczeniem zbiorowym społeczeństwa. Komuniści-intelektualiści mają obowiązek, ale również prawo ponosić odpowiedzialność za rozwój ideologiczny ruchu rewolucyjnego, nie mają natomiast ani obowiązku, ani prawa przyjmowania w tym celu jakichkolwiek założeń uznanych z góry za niedostępne kontroli i dyskusji.

Ponieważ zaś długoletnia praktyka była antytezą tego programu, do głównych obecnych zadań marksistowskich środowisk naukowych należy przywrócenie i utrwalenie w aktywności umysłowej reguł obowiązujących we *wszelkiej* pracy teoretycznej, a więc również ogólnych zasad myślenia racjonalnego i wysokiej *techniki* naukowej.

Jak wiadomo, nikt jeszcze nie wygrał wojny samym faktem, że bronił

śluszej sprawy, a w życiu naukowym decydują również umiejętności techniczne; jak trafnie zauważył Machiavelli, wszyscy prorocy uzbrojeni odnosi zwycięstwa, a wszyscy bezorężni doznawali porażek. Wartości naukowo trwale i praktycznie użyteczne płyną z wysokiego poziomu technicznego, którego wyrabianie jest aktualnie znacznie ważniejsze niż ustalanie tematów pracy. (Zbyteczne dodawać, że elementarnym warunkiem postępu w tej dziedzinie jest stworzenie ludziom nauki warunków pracy w postaci wolnego czasu; w nauce rzadko się dziś zdarzają genialne improwizacje). Nie mamy powodu przypuszczać, żeby myślenie racjonalne i operujące dobrą techniką kazało uczonemu stanąć w kolizji z celami ruchu robotniczego, za którego przyszłość jest współodpowiedzialny.

W rozumowaniu tym tkwi jednak pewna fikcja w postaci wiary, iż można upowszechnić myślenie racjonalne, pozbawione przesądów i uprzedzeń, w tym stopniu, aby wszyscy, którzy przyjmują założenia marksizmu, akceptowali je na mocy wolnej analizy naukowej. Przekonanie to jest fałszywe. W społecznej, szerokiej skali ideologia marksistowska, zwłaszcza w swoich składnikach bardziej wyspecjalizowanych, działa bez wątpienia również drogami wiary. Podobnie jak owa fictio juris ekonomii politycznej, o której pisał Marks, zakładała, że wszyscy nabywcy towarów posiadają encyklopedyczną wiedzę towaroznawczą, przyjmujemy milczaco, że nabywcy poglądów na świat kierują się wyłącznie motywami czysto racjonalnymi. Skoro tak nie jest — czy wolno nam przystać na zgłoszone postulaty? Możemy bez wątpienia przeciwdziałać naciskowi irracjonalizmu pseudo-marksistowskiego na naukę, uwalniać życie umysłowe od pozanaukowych wpływów w ustalaniu prawd o świecie, przeciwdziałać fałszom i zakłamaniu, likwidować tolerancję dla nieuctwa i bezkrytycyzmu, zwalczać prace o z góry założonych celach apologetycznych i skazanych na to, że będą pośmiewiskiem w nauce, nie dopuszczać do podporządkowania teorii bieżącym zadaniom taktycznym — słowem tępić przyczyny sytuacji, w której tak zwane dyscypliny ideologiczne utraciły kredyt społeczny, i walczyć o przywrócenie im zaufania opartego na racjach intelektualnych. Ale uczeni-komuniści mają również zajmować się krzewieniem marksizmu w masowej skali — a więc takiej właśnie, gdzie same motywacje naukowe nie mogą wystarczyć. Czy można pewne prawdy naukowe podawać do *wierzenia* tam, gdzie nie można w praktyce żądać, aby przyjmowano je na zasadach naukowych? Otóż, oczywiście, można, zgodnie z powszechną praktyką wszystkich innych dziedzin wiedzy, gdzie pewne wyniki podaje się bez uzasadnienia niespecjalistom — w czym nie widać nic gorszego. Chodzi o to, aby uprawiać to zadanie jako popularyzację naukową, to znaczy upowszechnianie, bez szczegółowej argumentacji, pewnej wiedzy o świecie jako wiedzy naukowej, nie zaś prawd „politycznie słusznych“. Nie potrzeba w tym celu roić sobie, że marksizm z tej racji, iż jest naukowym poglądem na świat, może lub musi być na tych samych zasadach przyjmowany przez wszystkich jego wyznawców; założenie takie nie podnosi popularyzacji do roli nauki, ale przeciwnie, sprawia że nauka w całości przeobraża się w popularyzację (co było oficjalnym programem tych, którzy np. sprzeciwiali się założeniu w Związku Radzieckim pisma filozoficznego argumentując, że prasa partyjna jest wystarczającą trybuną dla wszystkich prac z tej dziedziny).

Rodzaj wiary, powstający przy upowszechnianiu wiedzy o społeczeń-

stwie, jest zresztą inny niż w wypadku wiadomości przyrodniczych. Inaczej nie-fachowiec przyjmuje do wierzenia wzór ustalający zależność masy ciała od prędkości, inaczej — twierdzenie, że dynamika procesów społecznych jest bardziej uzależniona od konfliktów klasowych niż od innych form stosunków międzyludzkich. To ostatnie znajduje różne formy potwierdzenia w życiu codziennym i dlatego nie jest przyjmowane tylko na mocy aurytety naukowego, jednak nie może być dobrze uzasadnione bez rozległej wiedzy historycznej oraz ekonomicznej i na owym doświadczeniu codziennym nie daje się ugruntuować dostatecznie.

Natomiast w dziedzinie twórczości intelektualnej potrzebne jest przekonanie, że wszystko musi być zanalizowane na nowo, wszystko podane w wątpliwość (co nie znaczy: odrzucone), że człowiek nauki nie może mieć cienia litości dla przedmiotu swoich badań, jeśli nie chce pogрузić pracy teoretycznej w ten stan, z jakiego teraz z trudem zaczyna się ona wydostawać. Nie może się również nigdy tłumaczyć tym, że w jakiegokolwiek sprawie dotyczącej przedmiotu jego badań, np. w historii, został oszukany, albowiem zadaniem jego jest nie dać się oszukać w dziedzinie, którą się zajmuje; podobnie zresztą dzieje się w życiu politycznym, bynajmniej nie w odniesieniu specjalnie do pracowników nauki: być oszukanym w polityce nie jest usprawiedliwieniem, niekiedy jest niemal takim samym przestępstwem jak oszukiwać samemu.

Teoria, która z jakichkolwiek względów fałszuje rzeczywistość, staje się sama bezbronna, traci możliwości wpływu i choć słucha pochwalnych deklaracji o swojej wielkiej wartości, przybiera postać posługaczki do wszystkich zleceń, odzianej dla kpiny w strój królewski z papieru.

Intelektualiści nie są potrzebni partii komunistycznej po to, żeby zachwycać się mądrością jej decyzji, ale tylko po to, żeby jej decyzje były mądre. Są więc potrzebni komunizmowi jako ludzie wolni w myśleniu, a zbędni jako oportuniści. Praca teoretyczna nie może być użyteczna dla ruchu rewolucyjnego, jeśli jest skrępowana czymkolwiek oprócz dążenia do wiedzy prawdziwej i naukowego rygoryzmu: musi być zatem wolna w imię dobra tego ruchu. Dlatego intelektualiści-komuniści, występując w obronie myślenia niezależnego od nacisku polityki, występują nie tylko w imię abstrakcyjnej wolności nauki, ale także w imię interesów komunizmu, który, jak wiemy od czasów Manifestu Komunistycznego, nie ma interesów odrębnych od całej ludzkości — tak samo w produkcji jak w kulturze.

Fetyszyzacja marksizmu, sprowadzenie go do roli konwencjonalnej ozdoby apologetycznej, żyjącej tylko w fasadzie społeczeństwa, sprawia, że zamiast stawać się krwią życia intelektualnego, może on stać się jego toksyną. Nie należy przez to deprecjonować jego twórczych uzdolnień. Ostatecznie — najbardziej precyzyjny przyrząd może być też użyty do rozbijania głów. Dla rozwoju marksizmu nie są potrzebne „nowe sformułowania”, których trzeba by się wyuczyć, ale obiektywna i technicznie wysoko postawiona analiza nowych — a również starych — zjawisk społecznych.

Potrzebne jest w tym celu zaufanie do samowiedzy marksistowskiej środowisk naukowych i socjalistycznej świadomości inteligencji, bez której niemożliwe jest tępienie mitologii w życiu umysłowym, prymitywizmu i wsteczności w kulturze, ślepoty i lekkomyślności w polityce, kołtuństwa w obyczajowości, wszelkiej reakcji — jakiegokolwiek nosiłaby nazwy — w ludzkim życiu.

Miejsce intelektualistów-komunistów — w ramach partii

Sprawa intelektualistów w ruchu socjalistycznym oraz sprawa stworzenia odpowiednich warunków dla rozwoju nauki marksistowskiej jest sprawą istniejącą nie od dziś w międzynarodowym ruchu robotniczym. Jest jasne, że w różnych okresach czasu, w zależności od konkretnej sytuacji, od warunków danego okresu, koncentruje się uwagę na tej czy innej stronie zagadnienia. Występuje to również wyraźnie w artykule tow. Kołakowskiego. Jest to artykuł aktualny, zrodzony z obecnej konkretnej sytuacji.

Jakie są szczególne aspekty tych dwóch zagadnień w sytuacji obecnej?

Nauka marksistowska podejmuje obecnie wielki wysiłek dla przezwyciężenia schematyzmu i dogmatyzmu, skostnienia i rutyniarstwa — związanych z tym, co określamy w skrócie myślowym jako „kult jednostki“.

Jest zrozumiałe, że pracownicy naszej nauki marksistowskiej szukają dróg i warunków, które na przyszłość zapewniłyby tej nauce pełne możliwości rozwoju — a przez to również pełne wywiązanie się z obowiązków, jakie ma ona do spełnienia wobec klasy robotniczej i państwa ludowego.

W toku obecnej dyskusji niektórzy nasi intelektualisci — podkreślam *nasz*, komunistyczni intelektualisci, nie zaś przedstawiciele istniejących jeszcze u nas w kraju poglądów burżuazyjno-liberalnych lub też fideistycznych — doszli do poszczególnych wniosków niesłusznych, fałszywych. Było to nieuniknione w sytuacji, jaką przeżywaliśmy i jaką w pewnym stopniu przeżywamy nadal; w chwili gdy okazuje się niezbędna gruntowna ponowna analiza niemal wszystkich dziedzin naszej pracy, w chwili gdy staje przed nami zadanie oddzielenia błędów od rzeczy słusznych, narodził się związek z „kultem jednostki“ od żywej tkanki myślowej marksizmu, jest rzeczą nieuniknioną, aby skalpel mniej doświadczonych operatorów nie zaciął gązień w samo ciało (zwłaszcza że w ciągu ostatnich ośmiu lat zrobiliśmy немало, aby u tych operatorów wytrzebić świadomość kryteriów różniących rakowate narośle od żywej tkanki). W toku dyskusji odezwały się również pojedyncze głosy obce. I to było nieuniknione w kraju o naszej strukturze społecznej. Jest błędem nas wszystkich, że nie reagowaliśmy w porę na poszczególne tego rodzaju niesłuszne lub obce wypowiedzi. Ale w świetle całego przebiegu dyskusji wydaje mi się bezsporny fakt, że słuszny był podstawowy kierunek dyskusji, że słuszna była przeważająca większość wypowiedzi i że — co najważniejsze — *w niczym nie należało osłabiać podstawowego uderzenia: przeciwko naruszaniu norm leninowskich, przeciwko dogmatyzmowi i schematyzmowi, przeciwko konserwatyzmowi i obronie zjawisk odziedziczonych po „kulcie jednostki“*.

Znaleźli się jednak towarzysze, którym te poszczególne wypowiedzi przesłoniły *całokształt* zagadnienia. Mielśmy wypadki przeciwstawiania klasy robotniczej i mas chłopskich intelektualistom czy inteligencji w ogóle. Gdzie indziej występowała tendencja do potępienia prasy *w ogóle*. VII Plenum oceniło te zagadnienia w sposób właściwy. Jednak tendencje do przeciwstawiania klasy robotniczej inteligencji są jeszcze gdzieś nadal żywotne. Są to tendencje obce marksizmowi, obce ruchowi robotniczemu.

Głosiciele tych hasełek przez właściwą im ignorancję nawet nie wiedzą, jakich mają poprzedników. Wiadomo, że na początku bieżącego stulecia w rosyjskim ruchu robotniczym działali tzw. „ekonomiści“, którzy usiłowali bronić „dobrych“ robotników pragnących walczyć rzekomo tylko o podwyżkę płac przed „złymi“ inteligentami pchającymi klasę robotniczą do walki z caratem. Wiadomo również, że za takich właśnie „złych“ inteligentów uważali oni przede wszystkim Lenina i jego towarzyszy...

Wiadomo również, że kiedy w latach pierwszej wojny światowej rozkładał się „cuchnący trup“ oportunistycznego socjaldemokratyzmu, kiedy najlepsze elementy ruchu robotniczego skupiały się na nowo pod sztandarami komunistycznej Międzynarodówki — bonzowie socjaldemokratyczni robotniczego pochodzenia, ludzie, którzy zdradzili swą klasę i poszli na służbę kapitału, szczuli przeciwko komunistom jako „zwarowanym inteligentom“, pchającym rzekomo robotników na pewną śmierć. Wiadomo, że tacy „inteligenci“, jak Karol Liebknecht i Róża Luksemburg, zginęli w 1919 r. jako wodzowie robotniczego powstania, zamordowani przez reakcyjne oddziały wojskowe oficjalnego rządu Republiki Niemieckiej, którymi kierował minister obrony narodowej tego rządu — socjaldemokrata, z zawodu były czeladnik stołarski, Gustaw Noske...

Nie, stanowczo nie jest pełną chwałą tradycja „inteligentożerstwa“ w światowym ruchu robotniczym...

Niedwuznaczny jest również sens polityczny tych „antyinteligencjskich“ teoryjek. Jest to, ujęta w formie apelu do rzekomo klasowej świadomości robotniczej, próba odwołania się do *najbardziej zacofanych* odłamów mas ludowych, najmniej rozwiniętych członków naszej partii i ogni w naszego aktywu — *przeciwko dążeniu do gruntownej, krytycznej analizy naszej rzeczywistości, przeciwko pełnemu wcieleniu w życie tego, co wyznaczyła sobie partia na VII Plenum, przeciwko temu, czego chce większość partii, o co, wraz z kierownictwem partii, biją się najlepsi nasi towarzysze, zarówno spośród świadomych robotników, jak i spośród naszej partyjnej inteligencji.*

Dlatego trzeba dziś przeciwstawiać się ze szczególną stanowczością wszelkim próbom wbijania klina między inteligencję a klasę robotniczą. Krytykując błędy poszczególnych intelektualistów — tak samo jak krytykując błędy poszczególnych działaczy robotniczych — należy to czynić w taki sposób, aby *wzmacniać więź między inteligencją a klasą robotniczą, aby przodujące siły inteligencji polskiej skupiać coraz bardziej pod znakiem marksizmu-leninizmu w walce o jego szeroki rozwój, o pełną realizację w naszym życiu zasad leninowskich.*

Artykuł tow. Kołakowskiego kieruje się troską o zapewnienie właściwych warunków rozwoju nauki marksistowskiej, o właściwy stosunek do partyjnej inteligencji. Z tej troski wypływają również wysunięte przez tow.

Kołakowskiego postulaty dotyczące „zniesienia ograniczeń powstałych w tym zakresie w wyniku fałszywego organizowania związku między życiem naukowym a politycznym oraz fałszywej metody usuwania powstających między nimi konfliktów”.

Wydażę mi się, że te zasadnicze postulaty są całkowicie słuszne. Wychodzą one w istocie rzeczy z jednego założenia — że marksizm jest zainteresowany w poznaniu obiektywnej prawdy, *całej* prawdy i *tylko* prawdy o zjawiskach społecznych, którymi się zajmuje, że stawianie przeszkód na drodze naukowego zbadania tej prawdy jest działaniem na szkodę marksizmu, a więc i na szkodę rewolucyjnego ruchu robotniczego.

Co do tego nie może być dwóch zdań — choć praktyka ostatniego dziesięciolecia była pod wieloma względami sprzeczna z tym podstawowym założeniem.

Artykuł tow. Kołakowskiego — a ściślej mówiąc niektóre jego sformułowania bądź niektóre niedopowiedzenia — nasuwają mi jednak pewne wątpliwości.

Przy tym chcę zastrzec się z góry co do dwóch rzeczy.

Po pierwsze: tow. Kołakowski na początku pisze o inteligencji *w ogóle* — a także później niejednokrotnie używa tego słowa. W istocie jednak rzeczy większość jego rozważań odnosi się do *intelektualistów* — do górnej warstwy, czołówki tego, co nazywa (niezbyt zresztą, jak mi się wydaje, szczęśliwym określeniem) „*inteligencją nauczycielską*”, do tych, którzy tworzą i rozwijają dobra kulturalne, obsługują to, co nazywamy (podług mnie również niezbyt szczęśliwym, choć utartym określeniem) „*frontem ideologicznym*”. Stąd często powstaje niejasność jego wypowiedzi.

W dalszych mych uwagach będę więc mówił tylko o *tej części inteligencji, której codzienna praca polega właśnie na tworzeniu lub upowszechnianiu wartości intelektualnych, ideowych — o intelektualistach, o ideologach*. W tym też znaczeniu będę używał dalej słowa „*inteligencja*”.

Po drugie. Tow. Kołakowski mówi wprawdzie o nauce w ogóle, ale i tutaj znaczna część jego wywodów odnosi się przede wszystkim do nauk społecznych, stanowiących główny ośrodek zainteresowań marksizmu. I tutaj chcę wyraźnie ograniczyć swoje uwagi tylko do tej dziedziny wiedzy ludzkiej. Gdziekolwiek w swych uwagach mówię o nauce bez bliższego określenia, mam na myśli nauki społeczne.

* *

Tow. Kołakowski pisze:

„...inteligencja jest warstwą, która rozporządza olbrzymią większością umysłowych środków oraz umiejętnością wychowawczego, kulturalnego oddziaływania. Natomiast nie rozporządza ona jako warstwa (lub tylko w niewielkim stopniu) materialnymi i technicznymi warunkami tego oddziaływania, przez co łatwo staje się uzależniona od grup bądź ekonomicznie najsilniejszych, bądź sprawujących władzę państwową”.

Formuła ta nasuwałaby mi wątpliwości, nawet jeśli idzie o inteligencję w szerokim tego słowa znaczeniu, obejmującym powiedzmy wszystkich absolwentów wyższych uczelni. Ale z całą pewnością jest ona rażąco jednostronna — i dlatego niesłuszna — jeśli idzie o tych, o których mi chodzi — o czołówkę ideową.

Sprawa w tym, że intelektualiści, grupy ideologów (o warstwie trudno

tu mówić — po prostu jest ich na to za mało), a w każdym razie ich podstawowy trzon — to część składowa danej klasy panującej. Każdy, kto bodaj powierzchownie przeglądał statystykę społeczną przedwojennych polskich wyższych uczelni, wie, jak nieproporcjonalnie wysoki tam był odsetek dzieci burżuazji i obszarnictwa, a jak znikomy odsetek dzieci robotników czy biedoty wiejskiej. I bynajmniej nie można tego tłumaczyć za cofaniem kulturalnym i ekonomicznym Polski przedwrześniowej. W najbardziej rozwiniętych krajach kapitalistycznych Europy ta różnica zarysowuje się jeszcze bardziej wyraźnie. Wielkie arystokratyczne uniwersytety angielskie w Oxfordzie czy w Cambridge — te prawdziwe wylęgarnie ideologów i działaczy imperium brytyjskiego — to rezerwy zastrzeżone przede wszystkim dla dzieci bardzo zamożnych ludzi. Nie może być inaczej. Klasa rządząca — w danym wypadku wielka burżuazja i wielkokapitalistyczne obszarnictwo — chce pozostawić swym dzieciom nie tylko „materialne i techniczne warunki oddziaływania“ na społeczeństwo, ale również „środki umysłowe“ i „umiejętność wychowawczego, kulturalnego oddziaływania“. Czyni to zapewniając im jeśli nie monopol, to w każdym razie daleko idące uprzywilejowanie na wyższych uczelniach — zwłaszcza tych najważniejszych — przy pomocy środków właściwych kapitalizmowi — przy pomocy bariery pieniądza.

Ale tak samo nieuniknione jest w społeczeństwach klasowych, że inne klasy, przeciwstawiające się wielkiemu kapitałowi, dążą do wykształcenia swoich własnych intelektualistów wyrażających ich specyficzne interesy klasowe, ich poglądy, ich stanowisko. Walka klasowa jest przecież walką ideologiczną, walką światopoglądów klasowych o wpływ na ludzką umysł i serce, wpływ, który dopiero pozwala zmieniać rzeczywistość społeczną. Ci intelektualiści klas przeciwstawnych wielkiemu kapitałowi tylko w niewielkim stopniu kształtują się na wyższych uczelniach. Część ich dochodzi do swych nowych pozycji ideowych wbrew kierunkowi ideowemu, jaki otrzymali na wyższych uczelniach. Inna ich część kształtuje się w ogniu walki, w samym życiu, omijając w ogóle „normalną“ drogę wiodącą przez wyższe uczelnie.

Rzecz jasna — i tutaj tow. Kołakowski ma rację — na tym szczeblu mniej niż gdziekolwiek indziej można mówić o czymś, co określiłbym jako rasizm socjalno-pochodzeniowy, jako bezpośrednie uzależnienie idei, które rozwija ideolog, od pozycji klasowych jego rodziców lub nawet jego samego. Marks wskazywał wielokrotnie, że jeśli idzie o ideologów, to klasowy charakter ich poglądów polega na tym, że ich rozumowanie, ich myśli ograniczone są przez takie same „końskie okulary“, przez które w życiu ograniczone jest myślenie odpowiadające im klasy społecznej. Czyż interes klasowy, czyż klasowe stanowisko odzwierciedla dany pogląd na społeczeństwo — oto co decyduje o klasowym charakterze twórcy tego poglądu. Życie płata tu nieraz osobliwe figle. Jak wiadomo, Fryderyk Engels wypracowywał ideologię proletariatu spędzając codziennie określoną ilość godzin w kantorze kapitalistycznej firmy manchesterskiej, której był wspólnikiem. Ale ten fakt bynajmniej nie zmienia realności klasowego charakteru ideologii, klasowej pozycji jej twórcy, klasowego zdeteminowania jego stanowiska.

Mamy tu cały splot różnych oddziaływań: i pochodzenie społeczne, i konkretne warunki, w których wyrastała dana jednostka, warunki, które kształtowały jej specyficzny charakter, i wielkie burze dziejowe, przerzucające

nieraz nie tylko pojedynczych ludzi, ale i całe warstwy społeczne z jednego obozu do drugiego. Nie da się tu zastosować żadnego schematu: ani prostackiego schematu „ankietowego” pochodzenia, ani drugiego schematu: odrębności inteligencji od klas panujących, „uzależnienia” czy „współpracy”. Myślę, że trzeba się trzymać starej zasady — *klasowego odpowiednika ideologii w społecznej rzeczywistości*, rezygnując z wszelkich pochopnych a niezbyt zgodnych z tą rzeczywistością uogólnień.

Analiza rozwoju ruchu robotniczego w pełni potwierdza opinię, że do tej sprawy należy odnosić się z maksymalną ostrożnością. Oczywiście — tow. Kołakowski ma rację, kiedy przypomina znane leninowskie twierdzenie, że w okresie narodzin ruchu robotniczego pierwsze kadry ideologów i przywódców tego ruchu rekrutują się z ludzi „z zewnątrz”, spośród inteligencji pochodzenia nieproletariackiego. Ale niesposób pominąć — a tow. Kołakowski właśnie to niestety pominął — że ludzie ci stają się ideologami proletariatu *przeciwstawiając się* sposobowi myślenia, światopoglądowi, nawet nawykowi życiowym warstwy, z której pochodzą, zajmując *wbrew tej warstwie* ideowe stanowisko nowej klasy, zrywając, nieraz w sposób niezwykle dramatyczny, z tą warstwą. I Marks, i Lenin byli niewątpliwie inteligentami nieproletariackiego pochodzenia. Ale tow. Kołakowski wie również dobrze, że można zapełnić całe tomy niesłuchanie ostrymi wypowiedziami zarówno Marksa, jak i Lenina na temat szkodliwego oddziaływania inteligentckiego sposobu myślenia na ruch robotniczy. I tow. Kołakowski wie również, jak wielką wagę przykładął Lenin właśnie do wyrastania z klasy robotniczej i mas chłopskich kadr nowej inteligencji proletariackiej — bo czym, jeśli nie przedstawicielem proletariackiej inteligencji, *ideologiem swej klasy* jest ten, kogo Lenin określa mianem „zawodowego rewolucjonisty”?

Fakty mówią, że ideowe kierownictwo ruchu robotniczego, kadry ideowe, które wypracowują teorię tego ruchu i określają jego politykę, kształtuje się w sposób inny niż zakładałby to jeden lub drugi schemat. Obok działaczy pochodzenia nieproletariackiego, którzy odrzucając poglądy właściwe swej dawnej warstwie przechodzą na pozycję proletariatu, bardzo szybko wyrastają działacze pochodzenia proletariackiego, „samorodki”, którzy w mozolnej pracy nad sobą osiągają wysoki poziom ideologiczny. Wydaje mi się, że dla ruchu robotniczego typowe jest właśnie zespolenie działaczy ideologicznych pochodzenia nieproletariackiego i takich samych działaczy pochodzenia proletariackiego złączonych jedną ideologią — ideologią marksizmu. *Nie taki czy inny rasizm socjalno-pochodzeniowy, ale hart ideowy oraz konsekwencja w rewolucyjnym przemyśleniu sprawy do końca* określają pozycję każdego z nich w ruchu robotniczym. Bebel nie dlatego wyrósł na uznanego wodza klasy robotniczej Niemiec w walce z Bernsteinem, że był robotnikiem z pochodzenia, gdy Bernstein był inteligentem — niemniejszym szacunkiem niż Bebel otaczany był przecież w tym ruchu Wilhelm Liebknecht, niewątpliwy inteligent, pra-pra-wnuk Marcina Lutra. Rzecz w tym, że zarówno Bebel, jak i Liebknecht reprezentowali *marksizm*, rewolucyjną ideologię proletariatu, gdy Bernstein (i tacy sprzymierzeni z nim oportuniści pochodzenia robotniczego, jak np. Scheidemann) reprezentował *rewizjonizm*, ugodę z burżuazją, wpływ ideologiczny burżuazji na ruch robotniczy.

To samo zjawisko występowało również w polskim ruchu robotniczym. Ideologię Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz zwłaszcza

Komunistycznej Partii Polski w jej najlepszych okresach wypracowywała czołówka ideologiczna, w której obok siebie znajdowali się autentyczni robotnicy, jak Próchniak, Paszyn, Danieluk-Stefański, oraz towarzysze pochodzący spośród inteligencji. *Aktyw rewolucyjny* tworzył teorię polskiego ruchu komunistycznego. Aktyw — zarówno pochodzenia robotniczego, jak i inteligenckiego, zarówno zasiadający w centralnych instancjach partyjnych, jak i współpracujący z tymi instancjami, choćby znajdował się poza nimi.

W artykule tow. Kołakowskiego razi mnie właśnie jakieś wyodrębnienie inteligencji komunistycznej, pewne przeciwstawienie komunistów-pracowników frontu ideologicznego — partii, awangardzie klasy robotniczej.

Słusznie ostrzegając przed żądaniem od środowisk naukowych „dostarczenia argumentacji dla poglądów z góry uznanych za słuszne“, tow. Kołakowski uważa, że „lepiej znacznie zaufać pod tym względem *kolektywnej kompetencji komunistycznych środowisk intelektualnych*“. A gdzie indziej, wskazując słusznie na niebezpieczeństwo używania słów „marksizm“ i „marksistowski“ jako narzędzia szantażu i nacisku administracyjnego, proponuje odwoływać się do „fachowych zespołów twórczych“.

Oczywista, „kolektywnej kompetencji komunistycznych środowisk intelektualnych“ trzeba ufać, na tych środowiskach trzeba opierać się wypracowując ideologię partii. Ale czy można opierać się *tylko* na nich, czy należy ograniczać się do nich?

Zdaje mi się, że tow. Kołakowski przyjmuje tu za dany i niezmienny stan, który powstał właśnie wskutek paraliżującego wpływu samowładztwa Stalina na życie ideowe partii. Funkcje analizy rzeczywistości wprowadzone zostały w tym okresie do komentowania raz objawianej prawdy. funkcje zaś zmieniania rzeczywistości — do sprawnego wykonywania z góry wydanej dyrektywy. Nastąpił przy tym ścisły rozdział sformalizowanych w ten sposób funkcji teoretycznych — funkcji analizy i wyjaśniania rzeczywistości — od funkcji praktyczno-politycznych — funkcji zmieniania rzeczywistości.

Ten podział prowadził — i tu zgodziłbym się z najostrzejszymi choćby sformułowaniami tow. Kołakowskiego — do zaniku wpierw funkcji analizy rzeczywistości, a potem nawet funkcji wyjaśniania rzeczywistości. Ale wyrządził on zarazem niepowetowane szkody również funkcji rządzenia, funkcji zmieniania rzeczywistości.

Tow. Kołakowski ma rację, kiedy podkreśla z całą mocą, że zły jest monopol jednostki czy grupy jednostek na nowe sformułowania, na wysuwanie nowych tez w dziedzinie nauk społecznych. Ale tow. Kołakowski nie widzi lub nie docenia, że zło tkwi w samym *podziale*, w *przeciwstawieniu* tych rzeczy, przeciwstawieniu „praktyków“ — „teoretykom“, tych, którzy mają wyjaśniać rzeczywistość — tym, którzy ją zmieniają.

„Praktycy“, ci, którzy rządzą, narzucają sztywnie niesłuszne tezy. Należy więc uwolnić „teoretyków“ („komunistyczne środowiska intelektualne“, by użyć wyrażenia tow. Kołakowskiego) od hegemonii „praktyków“. Oto *tok* rozumowania tow. Kołakowskiego — w pewnym stopniu przeze mnie uproszczony.

Nie mogę się z nim zgodzić.

Nie można prawidłowo, słusznie, celowo zmieniać rzeczywistości nie ba-

dając jej systematycznie co dzień od nowa, nie rozwijając teorii. Nie można rzeczywiście rozwijać teorii, nie można rzeczywiście głęboko badać zachodzących w niej zmian, nie biorąc udziału w zmienianiu rzeczywistości. W partii bolszewickiej, wśród lewicy socjalistycznej przed pierwszą wojną światową i w partiach komunistycznych okresu międzynarodowego (zwłaszcza lat dwudziestych) podstawowe prace teoretyczne pochodziły od ludzi *stojących obu nogami w praktycznym ruchu rewolucyjnym*. Ludzie ci byli jednak rzeczywiście uczestnikami wielkiego trudu nad wypracowywaniem polityki partii, nie zaś wykonawcami lub argumentatorami linii wybranych jednostki czy grupy jednostek. Właśnie dlatego w swej codziennej praktyce i działalności — bez względu na to, czy z pochodzenia byli inteligentami, czy robotnikami, bez względu na to, czy w ruchu pełnili funkcje redaktorów, czy „okręgowców“ (nieraz zresztą pełnili je na przemian) — *potrzebowali oni teorii, wiedzy, warsztatu naukowego, opanowywali ten warsztat i rozwijali marksizm*. Słusznie podkreśla tow. Kołakowski, że dla ruchu robotniczego typu tradeunionistyczno-labourzystowskiego charakterystyczne jest lekceważenie teorii, oddzielenie praktyki od ideologii. Ale charakterystyczne jest ono nie tylko dla tego ruchu. Jest ono charakterystyczne również dla rewolucyjnego ruchu robotniczego okresu tzw. „kultu jednostki“ — z tymi samymi skutkami. Ściśle mówiąc — ze skutkami wielokroć gorszymi, gdyż ruch typu labourzystowskiego nie chce obalać kapitalizmu, nie podejmuje więc zadań, do których niezbędny jest marksizm.

Ktoś może postawić pytanie: argumenty i fakty, na których opiera się cały poprzedni wywód, odnoszą się do przeszłości ruchu robotniczego, do okresu, kiedy ruch robotniczy znajdował się w opozycji, nie sprawował władzy. Czy ten system kierowania ruchem, rozwijania jego ideologii, teorii marksizmu, da się zastosować również w warunkach dyktatury proletariatu, kiedy klasa robotnicza jest klasą panującą, a marksizm-leninizm — ideologią, na której opiera się państwo? Partia i państwo dyktatury proletariatu kształcą przecież szeroką warstwę ludzi, którzy niejako z urzędu, z zawodu zajmują się ideologią marksistowską. Wydaje mi się, że i tutaj mamy do czynienia z niesłusznymi wątpliwościami. Wydaje mi się, że w warunkach władzy ludowej, państwa dyktatury proletariatu, trzeba kłaść właśnie *szczególny nacisk* na połączenie funkcji tworzenia teorii i funkcji stosowania jej w życiu. Właśnie takie połączenie tych funkcji mieliśmy w republikach radzieckich za życia Lenina i w pierwszych latach po jego śmierci. Później było inaczej — z bynajmniej nie najlepszymi skutkami. Jeśli idzie o podstawowe ośrodki ideologiczne marksistowskiej nauki o społeczeństwie odpowiadające ośrodkom uniwersyteckim (np. były Instytut Nauk Społecznych), to sądzę, że całkowite niemal zamknięcie pracowników tych ośrodków w ramach działalności naukowej, daleko idące oddzielenie ich od działalności praktycznej partii, chociaż nawet niekiedy akceptowane przez niektórych pracowników tych ośrodków, sprowadzenie ich roli do funkcji wykładania, komentowania, ilustrowania decyzji, jak pisze tow. Kołakowski: objawionych z góry, tzn. powziętych poza nimi, bez ich udziału w przygotowaniu tych decyzji — jest w istocie rzeczy zjawiskiem pochodnym biurokratycznego wypaczenia, które w tym konkretnym wypadku polega na wyodrębnieniu pracowników typu twórczego od procesów, w których toku jedynie ci pracownicy mogą rozwijać prawidłowo swe uzdolnienia.

Wyjście jest jedno: ponownie *zespolic* funkcje *rzadzienia*, funkcje *kształtowania rzeczywistości* z funkcjami jej *analizowania i badania*. Chodzi o to, aby wykorzystać — jak je nazywa tow. Kołakowski — „intelektualne ośrodki komunistyczne”. *ich wiedzę przy WYPRACOWYWANIU LINII PARTII*. Zaczynamy to już robić w dziedzinie nauk ekonomicznych — nieśmiało, w sposób niewystarczający, ale z bardzo zachęcającymi pierwszymi rezultatami. Równocześnie trzeba, by w pracy tych ośrodków brali poważni — i rzeczowi — udział kierownicy pracownicy danych działów praktyki partyjnej i państwowej (pogarda czy lekceważenie „praktyków” dla działalności teoretycznej — przy deklaratywnym podkreślaniu wagi teorii — to także typowe szkodliwe wypaczenie ostatnich dziesięcioleci, obce zarówno starej KPP, jak i leninowskiej praktyce bolszewików).

Wydaje mi się, że nie sprzyjają takiemu jedynie słusznemu rozwiązaniu sprawy niektóre akcenty i sformułowania w artykule tow. Kołakowskiego.

„Intelktualiści, którzy tworzą teoretyczne podstawy działania politycznego, nie są też po prostu „pomocnikami” ruchu robotniczego, ale niezbędnym warunkiem jego istnienia”.

„Rola inteligencji w ruchu komunistycznym nie polega jednak tylko na twórczości teoretycznej niezbędnej w politycznych działaniach. Inteligencja jest właściwym twórcą kultury socjalistycznej w jej formach najrozmaitszych, ale nade wszystko intelektualnej i artystycznej, tzn. tym tendencjom ewolucji dziejowej, które prowadzą do zagłady kapitalizmu, a które dochodzą do skutku w wyniku walki klas wyzyskiwanych, nadaje formę odpowiednią do społecznego obiegu i zdolną wpływać na kształtowanie świadomości społecznej. W warunkach życia kapitalistycznego proletariatus pozostaje z konieczności pod stałym naciskiem kulturalnym tych warstw, z którymi najbliższy jest jego kontakt i najpospolite wzajemne przechodzenie z jednej klasy do drugiej: chłopstwa i drobnej burżuazji miejskiej. Bez udziału inteligencji klasa robotnicza z trudnością może się też uwalniać od wpływu kulturalnego drobnomieszczaństwa”.

W tych fragmentach pozorne, częściowe prawdy ujęte są tak jednostronnie, że stają się całą nieprawdą. Przecież w naszych warunkach kadry „inteligencji nauczycielskiej” (i to kadry w dużym stopniu masowe!) wyrastają, dzięki daleko idącemu udostępnieniu wyższych uczelni, w rosnącym stopniu z klasy robotniczej i z mas chłopskich. Jak oddzielić syna robotniczego, który ukończył wyższą uczelnię i jest teraz dziennikarzem — od jego rodzonnego brata, który pozostał w fabryce, gdzie pracuje ojciec? Dla czego *monopol* na uleganie wpływom drobnomieszczańskim ma akurat ten spośród braci, który pozostał w fabryce? Przecież to jest stawianie rzeczy na głowie! Myślę, że wpływom drobnomieszczaństwa (i burżuazji!) może ulegać zarówno *jeden*, jak i *drugi*. Zgoda — *inaczej* wygląda to oddziaływanie. W jednym wypadku jest to po prostu oddziaływanie mętnych, nieświadomych w pełni gustów, nawyków, uprzedzeń. W drugim, tym uniwersyteckim — nieraz oddziaływanie ideologiczne w formie najbardziej skoncentrowanej, plus oszołomienie bogactwem — rzeczywistym bogactwem! — kulturalnej tradycji burżuazyjnej, plus sporo snobizmu. Walka klasowa w dziedzinie ideologii trwa w naszym kraju, oddziaływa ona również na naszą komunistyczną inteligencję. Tow. Kołakowski pomija tę sprawę w swym artykule.

Jest to jednostronność co najmniej osobliwa. Marksizmowi obcy jest kult „odcisków na robotniczej dłoni“, kult szerzony zwłaszcza przez takich ex-robotników, którzy na własnych dłoniach zdążyli się już dawno tych odcisków pozbyć. Ale myślę, że marksizmowi obcy jest również kult gabinetowego uczonego, który spogląda z góry na proletariacką masę organicznie skazaną na to, by ulegać „przełożonemu naciskowi kulturalno-obyczajowemu drobnomieszczaństwa“... i by być ratowaną przez jedynie ponoć wolne od tego nacisku „komunistyczne ośrodki intelektualne“.

*
*
*

Z różnicą koncepcji socjologicznej: „intelektualne ośrodki komunistyczne“ w przeciwstawieniu do ruchu, do partii klasy robotniczej czy też te ośrodki jako jedno z podstawowych ogniw partii i ruchu robotniczego — wiąże się i drugie podstawowe zagadnienie poruszone przez Kołakowskiego — nazwijmy je zagadnieniem woźności nauki marksistowskiej.

Co u tow. Kołakowskiego jest słuszne, świeże, nowe (w gruncie rzeczy stare, ale przypominane na nowo i brzmiące po nowemu), pociągające, a nawet porywające? Jest to patos *walki o prawdę, o poznanie prawdy*, o to, że marksista musi *patrzeć prawdzie w oczy*, poznać ją, mówić pełnym głosem o tej prawdzie swojej klasie i partii. Jest to przeciwstawienie się koniunkturalizmowi, podporządkowaniu teorii marksistowskiej przejściowej taktyce, oderwaniu teorii od badania rzeczywistości, obrona naukowych metod pracy, które jedynie zapewniają rozwój teorii. Jest to żądanie zwrócenia się twarzą ku konkretnym faktom dnia dzisiejszego, żądanie badania tych faktów i wyciągania wniosków na podstawie tych faktów.

Całkowicie słuszne są uwagi tow. Kołakowskiego, kiedy na str. 24 wskazuje na szereg podstawowych problemów współczesnego społeczeństwa, spośród których, moim zdaniem, wysuwają się na czoło zagadnienia związane z mechanizmem władzy w społeczeństwach rządzonych przez partie komunistyczne. Wypada całkowicie zgodzić się z tow. Kołakowskim, kiedy stwierdza: „*Bez analiz tego rodzaju przeprowadzanych w warunkach absolutnej swobody a wymagających m. in. odrodzenia socjologu jako nauki samodzielnej, nie zaś zbioru popularnych komunalów — bez takich analiz partia nie może znać ani przewidywać rzeczywistych skutków własnych postanowień*“.

Ale i tutaj szereg spraw wymaga uzupełnienia.

Marksizm jako teoria rozwoju społecznego jest nauką sensu strictissimo, tzn. prawidłowym odzwierciedleniem rzeczywistości, wypracowanym przy zastosowaniu pełnego aparatu techniki naukowej swojej doby, odzwierciedleniem, które powinno być udoskonalane przy pomocy wszystkich najnowszych metod naukowych (o ile stanowią one rzeczywisty postęp naukowy, a nie są tylko przejściową modą, kolejnym nowoczesnym szamaństwem).

Jest on zarazem nauką o charakterze *klasowym*, nauką, która zapowiadając i kreśląc drogi historycznie nieuniknione zwycięstwa proletariatu może rozwijać się *tylko w oparciu o klasę robotniczą i tylko w walce z ideologami burżuazji (ideologami w marksistowskim tego słowa rozumieniu — niekoniecznie płatnymi najmitami pióra)*.

Obydwa te aspekty wynikają z treści marksizmu, z historycznej sytuacji, jaka go rodzi. Albowiem nauka, która w nieublagany sposób ujawnia nieunikniony krach kapitalizmu, musi wywoływać opór u ludzi w ten czy inny sposób światopoglądowo czy uczuciowo związanych z kapitalizmem. Z drugiej zaś strony — do czego przyda się proletariatu i jego walce „nauka“, która nie będzie naukowo, to znaczy w sposób maksymalnie ścisły i prawdziwy, analizowała rzeczywistości, która nie będzie mówiła proletariatu „jedynie do końca rewolucyjnej klasie“, *całej* prawdy i *tylko* prawdy o warunkach jej walki, o kapitalizmie, który musi ona obalić, o trudnościach budownictwa socjalizmu, o nieuniknionych niebezpieczeństwach marszu naprzód? Taka nauka nie będzie drogowskazem, nie będzie reflekto-rem oświecającym drogę naprzód, ale co najwyżej — kiepskim kronikarzem, notującym ex post etapy tego marszu.

W ostatnich dziesięcioleciach mieliśmy do czynienia ze zgubnym wypaczeniem, na które słusznie wskazuje Kołakowski: ze skoncentrowaniem się na *klasowej* stronie nauki, ze ZWULGARYZOWANIEM tej klasowej strony, ze sprowadzeniem nauki do roli służki takich czy innych pociągnięć politycznych, ze zlekceważeniem charakteru marksizmu jako nauki, to znaczy ożwierziedlenia obiektywnej prawdy o rzeczywistości. Ale Kołakowski sam wpada w uproszczenie odwrotne — słusznie podkreślając naukowy charakter marksizmu i konieczność dopracowywania się obiektywnej prawdy przy pomocy całego arsenału techniki naukowej — traci z pola widzenia klasowy aspekt sprawy.

Rzecz charakterystyczna: tow. Kołakowski ani słowem nie wspomina o elementarnym fakcie, że cały rozwój marksizmu jako nauki, właśnie jako nauki, jako prawdy o rzeczywistości, odbywa się w walce przeciwko niewątpliwemu wpływowi ideologii burżuazyjnej, przemożnej (jeśli idzie o nauki społeczne) w dotychczasowej nauce światowej — i do ostatniego czasu również w nauce polskiej. Zgoda — etykiety i określenia klasowe w żaden sposób nie mogą zastąpić konkretnego, *naukowego*, dokonanego *naukowymi* metodami unicestwienia tego wpływu. Zgoda — w ostatnich dziesięcioleciach nadużywaliśmy tych etykietek, zastępowaliśmy nimi nieraz naukową polemikę z burżuazyjnymi poglądami. Zgoda nawet i na to, że w obecnej sytuacji należy być raczej ostrożnym z określeniami klasowymi, a nacisk kłaść przede wszystkim na to, co dotąd *zaniedbaliliśmy* — na naukową polemikę, na analizę faktów, na szukanie prawdy. Ale *zapominać* o klasowym charakterze walki ideowej, toczącej się zwłaszcza w naukach społecznych i z nimi związanych, marksiście nie wolno.

W rezultacie u tow. Kołakowskiego występuje jednostronne ujęcie roli techniki naukowej, aparatu naukowego. Bezsporne jest, że kluczowym zadaniem naszych marksistowskich badaczy, zwłaszcza w naukach społecznych, jest opanowanie wszystkich arkanów techniki naukowej. Ale trzeba pamiętać, że technika jest czynnikiem współdecydującym, lecz bynajmniej nie jedynym. Kto zaprzeczy, że np. prof. Handelsman pod względem erudycji opanowania dyscyplin pomocniczych, znajomości źródeł, niewątpliwie przewyższał o głowę naszych dzisiejszych nawet dobrych młodych historyków-marksistów? Faktem jest, że w latach minionych, w miodowych miesiącach marksizmu uniwersyteckiego w Polsce kładliśmy nacisk przede wszystkim na opanowanie ogólnych zasad marksizmu, niedostatecznie wpajaliśmy natomiast w naszych młodych uczonych zrozumienie roli war-
sztatu naukowego, poszanowanie dla solidnej pracy nad źródłami, dla fak-

tów — i w rezultacie przyczyniliśmy się do tego, że te ogólne słuszne zasady przekształcały się nieraz w bezwartościowe ogólniki. I dlatego słusznie tow. Kołakowski nawołuje do opanowania techniki naukowej, do dbałości o warsztat naukowy, o obiektywizm i racjonalistyczne myślenie w badaniach. Ale jest również faktem, że — by powrócić znów do prof. Handelsmana — *mimo* jego erudycji, *mimo* jego znakomitego warsztatu naukowego, prace jego — najjaskrawiej bodajże ostatnia, ogłoszona pośmiertnie, o Czartoryskim — *nie odzwierciedlają rzeczywistości, nie oddają prawdy, ale wypaczają ją*. Tak samo technika tzw. „badań terenowych“ niejednokrotnie prowadzi do wyobrazimiania roli czynników ubocznych, pośrednich — takich, które *naiezy* uwzględniać, ale które trzeba umiejętnie *umiejscawiać w całokształcie sprawy* — a do pomniejszenia czynników podstawowych, decydujących. Czy wynika stąd, że nasi historycy nie powinni dążyć do dorównania erudycją Handelsmanowi lub, że powinni zrezygnować z badań terenowych? Oczywiście, nie. Wynika stąd jedynie, że erudycję powinniśmy wykorzystać posługując się w jej wykorzystaniu marksistowską metodą badania, a badania terenowe prowadzić *w oparciu o marksistowskie rozpoznanie całokształtu zagadnienia*.

Wypada z pola widzenia tow. Kołakowskiego rola *praktyki* rewolucyjnej ruchu proletariackiego oraz *doświadczenia* mas jako potężnego oręża naukowego poznania rzeczywistości.

Są to sprawy dosyć istotne, zwłaszcza w naszej sytuacji, gdy w świecie naukowym mamy jeszcze poważne wpływy właśnie burżuazyjnej ideologii i gdy zwolennicy tej ideologii w ramach niezbędnej wolności dyskusji naukowej będą niewątpliwie wzmagali swą aktywność.

U podstaw tych wszystkich — nie wiem jak powiedzieć — przemilczeń czy uników leży, jak mi się zdaje, pomieszanie dwóch rzeczy: niezbędnej i palącej konieczności zapewnienia naszej nauce marksistowskiej jak najpełniejszej swobody badań naukowych w ramach partii i w ramach ruchu robotniczego oraz zagadnienia miejsca nauk społecznych jako oręża walki klasowej proletariatu i związanej z tym konieczności decydującego wpływu na rozwój tych nauk zorganizowanej awangardy klasy robotniczej i budującego socjalizm społeczeństwa marksistowsko-leninowskiej partii proletariatu.

Tow. Kołakowski ma po tysiąckroć rację, kiedy pisze: „Intelektualiści nie są potrzebni partii komunistycznej po to, żeby zachwycać się mądrością jej decyzji, ale tylko po to, żeby jej decyzje były mądre. Są więc potrzebni komunizmowi jako ludzie wolni w myśleniu, a zbiedni jako oportuniści. Praca teoretyczna nie może być użyteczna dla ruchu rewolucyjnego, jeśli jest krępowana cokolwiek oprócz dążenia do wiedzy prawdziwej i naukowego rygoryzmu, musi być zatem wolna w imię dobra tego ruchu“.

Ale już w następnym zdaniu, kiedy mówi, że intelektualiści-komuniści powinni wystąpić „w obronie myślenia *niezależnego od nacisku polityki*“ — trudno się z nim zgodzić.

Po pierwsze — nie ma myślenia wolnego od nacisku polityki (jeśli rozumieć przez nacisk polityki to, co przez to rozumieł Marks i Lenin, tj. *kształtowanie stosunków między klasami*). Każde myślenie jest kształtowane przez stosunki klasowe i z kolei wpływa na ich kształtowanie.

Po drugie — komuniści, wszyscy komuniści łącznie z komunistami-intelektualistami, nie mogą przeciwstawiać myślenia polityce, ale tylko *falszywe myślenie* wynikające z *falszywej polityki* i prowadzące do *falszywej poli-*

tyki — słusznemu myśleniu, wynikającemu ze słusznej polityki i prowadzącemu do słusznej polityki.

Tow. Kołakowski używa tu słów nauka i polityka w filisterskim ich rozumieniu, a przecież marksizm wyrósł właśnie w walce z takim ich rozumieniem. Marksizm, jak wiadomo, chlubi się właśnie tym, że opart politykę na naukowych podstawach i że zrozumiał klasowy, a więc polityczny charakter nauk, zwłaszcza społecznych.

Ktoś może zapytać: ale czy nie mieliśmy w ostatnim dziesięcioleciu oddziaływania polityki na naukę — w innym, nie marksowsko-leninowskim sensie tego słowa? Ingerencji instancji politycznych, narzucających pracownikom nauki koncepcje naukowe nie przez dyskusję, przy pomocy argumentów, ale w drodze decyzji, których nie poprzedzała dyskusja, metodami komenderowania i administrowania? Niewątpliwie mieliśmy i niewątpliwie było to wynikiem wypaczenia zarówno polityki, jak i nauki, wypaczenia w pracy zarówno instancji politycznych, jak i placówek naukowych. Aby się od tego uwolnić, trzeba oprzeć na leninowskich zasadach pracę zarówno jednych, jak i drugich, a nie uciekać od zagadnienia przez fikcyjne odgradzanie jednych od drugich.

Tow. Kołakowski pisze:

„Ideologia partii w tym zakresie, w jakim dotyczy kwestii socjologicznych, ekonomicznych, filozoficznych (tzn. w praktyce wszystkich podstawowych zagadnień ideologii i polityki ruchu — przyp. R. W.), musi być w związku z tym konstruowana przez środowiska najbardziej w tych dziedzinach kompetentne naukowo i kontrolowana doświadczeniem zbiorowym społeczeństwa“.

Co to znaczy „kontrolowana doświadczeniem zbiorowym społeczeństwa“? Kto kontroluje? Doświadczenie zbiorowe społeczeństwa — to przecież nie jakieś konkretne ciało — a społeczeństwo polskie np. liczy kilkanaście milionów dorosłych ludzi. Nie będziemy kontrolować ideologii partii w dziedzinie „kwestii socjologicznych, ekonomicznych, filozoficznych“ przy pomocy np. ankiety podobnej do tych, które w krajach kapitalistycznych przeprowadza instytut Gallupa. Wyniki tych ankiet na ogół nie są zbyt wiarogodne — a w każdym razie nigdy nie odzwierciedlają opinii produkujących warstw ludzi pracy. Historycznie ukształtowaną formą, w jakiej awangarda ludzi pracy kontroluje na podstawie swego zbiorowego doświadczenia — i zbiorowego doświadczenia całego społeczeństwa — konstrukcje stworzone przez „środowiska najbardziej kompetentne naukowo“ — jest partia, marksistowsko-leninowska partia proletariatu. O niej u tow. Kołakowskiego nie ma mowy. Jak więc będziemy kontrolować konstrukcję doświadczeniem? Może się mylę, ale w toku myślenia tow. Kołakowskiego miejsce na zorganizowaną kontrolę (poza instytucjami ogólnoprzedsławicielskimi) widzę tylko znowu w „środowiskach najbardziej kompetentnych naukowo“, czyli u samych konstruktorów. Warto nota bene, tak nawiasem, zapytać, kto określa tę „największą kompetencję“ — dyplom uniwersytecki, czy może własne uznanie zainteresowanych? Ale nawet zakładając rzeczywistą kompetencję „konstruktorów“ — czy można polegać tylko na nich?

Sam tow. Kołakowski przyznaje: „Jest również prawdą bezsporną, że uczony humanista nie jest bynajmniej czystą substancją intelektualną, motywowaną wyłącznie bodźcami poznawczymi, że jest osobnikiem podległym różnym oddziaływaniom społecznym i niewolnym od klasowych, warstwo-

wych czy klanowych determinacji, z którym to faktem nie podobna się nie liczyć“.

Sam tow. Kołakowski mówi o „fikeji uczonego, który jest wyłącznie uczonym — uczonym destylowanym i powodowanym samymi racjami naukowymi“.

Czyli mówiąc po prostu tow. Kołakowski przyznaje, że i uczony komunista może ulegać wpływowi („determinacji“) innych warstw, że działają nań nie tylko dowody („racje“) naukowe, lecz również takie nienaukowe, ziemskie rzeczy, jak „oddziaływanie społeczne“.

Jak więc rozwiązać ten dylemat?

Tow. Kołakowski radzi polegać na „poczuciu odpowiedzialności“ komunistów-intelektualistów, zaleca „zaufanie do samowiedzy marksistowskiej“ środowisk naukowych i socjalistycznej inteligencji. Rzecz jednak w tym, że to poczucie odpowiedzialności u tow. Kołakowskiego upodabnia się nieco do odpowiedzialności prezydenta Rzeczypospolitej w sanacyjnej konstytucji z 1935 r. Pan Mościcki — jak wiadomo — był odpowiedzialny „przed bogiem i historią“. Komunistyczni intelektualiści mają być odpowiedzialni przed Marksem, Leninem i również historią. Całe nieszczęście, że Marks i Lenin nie mogą dziś wydawać ocen, a oceny historii bywają spóźnione i kosztowne.

A przecież cała rzecz sprowadza się do jednego: do właściwego stosunku między partią (a to *na codzień* oznacza: między kierownictwem partii, między *instancjami partyjnymi*) a pracownikami *partyjnej*, marksistowskiej nauki.

Przyznaję od razu: sprawa jest trudna.

Doświadczenie mówi, że w minionych dziesięcioleciach instancje partyjne niejednokrotnie ingerowały w naukę w sposób niesłuszny. Ale to samo doświadczenie wskazuje, że *nie tylko w ostatnich dziesięcioleciach, ale na przestrzeni całej historii międzynarodowego ruchu robotniczego* intelektualiści-marksisci, którzy oddzielali się od żywego ruchu — ulegali obcym wpływom klasowym, zatracali i obiektywność, i krytycyzm w stosunku do ideologii burżuazyjnej. Prawdą jest i jedno, i drugie. Nie można uciec od tej prawdy przy najlepszej nawet woli i przy największym poczuciu odpowiedzialności przed Marksem, Leninem i historią.

Tow. Kołakowski ma rację, nie ma takiej tezy naukowej — a więc także takiej tezy Marksa czy Lenina — której nie wolno by było analizować na nowo, konfrontować z faktami i jeśli trzeba, *jeśli to wyniknie z analizy faktów*, odrzucić czy też zmienić w ten czy inny sposób. Marks i Lenin byli geniuszami, ale nie byli wszechwiedzącymi. Mogli się w jakiejś rzeczy mylić. Z całą pewnością nie mogli wiedzieć tego, do czego doszła nauka już po ich śmierci. Ale czy rację ma tow. Kołakowski, kiedy pisze: „w dziedzinie twórczości intelektualnej potrzebne jest przekonanie, że wszystko *musi* być zanalizowane na nowo, wszystko podane w wątpliwość (co nie znaczy: odrzucone), że człowiek nauki nie może mieć cienia litości dla przedmiotu swoich badań, jeśli nie chce pogrążyć pracy teoretycznej w ten stan, z jakiego teraz z trudem zaczyna się ona wydostawać“. Kładę nacisk na słowo „musi“. Bo gdyby tow. Kołakowski napisał: „może“, to miałby niewątpliwie rację. Nie ma takiej tezy, która nie *może* być podana w wątpliwość, to znaczy zanalizowana na nowo. Ale czy *musi*? Czy np. analizując konkretne warunki walki klas w Polsce w roku 1956 muszę podać w wątpli-

wość tezę o nieprzejdanej sprzeczności interesów między burżuazją a proletariatem, tezę o zasadniczej sprzeczności socjalizmu i kapitalizmu monopolistycznego? Dlaczego *muszę*, jeżeli żaden z faktów polskiej rzeczywistości 1956 r. nie budzi we mnie konkretnych wątpliwości co do słuszności tych tez?

Ktoś mógłby powiedzieć, że czepiam się tutaj słów, że różnica między „musi” a „może” jest w tym wypadku znikoma. Nie sędzę, aby tak było. Przeżywamy obecnie okres, kiedy każdy, kto żyw, wychodzi ze „śmiały” tezami na temat konieczności rewizji tych czy innych podstawowych założeń marksizmu. Przy czym nie uważa za stosowne ani *motywować* w sposób naukowy (to znaczy *przy pomocy faktów i argumentów*), *dlatego należy te założenia rewidować*, ani nie uważa za słuszne *podać, w jakim kierunku należy je rewidować*.

Jest chyba zjawiskiem nieuniknionym, że w kraju takim jak nasz, w momencie, kiedy marksieści przeprowadzają gruntowną krytyczną analizę swych dotychczasowych tez, metod pracy i rozumowania — podniosą głos również pseudomarksieści, niemarksieści i antymarksieści usiłując podważyć słuszność marksizmu w ogóle, przede wszystkim tego, co, jak wiadomo, jest najważniejsze w marksizmie — nauki o walce klas i o dyktaturze proletariatu. Nie uważam, że z tego powodu należy wpadać w panikę, a tym bardziej — hamować rozwój naszej marksistowskiej myśli krytycznej. Sędzę natomiast, że od tych niemarksistowskich i antymarksistowskich głosów trzeba się wyraźnie *odgraniczyć, zabezpieczyć* przed ich przenikaniem do naszych szeregów — m. in. przez uświadomienie sobie klasowego charakteru nauki marksistowskiej i przez stanowcze przeciwstawienie się lekkomyślnym, naukowo nieumotywowanym atakom na *podstawowe tezy marksizmu, tezy, które wytrzymały próbę życia i którymi niewątpliwie będziemy kierowali się i w przyszłości*.

Właśnie dlatego sędzę, że trzeba mocno podkreślać zasadę obowiązującą zresztą we wszystkich naukach: dopóki wszystkie istniejące zjawiska w sposób całkowicie pełny da się wyjaśnić przy pomocy istniejącej teorii naukowej, dopóty nie szuka się nowych hipotez lub co najmniej — jeśli ktoś wysuwa taką hipotezę — bada się przede wszystkim, czy „pasuje” ona do rzeczywistości, czy wyjaśnia przynajmniej to, co wyjaśniła w sposób całkowicie wystarczający poprzednia teza naukowa. Dotyczy to i marksizmu. Innymi słowy: *fakt, że każda teza, nawet najbardziej podstawowa, podlega zawsze na nowo krytycznej analizie, wymaga stałego konfrontowania jej z rozwijającą się stale rzeczywistością, bynajmniej nikogo nie upoważnia do podważania tych tez niejako „na zapas”, bez konkretnej koncepcji i umotywowania innej tezy, jak to u nas spotyka się, zwłaszcza w prasie literackiej*.

Chodzi o to, jak pogodzić swobodę nauki marksistowskiej, swobodę jej badań, swobodę dochodzenia do wyników odpowiadających prawdzie naukowej i tylko prawdzie — z tymi rygorami, które wynikają w sposób nieunikniony z charakteru nauki marksistowskiej jako platformy działania.

Zdaje mi się, że i tutaj wypada sięgnąć do zasad leninowskich. Lenin na X Zjeździe w polemice z tzw. opozycją robotniczą dał wyraźną i dobitną odpowiedź na to pytanie. Lenin odróżnia „propagandę idei wewnątrz walczącej partii politycznej” od „naukowej wymiany zdań” w specjalnych wydawnictwach,

W leninowskim projekcie w tej sprawie, przyjętym następnie przez Zjazd, czytamy:

„Z tych wszystkich względów zjazd RKP, odrzucając zdecydowanie wymienione idee, będące wyrazem syndykalistycznego i anarchistycznego odchylenia, uznaje za konieczną:

po 1, nieugiętą i systematyczną walkę z tymi ideami;

po 2, zjazd uznaje propagowanie tych idei za nie dające się pogodzić z przynależnością do RKP.

Polecając KC partii jak najściślejszą realizację tych swoich uchwał zjazd jednocześnie wskazuje, że w specjalnych publikacjach, zbiorach artykułów itp. można i należy przeznaczyć miejsce dla jak najbardziej gruntownej wymiany poglądów członków partii we wszystkich wymienionych zagadnieniach“ (Dzieła t. 32, str. 224, wyd. ros.).

Motywuując ten projekt Lenin mówił:

„...Jeżeli kogoś interesuje zgłębienie ze wszystkimi subtelnościami cytatów z Engelsa — proszę bardzo! Są teoretycy, którzy zawsze dadzą partii pożyteczną radę. To jest konieczne. Wydamy dwa—trzy duże zbiory artykułów — to jest pożyteczne i absolutnie konieczne. Ale czyż ma to coś wspólnego z walką platform, czyż można to płać?“ (tamże, str. 231).

„Nie hamuj naszej pracy politycznej, zwłaszcza w chwilach ciężkich. Jeżeli tow. Szażnikow, mówiąc przykładowo, w uzupełnieniu do swego tomu, który wydał niedawno, a który opisuje doświadczenia jego walki rewolucyjnej jeszcze z okresu nielegalnego, wyda w najbliższych miesiącach napisany w wolnych chwilach drugi tom, zawierający analizę pojęcia „wytwórca“ — to proszę bardzo! Niniejsza zaś rezolucja posłuży nam za drogowskaz“ (tamże, str. 231—232).

„...Analizowaliśmy ją od wszystkich stron (platformę opozycji — przyp. R. W.) i pod każdym względem, wybieraliśmy na podstawie tej platformy, zwołaliśmy wreszcie zjazd, który podsumowuje wyniki dyskusji politycznej i stwierdza: odchylenie skryształizowało się, nie bawmy się w chowanego, powiedzmy otwarcie: odchylenie jest odchyleniem, trzeba je naprawić, naprawimy je, a dyskusja — będzie dyskusją teoretyczną“ (tamże, str. 232).

Wydaje mi się, że w tym leninowskim sformułowaniu mamy zawarte obie strony zagadnienia: z jednej strony konieczność przestrzegania przez członków partii jedności działania w dziedzinie *propagandy idei, upowszechniania poglądów*, tam gdzie te poglądy zostały ustalone przez partię, przez jej najwyższą instancję — Zjazd jako obowiązujące całą partię (oczywiście — ta jedność przestaje obowiązywać w momencie otwarcia dyskusji partyjnej, której sensem jest właśnie umożliwienie całej partii wyrobienia sobie zdania w danej sprawie). Mamy z drugiej strony — *dla wszystkich spraw bez wyjątku swobodę badań naukowych, wymiany zdań, dyskusji w ramach właściwych dla nauki*. Zjazd mówi tu konkretnie o zbiorach artykułów dyskusyjnych. Można, rzecz jasna, dzisiaj mówić o innych formach takiej wymiany zdań — choćby np. zasadniczych dyskusjach naukowych, takich, jaką np. przy wszystkich swoich niedostatkach była dyskusja na zjeździe ekonomistów.

Granice między dyskusją naukową a propagandą idei mogą się niekiedy zacierać, tak jest niewątpliwie w pewnym stopniu obecnie u nas. Sądzę, że w obecnej sytuacji, kiedy borykamy się z bardzo skomplikowanymi zagadnieniami, kiedy niejednokrotnie bardzo trudno jest oddzielić błędy od

naszych dotychczasowych tez oraz wszystko to, co złego i szkodliwego wniósł tzw. „kult jednostki“ do naszego dorobku ideowego od szlachetnego kruszcu marksowsko-leninowskiej myśli — głęboko niesłusznie byłoby w sposób pochopny chcieć przeprowadzić granice i nadmiernie zwać za-kres dyskusji. W tej konkretnej obecnej sytuacji chyba lepiej zaryzykować dopuszczenie do jej nadmiernego rozszerzenia. Ale to nie znaczy, by marksiści mieli zapominać lub przemilczać podstawową tezę o różnicy między wymianą zdań w nauce a propagandą idei, by mieli jako dyskusję naukową traktować np. pogawędkę w radio lub artykuły drukowane w kilkudziesięciotysięcznym nakładzie...

* * *

Stanowisko tow. Kołakowskiego wiąże mi się jakoś w sposób organiczny z tendencjami występującymi w niektórych kołach naszej młodzieży.

Nieprzypadkowo chyba w jednym z ostatnich numerów „Po prostu“ opublikowano artykuł tow. Henryka Jankowskiego, poświęcony zagadnieniom postawy moralnej komunizmu. Nieprzypadkowo w tymże numerze „Po prostu“ zamieszczona jest przedmowa Lwa Tolstoja do angielskiego wydania jednego z jego esejów, w której wielki pisarz mówi o szkodliwości kompromisów z własnym sumieniem.

Problem istnieje tu niewątpliwie. Problem szczególnie bolesny dzisiaj, po doświadczeniach ostatniego dziesięciolecia, po tym, gdy przekonał się, do jak szkodliwych następstw dla jednostki i dla sprawy, dla marksizmu i dla klasy robotniczej, prowadzi to, co Niemcy nazywają „Kadavergehorsam“ — „posłuszeństwem martwych“: mechaniczne pojmowanie objawionych z góry tez.

Kto z nas, pamiętając o tych, tak niedawnych a tak ciężkich doświadczeniach, nie zgodzi się z tow. Jankowskim, kiedy ten stwierdza: „Sądzę, że do istoty postawy, którą można by określić jako komunistyczną, należą takie cechy, jak poczucie godności osobistej i stałości poglądów“.

Chodzi o zagadnienie: jak pogodzić dyscyplinę partyjną, organizowaną jednoś działania komunistów, z własnym przekonaniem — wtedy, kiedy w tym własnym przekonaniu doszło się do wniosków oamiennych od tych, do których doszła partia? Jest to problem nie tylko młodych i starych intelektualistów, dziennikarzy, publicystów. Jest to problem, który tak samo staje przed inżynierem w fabryce czy górnikiem w kopalni, kiedy nawet po gruntownym przedyskutowaniu sprawy partia, właściwa instancja partyjna dojdzie do wniosków innych aniżeli on. Ale trzeba zarazem zdawać sobie sprawę, że jest to problem *decydujący*. Jest to bowiem w gruncie rzeczy sprawa „być albo nie być“ partii.

Przed wszystkim, niejako dla oczyszczenia przedpola, parę uwag wstępnych. Wydaje mi się, że w minionym dziesięcioleciu niezbędną jednoś działania komunistów interpretowaliśmy niejednokrotnie w sposób niesłuszny, nadmiernie zważający.

Po pierwsze: zbyt wiele spraw uważaliśmy za przesądzone uchwałami partyjnymi, a nawet przesądzaliśmy uchwałami partyjnymi wtedy, gdy sytuacja jeszcze bynajmniej do tego nie dojrzała. Na przykład: sążę, że zagadnienia, które wymienia tow. Kołakowski jako wymagające w sposób szczególnie pilny krytycznej analizy z naszej strony — należą do spraw,

w których z całą pewnością nie należy w chwili obecnej podejmować wiążących uchwał partyjnych, pozostawiając towarzyszom pracującym nad nimi walkę z antymarksistowskimi poglądami, które mogą się pojawić — i na pewno pojawią się — w toku ich roztrząsania. Takie rozszerzenie kręgu spraw, w których nie obowiązuje formalna dyscyplina partyjna (co nie znaczy, że nie obowiązuje *dyscyplina ideologiczna*, obowiązek przestrzegania marksistowskiej metody myślenia), uwolnić nas może od wielu komplikacji i wielu konfliktów duchowych, występujących u najlepszych nieraz towarzyszy.

Po drugie — zasługuje na rozwałę sprawa tzw. samokrytyki. Do niedawna żądaliśmy od towarzysza, który popełnił jakiś błąd, by natychmiast „przeprowadził samokrytykę“; uznał ten błąd, zanalizował go i wskazał jego źródło. Wydaje mi się, że nie było to słuszne. Oczywiście, jest bardzo dobrze, kiedy towarzysz pod wpływem krytyki od razu pojmuje swój błąd i uświadamia sobie w pełni jego źródła, ale kto z nas nie wie, że zdarza się to raczej rzadko? Kto z nas nie wie, że w przeważającej ilości wypadków taka samokrytyka jest samokrytyką nieszczerą, podyktowaną w najlepszym razie przywiązaniem do partii i troską o to, aby nie wypaść z jej szeregow?

Jak zapatrywał się Lenin na te sprawy? W jego końcowym przemówieniu na X Zjeździe KPZR (Zjeździe ostrej, zacieklej, frakcyjnej walki!) czytamy:

„...Sądzę, że większość obecnych tu uczestników zjazdu rozumiała, do jakich ram powinniśmy ograniczyć nasze rozbieżności. Oczywiście, w walce na zjeździe było rzeczą niemożliwą, by trzymać się tych właśnie ram. *Od ludzi, którzy dopiero co toczyli walkę, nie można żądać, by z miejsca zrozumieli konieczność trzymania się tych ram*“ (podkr. — R. W.) (tamże str. 247). Lenin nie żąda więc słownej samokrytyki od swych przeciwników, rozumie, że trudno by ją było przeprowadzić w sposób szczerzy — a więc jejynie celowy i słuszny. Ale za to żąda — i to z całą stanowczością żąda — *nieugiętego przestrzegania w praktyce raz powziętych uchwał, wykonywania decyzji podjętych przez zjazd*. A to przecież znaczy — odrzucenia poprzedniej niesłusznej postawy, samokrytyki w czynie.

Czy u nas niejednokrotnie nie zastępowaliśmy jedynie leninowskiego kryterium samokrytyki w czynie żądaniem samokrytyki słownej, uwłaczającej godności osobistej towarzyszy i zmuszającej ich do karkołomnych skoków?

Po tych wstępnych zastrzeżeniach — sprawa samej zasady.

Ale zanim przejdę do argumentów, chciałbym przede wszystkim przytoczyć relację z pewnego przeżycia, które na mój osobisty rozwój wywarło chyba dosyć wielki wpływ.

Było to w roku 1930 — po VI Plenum KC KPP, które pod naciskiem Międzynarodówki Komunistycznej usunęło poprzednie kierownictwo partii, reprezentowane przede wszystkim przez Warskiego i Kostrzewę, a powołało nowe kierownictwo pod wodzą Leńskiego. Na zebraniu polskich robotników Berlina, członków Komunistycznej Partii Niemiec, przedstawiciel KC KPP referował przebieg VI Plenum. Referował — w najściślejszej zgodności z uchwałami partii. Referował między innymi to, co Plenum określiło jako błędy Warskiego, Kostrzewy, Stefańskiego, Próchniaka. Referował spokojnie, nawet z werwą. I tylko bardzo wyczulone ucho mogło zauważyć, że w pewnych wypadkach referent od „mowy wprost“ przechodził

do cytowania, że w pewnych wypadkach np. mówił: „Plenum uznało za fałszywy pogląd tow. Próchniaka, że...”

Z obecnych na sali tylko ja jeden wiedziałem, że referent mówiącym o błędach Próchniaka jest właśnie on sam, tow. „Sewer”. I tylko ja wiedziałem, że gdy referent powoływał się na Plenum, potępiał poglądy, których sam do ostatka bronił.

Czy Próchniak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej natychmiast po Plenum zmienił swoje poglądy? Przede mną — byłem w tym okresie w partii zwolennikiem grupy, do której przywódców należał — nie ukrywał bynajmniej, że uważa uchwały Plenum za niesłuszne. Ale na zebraniu robotników berlińskich Próchniak nie mówił jako Próchniak. Mówił jako przedstawiciel polskiej partii, jako komunista, który wykonywał uchwałę partii, wiążącą uchwałę partyjnej instancji.

Mówiłem z tow. Sewerem o tej sprawie po wyjściu z zebrania. Tłumaczył mi wtedy: skoro w Międzynarodówce Komunistycznej widzę jedyny rzeczywisty ośrodek międzynarodowego rewolucyjnego ruchu robotniczego, skoro w partii skupiona jest rewolucyjna awangarda polskiego proletariatu — mogłem bić się przeciwko decyzji, zanim zapadła, ale skoro zapadła — muszę ją wykonać. Bo nie wykonać — to znaczy stanąć poza partią. A stanąć poza partią — znaczy przeciwstawić swoją częściową rację ogólnej racji komunizmu, ogólnej racji rewolucji. Czyli znaczy: nie mieć racji.

Ta rozmowa utkwiała mi głęboko w pamięci.

Wydaje mi się, że nie można wyobrazić sobie istnienia partii bez takiego właśnie postępowania ogółu komunistów. Można stać na stanowisku absolutnej jednomyślności partii, wszystkich członków partii we wszystkich absolutnie zagadnieniach, łącznie z ulubionym kolorem bielizny. Praktycznie biorąc, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, niezbyt byliśmy dalecy od tego stanowiska. Myślę, że zgodzimy się wszyscy, iż takie stanowisko jest obroną fikcji, iż prowadzi ono do obłudy, do dwulicowości, do głoszenia jednej tezy na zebraniu, a wyznawania drugiej w domu, do cynizmu, do uwiadu partii jako organizacji ideowej, jako związku ludzi ożywionych jedną wspólną ideą. Jeśli się tego nie chce — a myślę, że nie chce tego olbrzymia większość spośród nas — pozostaje tylko to stanowisko, o którym mówiłem poprzednio. Sprowadza się ono mniej więcej do następującego toku myśli: możemy spierać się między sobą ostro i w sposób nieprzejednany. Różnice zdań w partii są zjawiskiem nieuniknionym. Ale skoro raz dyskusję zakończyła uchwała, wtedy musimy wszyscy *działać jak jeden mąż*. Przy tym właśnie wszyscy: i górnicy, i metalowcy, i dziennikarze, i profesorowie, i członkowie Biura Politycznego. I im ktoś bardziej odpowiedzialne stanowisko zajmuje w partii i państwie, tym bardziej powinna go obowiązywać dyscyplina partyjna, tym większe zgorzsenie wywołuje jej naruszenie; brak dyscypliny u dziennikarza oddziałuje szerzej i dlatego jest szkodliwszy niż u górnika, u członka Biura Politycznego — jest szkodliwszy niż u dziennikarza.

Inaczej nie może być. Bo — gdzie zostanie partia, kiedy jeden komunista będzie głosił masom jedno, a drugi coś innego? Będziemy wtedy mieli dwie czy więcej partii, ale nie będziemy mieli jednej partii — awangardy klasy robotniczej. Zamiast wspólnie mobilizować masy do udziału w budownictwie socjalistycznym, będziemy je *dzielić odwołując się do nich* nawzajem przeciwko sobie.

Wiem, co mi na to można odpowiedzieć: że powoływaniem się na jedność

działania i dyscyplinę partii okrywano wszystkie wypaczenia tak zwanego „kultu jednostki“ i wszystkie przestępstwa, jakie stąd wynikły. To prawda. Ale prawdą jest także, że negowanie tej jedności działania (a propaganda — to także działanie) oznacza *koniec partii*.

Wydaje mi się, że rozwiązanie tego problemu zawiera się w odpowiedzi na pytanie: czy to, na co się nie zgadzam, dotyczy *zasadniczego kierunku rozwojowego partii*, zmienia podstawowy charakter partii jako bojowniczeki o socjalizm, jako organizatora rewolucji socjalistycznej i socjalistycznego budownictwa, przesądza o takiej zmianie raz na zawsze — czy też jest to sprawa *szczegółowa* nie zmieniająca zasadniczo charakteru partii, sprawa, w której mogę się mylić ja i może się mylić partia, a kto się naprawdę myli, to pokaże praktyka. W tym drugim wypadku — a stanowi to, rzecz oczywista, *olbrzymią większość różnic zachodzących w partii* — *sprawa jest zdaje mi się jasna*. Trzeba podporządkować się uchwale z *całą lojalnością i z dobrą wolą*. A gdzie człowiek dochodzi do wniosku pierwszego, tam sprawa przedstawia się również jasno. Tam stanowi on już załączek innej partii *przeciw* dotychczasowej partii.

Partia to oręż walki o obalenie starego i zbudowanie nowego świata. Nie ma partii bez zorganizowanej jedności działania komunistów, bez dyscypliny partyjnej. Oczywiście — można stać z boku i „mieć za złe“, ale wtedy nie obala się wcale starego, nie buduje się nowego świata, nie walczy się ze złem, *w praktyce* godzi się z jego istnieniem. Wtedy nie trzeba partii, nie trzeba dyscypliny partyjnej. Masami robotniczymi i chłopskimi Rosji w Rewolucji Październikowej kierowali jednak — jak wiadomo — bolszewicy, a nie tołstojowcy.

Gdzie szukać podstawowych źródeł tych tendencji u tow. Kołakowskiego, z którymi musiałem polemizować?

Wydaje mi się, że tow. Kołakowski uległ obyczajowi typowemu dla ostatnich dziesięcioleci, polegającemu na dorabianiu generalnej teorii do wymagań konkretnej sytuacji, podnoszeniu do rangi generalnej zasady konkretnych, słuszych wymagań chwili.

Co w tej chwili jest bardziej oczywiste, bardziej dokuczliwe — spowodowany nadużywaniem zasady kontroli partyjnej nad rozwojem nauki dogmatyzm i schematyzm, ograniczenie swobody badań, bez której nie może być rozwoju marksizmu — czy też wpływ ideologii burżuazyjnej na naukę marksizmu, który w naszych warunkach musi wynikać w sposób nieunikniony (i który zresztą gdzieś już występuje) z fałszywej interpretacji hasła swobody analizy naukowej jako swobody praktycznie biorąc dla wszystkich i we wszystkich sprawach z zastąpienia konkretnej odpowiedzialności przed partią i ruchem — „poczuciem odpowiedzialności“ wobec Marksa i historii? Oczywiście (mimo całego niebezpieczeństwa wpływów burżuazyjnych) *w chwili obecnej* najgroźniejsze, bo najbardziej upowszechnione, najbardziej częste, a dlatego i najbardziej szkodliwe, są te pierwsze: marazm, dogmatyzm, schematyzm.

Co w tej chwili, zwłaszcza w dziedzinie nauk społecznych, jest bardziej groźne dla rozwoju marksizmu — komenderowanie pracownikami frontu ideologicznego „wte i wewte“ czy też oderwanie się pracowników tego

frontu od partii i od jej zadań? Niebezpieczne są oba, ale niewątpliwie to pierwsze, pomiatanie teorią w rzeczywistości, przy komplementach pod jej adresem w słowach, *leży u podstaw zła*, rodzi również izolację od potrzeb ruchu, rodzi doktrynerstwo, schematyzm, a zarazem i podatność na obce ideowo wpływy (przez brak kryterium praktyki, najniezawodniejszego sprawdzianu wszelkiej ideologii).

To czuje tow. Kołakowski i dlatego jego konkluzje są z grubsza biorąc słuszne. Ale popełnia on błąd, gdy niebezpieczeństwo w chwili obecnej najbardziej aktualne podnosi do rangi *jedynego* i w walce z tym niebezpieczeństwem dopuszcza do sformułowań, otwierających drogę drugiemu niebezpieczeństwu, nie mniej realnemu, choć w tej chwili mniej może masowemu i dlatego mniej groźnemu.

Ta tendencja Kołakowskiego występuje nawet w drobiazgach.

Jeden tylko przykład:

Sprawa sztuki. Nie myślę analizować jej tutaj merytorycznie. Ale *metoda* tow. Kołakowskiego jest tu charakterystyczna: „Jak wiadomo, awangardowe kierunki w sztuce XX wieku — w malarstwie, w poezji, w literaturze, w teatrze — miały w większości u swego podłoża (nie w całości rzecz jasna) orientację polityczną wyraźnie lewicową: jak futuryzm, ekspresjonizm, kubizm („kubizm — sztuka bolszewicka“ — pisał Hitler w *Mein Kampf*). Być może, w niejednym z tych prądów, od których odzegnoła się oficjalnie brutalna doktryna, zawarta była w zarodku kultura przyszłego świata“.

Od kiedy to Adolf Hitler ma być dla nas rzeczoznawcą tego, co jest „bolszewickie“, a co nie? Jeśli tow. Kołakowski chce opierać się na tym świadku, to do ojców bolszewizmu musi zaliczyć bankierów z Wall Street i Mędrców Syjonu...

A — co najważniejsze — czy dla umotywowania poglądów na sztukę tow. Kołakowskiego słusznie domagającego się obiektywizmu i uargumentowania tez naukowych przy pomocy faktów słowo „*być może*“ rzeczywiście jest wystarczające? Albo, albo: albo tow. Kołakowski uważa, że w którymś z tych prądów była zawarta i *jest* zawarta w zarodku kultura przyszłego świata — a wtedy prosimy o *fakty* i *argumenty*, albo tow. Kołakowski nie rozporządza faktami i argumentami i wtedy jego „*może*“ jest czystym wrażeniem, impresją, argumentem z kategorii „co by było, gdyby...“. Skoro się nie wysuwa konkretnych argumentów na rzecz prądów, o których mowa, czy nie lepiej byłoby po prostu wskazać na niewątpliwy fakt, że nasz stosunek do nich był niedostatecznie przemyślany, niedostatecznie uargumentowany i wymaga wnikliwej krytycznej analizy? Czym innym, jeśli nie przekorą, jeśli nie podnoszeniem do roli teorii — instynktownej niechęci wobec prymitywnego, wulgarnego stawiania sprawy, tłumaczyć można to *naukowo* *przecież* *niczym* *nie* *umotywowane* stanowisko tow. Kołakowskiego?

Takich wypadków, gdzie tow. Kołakowski marksistowską analizę zastępuje efektywnym powiedzonkiem, które ma nawet swój wdzięk i swój dowcip, ale jako uogólnienie nie ma nic wspólnego z nauką, jest w jego artykule kilka.

Kiedy się czyta artykuł tow. Kołakowskiego, czuje się, jak dała mu się we znaki praktyka arbitralnych ingerencji instancji partyjnych. Właśnie dlatego w sposób niesłychanie nerwowo reaguje on na wszelką możliwość wpływu, a tym bardziej podejmowania decyzji przez partię w sprawach naukowych. W gruncie rzeczy, w jego koncepcji „intelektualnych ośrodków

komunistycznych“ tkwi założenie, że partia skazana jest na to, z samej swej struktury, aby w sprawy teorii interweniować nie w sposób marksistowski, to znaczy inteligentny i wnikliwy, w pełnym uzbrojeniu techniki naukowej i racjonalistycznej argumentacji, ale w sposób brutalny i administracyjny. Stąd bierze się tendencja do tego, by być możliwie najdalej od instancji partyjnych, ingerujących brutalnie i nierozumnie, odgrodzić się od nich, zastrzec swobodę „intelektualnym ośrodkom komunistycznym“. A co z tymi, którzy nie wchodzą w skład tych „ośrodków“, bo nie piszą, nie wykładają, nie siedzą całymi dniami w bibliotekach, ale przecież myślą, starają się pojąć rozwój społeczeństwa, pojmują go nieraz zresztą lepiej od patentowanych „doktorów nauk społecznych“? Dla nich nie ma miejsca w koncepcji tow. Kołakowskiego, przynajmniej tak, jak to jest sformułowane w artykule.

Towarzyszom, których stanowisko odzwierciedla artykuł tow. Kołakowskiego, wydaje się, że ta koncepcja jest koncepcją maksymalistyczną, nieledwie rewolucyjną. Ja sądzę, że jest to koncepcja w gruncie rzeczy w skutkach swoich minimalistyczna, koncepcja *uniku*, koncepcja *uchylenia się od zagadnienia decydującego* — *oblicza partii, oblicza instancji partyjnej, polityki partii, decydującej przecież o losach ruchu, o losach kraju, a wraz z tym — i o losach nauki marksistowskiej*. Jest to koncepcja oszańcowania się nauki marksizmu w audytoriach seminaryjnych, przy pominięciu zagadnienia jej realnego wpływu na rzeczywistość, jej realnego udziału w przekształcaniu rzeczywistości, koncepcja zresztą głęboko utopijna, gdyż nie ma rozwoju nauki marksistowskiej bez przywrócenia w partii nie tylko formalnego przestrzegania norm leninowskich, lecz przede wszystkim — leninowskiego stylu pracy, leninowskiej atmosfery intelektualnej, w której codzienne konfrontowanie teorii z praktyką, rozwijanie teorii w oparciu o praktykę i wzbogacanie praktyki osiągnięciami teorii staje się potrzebą i koniecznością życiową każdego działacza partyjnego — zarówno tego z katedry uniwersyteckiej, jak i przede wszystkim tego, który działa wśród ludzi pracy w fabrykach i wsiach. Elementy tej atmosfery — bardzo zaczątkowe, bardzo jeszcze przerośnięte najrozmaitszymi innymi domieszkami — ale przecież elementy właśnie leninowskiego ujęcia sprawy teorii i praktyki, mamy — jak mi się wydaje — w dyskusjach o eksperymentach w zakresie nowych form zarządzania gospodarką narodową.

Natomiast, niestety, nie wyczuwam tego ujęcia u tow. Kołakowskiego. Unika on starannie słowa: „partia“.

Prawda — sprawa jest wyjątkowo trudna. Przekształcanie partii z powrotem w partię typu konsekwentnie leninowskiego — to proces na lata. Zygzaków, nawrotów ku staremu, będzie po drodze mnóstwo. Nie jeden raz jeszcze kierownictwo partyjne będzie zżymało się — i najczęściej słusznie — na te czy inne wystąpienia któregoś z naszych intelektualistów, będzie z nim potem toczyło długie wyjaśniające rozmowy. Niejeden raz nasi intelektualiści będą mieli takie czy inne pretensje — znowu często słuszne — do kierownictwa, do instancji partyjnych. Inaczej nie może być w warunkach, kiedy odchodzi się od jednej praktyki, którą uznano się za złą i zgubną, a powraca do drugiej, której ogólne zasady, tak jak zostały ustalone przed kilkudziesięciu laty, są wprawdzie znane, ale wymagają teraz mozołnego dopasowywania do nowych warunków, nowych zjawisk, nowych potrzeb i nowych konieczności. Wydaje mi się jednak, że zasadniczy kierunek musi

być ten, o którym mówiłem: *przez partię i w partii*, że to jest droga *jedyna — i dla partii, i dla intelektualistów komunistycznych*.

Można snuć marzenia o stworzeniu obok obecnej partii rządzącej krajem, ale rzekomo skazanej na „administratorstwo“ — „intelektualnych ośrodków komunistycznych“, to znaczy partii myślącej, ale pozbawionej władzy. Trzeba rozumieć jednak, że te marzenia — to w gruncie rzeczy w swoich *nieuniknionych* skutkach rezygnacja intelektualistów-komunistów z dążenia do wpływu na politykę partii — tej rzeczywistej, rządzącej, decydującej o losach kraju i losach nauki marksistowskiej. Jedyna droga do rzeczywistego rozwoju teorii marksizmu — to droga przez więź z partią, przez pomoc udzielaną partii w zacieśnianiu więzi z masami.

Oczywista — to zakłada partię, której praktyka jest w pełni zgodna z leninowskimi normami życia partyjnego (co nota bene nie oznacza bynajmniej sielankowego głaskania wszystkich niegrzecznych dzieci po ich mocno rozczochranych główkach). Taką partią jeszcze nie jesteśmy. Taką partią — powiedzieliśmy to na VII Plenum — chcemy być. Bijemy się o to, aby nią być. Walka dopiero się zaczęła i na pewno będzie trwać lata. Będą w niej i sukcesy i przejściowe porażki. Ale jestem przekonany, że ostateczny wynik tej walki będzie zwycięski.

Jeśli „intelektualne ośrodki komunistyczne“ chcą pozostać komunistyczne, powinny bić się o taką właśnie leninowską partię *na gruncie partii*, na gruncie wspólnoty ideowej wszystkich komunistów, zarówno tych z uniwersytetów, jak tych z fabryk, jak tych z instytucji i ministerstw, na gruncie marksizmu-leninizmu (który trzeba twórczo rozwijać, ale którego nie wolno traktować w sposób lekceważący). Powinny bić się wewnątrz partii, a nie izolować się od niej. Powinny wysuwać nie hasło wolności badań naukowych *od partii*, ale hasło wolności badań naukowych *wewnątrz*, w ramach leninowskiej partii.

Parę tez dotyczących spraw wewnątrzpartyjnych

Sprawy, o których piszę, na pewno nie ogarniają całokształtu zagadnień życia partii, może nawet pomijają problemy zupełnie podstawowe, mnie jednak wydają się istotne i dlatego je podejmuję. Celowo przy tym pomijam analizę zjawisk, które doprowadziły do istniejącego stanu rzeczy, próbuję jedynie ten stan sformułować i wysunąć pewne wnioski.

1.

Powierzchowny jedynie obserwator mógłby sądzić o życiu naszej partii na podstawie „oficjalnego” niejako oblicza, to jest na podstawie odpraw, „przenoszenia wytycznych” oraz wypowiedzianych publicznie czy ogłaszanych wygładzonych wypowiedzi, przesłanych przez wiele sił korygujących. A przecież życie ideowe naszej partii kształtują wielogodzinne nocne dyskusje towarzyszy, dyskusje pełne ostrych ocen i bolesnych spraw.

Są okresy w życiu partii — i jeden z nich przeżywamy obecnie — kiedy częściowo znika dwoistość życia partyjnego.

Obserwujemy wówczas ożywienie życia partyjnego, wzrost aktywności, często przedtem nawet nie podejrzewanej. Ujawniają się siły partii — istniejące potencjalnie siły partii zaczynają działać. Do tych sił przecież faktycznie odwołuje się partia w trudnych dla niej chwilach. Sprawą pierwszej wazności jest doprowadzenie do takiej sytuacji, która by *całkowicie* i na zawsze wyłączała możliwość dwoistego oblicza życia partyjnego, tzn. oblicza „oficjalnego” i „rzeczywistego”. Normalne życie partyjne wyobrażam sobie jako permanentną a nie sporadyczną aktywność całej partii.

2.

Myślę, że obowiązuje nas pełna i bezwarunkowa zgoda z zasadami programowymi naszej partii, krótko sformułowanymi we wstępie do statutu. Jest to logiczną konsekwencją pojmowania partii jako dobrowolnego zrzeszenia ludzi właśnie na platformie zasad ideowych i programowych. W tym i tylko w tym zakresie partia musi być jednomyślna.

Wypowiadam się natomiast przeciw takiej jednomyślności w partii, która jest konsekwencją nie przemyślanego aplauzu członków partii dla każdego rozwiązania proponowanego aktualnie z góry. Przywykliśmy niestety zgadzać się a priori, krzyczeliśmy często „hurra”, zanim jeszcze usłyszeliśmy hasło. Była to — mówię o tych, których aplauz spowodowany był wiarą,

a nie ubocznymi celami — choroba nadmiaru entuzjazmu. Instancje partyjne przychylnym okiem patrzyły na to; aprobowwały (tak jak zresztą na innych odcinkach) chętniej postawę romantyczną niż racjonalistyczną. Może i same były przekonane, że „wiara czyni cuda“.

Chciałbym się przy tym wyraźnie odciąć od często wypowiedzanego nawet w prasie stanowiska, klasyfikującego ludzi „chorych na nadmiar entuzjazmu“ jako naiwnych i nieodpowiedzialnych. I trzeba chyba powiedzieć ludziom, którzy dziś z ironią wyrażają się o nas dziecinnych i naiwnych, a dawniej stali z boku drogi (a nawet w poprzek), że to, co zostało w Polsce zrobione, jest w znacznym stopniu wynikiem wysiłku (prawda, nie zawsze celowego) owych właśnie entuzjastów.

W partii zakorzeniła się co do wielu zagadnień terminologia zaczerpnięta z wojska. Nie sędzę, żeby warto było toczyć specjalne spory o terminologię. Nie należy wszakże zapominać, że między partią a armią jest zasadnicza różnica — partia w całości sama decyduje o swojej działalności. „Jednomysłność“, o której mówiłem, jest dowodem, że partia nie w pełni korzystała z tego prawa decyzji.

3.

Byłoby chyba rzeczą niesłuszną oczekiwać od naszego kierownictwa partyjnego, by w trudnej sprawie budownictwa podstaw socjalizmu kierowało nami bezbłędnie. I jeśli mogą być wysuwane pretensje, to zupełnie innego rodzaju. Wierzyliśmy i często powtarzaliśmy, że kierownictwo partii posiada niezawodny kompas lub — jak się zwykło mówić — busołą, a oprócz niej specjalną umiejętność posługiwania się nią i takie dane wyjściowe, które są niezbędne dla ścisłego określenia aktualnego położenia.

Jesteśmy dzisiaj mądrzejsi o świadomość tego, że do rozeznania aktualnego położenia nie wystarczyłyby góry biurokratycznej statystyki (kompromitującej się publicznie rzadko chyba tylko dlatego, że dane jej były w zasadzie nie publikowane). Wiemy, że kompas, o którym mowa, nie daje automatycznie optymalnych rozwiązań. Wreszcie, co najważniejsze i co jest doniosłym faktem politycznym: nikt dziś nie wierzy w istnienie tajemnej wiedzy kierowania partią i społeczeństwem. Że kierownictwo nie ma zamiaru restaurować tej wiary, wnosząc z uchwał III i VII Plenum naszej partii o jawności życia partyjnego.

I jeśli dzisiaj istnieją poważne opory w faktycznej realizacji jawności życia partyjnego, to myślę, że trzeba powiedzieć obrońcom starych metod pracy politycznej: w tajemną waszą wiedzę nikt nie wierzy, król jest nagi — ludzie osłaniający puste miejsce narażają się tylko na śmieszność.

Jeżeli zgodzimy się z powyższymi uwagami, jeśli nie sądzimy, że istnieje możliwość otrzymania jednoznacznej odpowiedzi na pytania, jakie narzuca nam życie, to trudno przypuścić, by w dużych skupiskach ludzkich mogła istnieć stała jednomysłność.

Wypowiadając się przeciwko tak pojętej jednomysłności w partii mam również na myśli zjawisko pokrywania wewnętrznych sporów formalną jednomysłnością instancji. Jestem przeciwny tej pozornej jednomysłności, ponieważ wiem, że w każdej dziedzinie życia stwarzanie pozorów przeszkadza konsekwentnej długofalowej pracy nad osiągnięciem określonego celu, stwarzanie zaś pozorów w partii to zawiązywanie jej oczu.

Gdy partie nie znajdowały się u władzy i naczelnym ich zadaniem było doprowadzenie mas do zwycięskiej rewolucji, były one — trzeba sobie wyraźnie zdać z tego sprawę — w istocie partiami kadrowymi, stosunkowo nielicznymi. W chwili obecnej łatwo zauważyć, że wiele partii komunistycznych to partie masowe, a nawet tam, gdzie nie mają one tego charakteru, często przestały być partiami ściśle kadrowymi.

W związku z tym za zasadnicze należy uznać pytanie, czy nie było błędem odejście od kadrowego typu partii i czy w zmienionych warunkach leninowska struktura organizacyjna partii najlepiej odpowiada jej zadaniom.

Sądzę, że zmiana charakteru partii była naturalną i konieczną konsekwencją szybko postępującej polaryzacji społeczeństwa i angażowania się coraz szerszych mas w bezpośredniej walce politycznej. W takiej sytuacji utrzymanie w pełni zasady kadrowego charakteru partii musiałoby prowadzić do sekciarstwa i do utraty wpływu na masy.

Drugie z postawionych pytań jest specjalnie aktualne dla nas, ponieważ w wyniku rewolucji w naszym kraju zmieniły się zasadniczo zadania partii w porównaniu z tymi, jakie występowały przed partią bolszewicką w okresie wypracowywania najbardziej ogólnych leninowskich zasad organizacyjnych. Ostateczną odpowiedź na postawione pytanie może dać tylko praktyka. W moim przekonaniu obowiązująca struktura jest w zasadzie właściwą formą organizacyjną partii również dla okresu budownictwa socjalizmu. Jeśli w minionym okresie zamiast rewolucjonisty coraz częściej pojawiał się w partii urzędnik rewolucji, oficera rewolucji coraz częściej zastępował feldfebel, to nie stanowiło to konsekwencji jej zasad organizacyjnych. Jak mówią: i wino, i wodę może pomieścić dzban.

Powszechnie żąda się obecnie przywrócenia leninowskich norm życia partyjnego. Mówiąc ściślej, żądanie to nie dotyczy norm, nie dotyczy bowiem teorii: w ciągu całego ostatniego okresu obowiązywały w zasadzie bronione przez Lenina tezy dotyczące struktury i programu partii. Chodzi więc o praktykę, o *zgodność naszych poglądów i naszych czynów*. Rola teorii marksistowskiej została, praktycznie biorąc, zdeprecjonowana w życiu partii na rzecz doraźnych haseł. Często nie umieliśmy zdobyć się na odwagę oświadczenia, że w myśl uznawanych przez nas poglądów będziemy dążyli do określonego celu (typowy przykład: kolektywizacja), a na razie, w bieżącym momencie, uważamy daną sprawę jeszcze za niedojrzałą do realizacji. Bywało i tak, że aby uczynić ową różnicę między teorią a praktyką niewidoczną, ukrywaliśmy teorię prowadząc w tym celu odpowiednią politykę wydawniczą (np. niewydawanie szeregu podstawowych prac Lenina w okresie lat 1945—1948), a nawet dość dowolnie, jak o tym pisał tow. Daniszewski, kierownik Wydziału Historii Partii KC, redagując teksty prac politycznych wybitnych teoretyków polskiego ruchu robotniczego i teksty uchwał KPP. Innymi konsekwencjami degradacji teorii jest traktowanie partyjnej inteligencji jako li tylko propagatorów idei, „odteoretyzowanie” programowych dokumentów i wypowiedzi, spłylenie wykładanej nauki marksistowskiej m. in. przez częściowe pozanaukowe zwalczanie myśli jej przeciwników.

Przezwyciężenie rozbieżności między słowem partii a jej czynem — to, jak sądzę, przede wszystkim przywrócenie teorii marksistowskiej właściwej

jej roli w życiu partii; to walka o to, by teoria kierowała praktycznymi poczynaniami, a nie, w najlepszym wypadku, usprawiedliwiała je. *Marksistowskiej tezy, że zgodność teorii i praktyki decyduje o wartości teorii, nie należy rozumieć jako prawa oportunistycznego przystosowania teorii do istniejącej praktyki.*

Popelnione przez partię błędy wynikają nie z błędności teorii marksistowskiej, lecz z niestosowania się do niej. Partię sądzą głównie po jej praktyce. Sprawą honoru wszystkich członków partii jest, by nie dopuścić już nigdy do sytuacji, w której nasza praktyka dyskredytowałaby marksistowską teorię proletariackiej rewolucji.

Niższy niż w wielu krajach kapitalistycznych poziom życiowy nie kompromituje socjalizmu. Kompromituje go natomiast gubienie przy jego realizacji ideałów społecznych, przegrywanie w wyniku błędnej polityki na tych odcinkach, na których jego pozycje mogą być niezwyciężone: sprawiedliwości i myśli, moralności i sztuki. Komuniści dążą do zapewnienia ludziom warunków godnych człowieka. Komunizm jednak nigdy nie zjednywał sobie zwolenników większym kotлетem schabowym, zawsze — swoją ideologią.

5.

Jedną z podstawowych spraw dla partii i klasy robotniczej jest, jak sądzę, uczenie się na własnym doświadczeniu. Niebanalność tej tezy wychodzi na jaw, jeśli się zważy, że doświadczenie klasy jest głównym czynnikiem rozwoju świadomości klasowej — skomplikowanego zjawiska socjologicznego, o którego określenie nie mogę się pokusić. Wydaje mi się, że we wszystkich podstawowych zakresach działalności naszej partii: ekonomicznej, politycznej i teoretycznej występowała tendencja do oszczędzania masom partyjnym własnych doświadczeń, tzn. tendencja ograniczania problematyki, którą żyła cała partia, próba zamieniania „szkoły życia” partyjnym szkoleniem (którego wielkie *pomocnicze* znaczenie jest niewątpliwe).

Tendencja, o której mowa, łączy się w sposób oczywisty ze zmianą metod przeprowadzania przez partię swojej polityki. Podstawowym sposobem przeprowadzania postulatów partii w okresie kapitalizmu jest organizowanie masowych akcji, wywieranie presji na instytucje społeczne znajdujące się w ręku burżuazji przez masowe działanie klasy robotniczej i chłopów. *Wykonanie zadań partyjnych spoczywa bezpośrednio na samej klasie robotniczej*, jej mobilizacja zaś jest wynikiem pracy podstawowych, dołowych ogniw partyjnych. W takiej sytuacji nieliczenie się z opinią klasy robotniczej jest niemożliwe; każdy krok niewłaściwy prowadzi do oderwania się partii od mas, do utraty jej siły. Uczenie się całej partii na własnym doświadczeniu jest niezbędnym warunkiem efektywności jej działania.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy partia dochodzi do władzy, i to w okresie stabilizacji tej władzy. Właśnie dlatego, że *egzekutywa należy do kierownictwa partii*, istnieje realne niebezpieczeństwo pojawienia się tendencji do przeprowadzenia wielu postulatów partii bez odwołania się do bezpośredniej aktywności mas.

W warunkach działalności partii w ustroju kapitalistycznym sama praktyka niezmiernie utrudnia niedoceniać znaczenia mas ludowych; w okresie budownictwa socjalizmu istnieje realne niebezpieczeństwo rozpanoszenia się praktyki pomijania opinii mas partyjnych.

Życie wykazało, że przy braku świadomego i konsekwentnego przeciwdziałania grożącemu niebezpieczeństwu partia jako całość traci możliwość i umiejętność decyzji, zmienia się w poważnym stopniu w kolektywnego propagatora posunięć kierownictwa.

Jedną z najpoważniejszych konsekwencji tego zjawiska jest dość duża bierność wielu podstawowych organizacji, a w tych nawet organizacjach, które pracują aktywnie — bierność większości członków partii. Wielokrotnie podnoszona inicjatywa „zaangażowania” wszystkich członków partii była skazana na niepowodzenie głównie dlatego, że nie jest to sprawa organizacyjnego „ustawienia” (to umiemy już dość dobrze robić), lecz problem właściwej działalności całej partii. Myślę, że w całej pełni należy odrodzić charakter członka partii jako działacza politycznego, tj. pracującego wśród mas, walczącego o polityczną linię partii *wewnątrz* organizacji partyjnej i propagującego uchwały partii na zewnątrz.

Spotykałem się z niektórymi towarzyszami z KPP, którym trudno było przyzwyczaić się do naszego stylu pracy partyjnej, stylu — jeśli tak można powiedzieć — organizatorskiego. Zdają sobie sprawę z tego, że obecnie partia powinna pracować inaczej niż przed wojną, że jest ona również organizatorką całego naszego życia i ekonomicznego, i politycznego. Sądzą jednak, że w stylu pracy partyjnej straciliśmy właściwe proporcje i że obecnie główna uwaga powinna być zwrócona na pracę polityczną.

Aby rzeczywiście osiągnąć poważne rezultaty w tym kierunku, wydaje się nieodzowne przeprowadzenie daleko idących zmian organizacyjnych wewnątrz partii (przede wszystkim przez likwidację tych ogniw partii, które dublują pracę aparatu państwowego, i przez skierowanie zaangażowanych tam towarzyszy bezpośrednio do pracy w aparacie państwowym), a zwłaszcza przez sięgnięcie do arsenału bardziej bezpośrednich metod oddziaływania partii na masy, w tym i tych metod, które z powodzeniem stosowała partia przed wojną i bezpośrednio po niej.

Sprawa wzmocnienia politycznej pracy członków partii łączy się ściśle z kryteriami stosowanymi przy przyjmowaniu w szeregi partyjne. Myślę, że te kryteria są w praktyce ¹⁾ wyraźnie za niskie. Często głównym argumentem decydującym o przyjęciu jest stosunek kandydata do własnej pracy — fakt niezmiernie istotny, nie mogący jednak zastąpić podstawowego kryterium: politycznego wyrobienia (tj. politycznej wiedzy i, przede wszystkim, politycznej praktyki) danego towarzysza. Zwrócenie uwagi na to wydaje mi się tym bardziej konieczne, że — jak wykazała praktyka — okres stażu kandydackiego nie jest dostatecznym sitem i wielka część kandydatów przechodzi w poczet stałych członków prawem bezwładności. Możliwe, że celowe by było obecnie generalne przedłużenie stażu kandydackiego. W każdym razie, jak sądzę, trzeba zdać sobie jasno sprawę z na ogół niezadowolającego poziomu wstępujących do partii i próbować znaleźć właściwe sposoby zmiany tego stanu rzeczy. Myślę, że w chwili obecnej,

¹⁾ Znalazło to zresztą odbicie w statucie, który mówi (punkt 4, b): „okres kandydowania jest konieczny w celu (...) zapoznania kandydata z linią polityczną i statutem partii”.

gdy partia liczy prawie 1,5 miliona członków i kandydatów, główna uwaga powinna się skoncentrować na podniesieniu poziomu politycznego członków partii, a nie na dalszym rozszerzaniu jej szeregów.

6.

Aby partia uczyła się na własnym doświadczeniu, konieczne jest zastanawianie się nad spornymi problemami i podejmowanie decyzji przez całą partię. Nasuwają się przy tym dwa istotne pytania, które wymagają odpowiedzi. Pierwsze — jak szeroki powinien być wachlarz ogólnie dyskutowanych zagadnień? Drugie — jakie powinny być formy organizacyjne dyskusji, by zapewniły partii nieodzowną jedność działania?

Oczywiście, nie wszystkie różnice zdań istniejące w partii muszą lub też powinny być dyskutowane w całej partii. Centralizm partyjny polega między innymi i na prawie decyzji, należącym do wybranych władz partyjnych. W okresie, gdy partia jest u władzy, istnieje masa ważnych zagadnień, które trzeba rozstrzygać szybko i sprawnie, i wiele takich, które dla dobra sprawy publikowane być nie mogą. Żądanie ujawnienia wszystkich decyzji i pełnej ich motywacji jest szkodliwą utopią. Jednak te zagadnienia, które dla życia partii są najważniejsze, w istocie swojej nie są i nie mogą być tajne.

Jakże bowiem można mówić o tajności polityki w stosunku do określonej klasy, warstwy czy też dowolnych wielotysięcznych grup ludzkich; jakże można uważać za tajne zagadnienie polityki cen, płac, zasady planów ogólnonarodowych itp., itd. Główne i zasadnicze zagadnienia partii — to problemy społeczne, masowe, wymagające, by każdy członek partii miał o nich sprecyzowane pojęcie, problemy, o których niemówienie ze względu na tajemnicę państwową jest oczywistym nonsensem.

Pragnę zwrócić uwagę, że droga rozszerzenia zespołu zagadnień, które winny być dyskutowane i decydowane przez ogół członków partii, przebiega lub raczej winna przebiegać od najważniejszych do coraz bardziej szczegółowych. Sytuacja odwrotna, tj. im bardziej podstawowy problem, tym węższa grupa, która go rozstrzyga, byłaby najjaskrawszym wypaczeniem demokratyzmu organizacyjnego.

Myślę, że można obronić następującą tezę: *polityka kierownictwa partyjnego winna być taka, by nie tylko nie tłumila dyskusji rozwijających się w zasadniczych ogniwach partii, lecz by wyprzedzała zainteresowanie mas partyjnych podsuwając nowe problemy i pobudzając do dyskusji nad nimi.*

Aby wyjaśnić mogące powstać w związku z powyższym wątpliwości, przez zasadnicze ogniwa partyjne rozumiem wielkoprzemysłowe organizacje partyjne i organizacje skupiające inteligencję partyjną. Chodzi o to, by zasięg dyskusji dostosować do przodujących a nie średnich organizacji partyjnych.

7.

Jestem przeciwnikiem permanentnych zasadniczych dyskusji partyjnych. Aby partia nie zamieniła się w klub dyskusyjny i mogła efektywnie pracować i aby, z drugiej strony, dyskusja całej partii była podstawą jej działania, konieczne jest wprowadzenie odpowiednich form organizacyjnych dyskusji. Wydaje mi się, że najlepszym sposobem, sprawdzonym już w praktyce, jest forma ogłaszania „otwarcia“ i „zamknięcia“ dyskusji.

Otwarcie dyskusji powinno wiązać się z umożliwieniem członkom partii zapoznania się z materiałem faktycznym, zamknięciem zaś powinna być uchwała Plenum KC czy Zjazdu, uchwała podsumowująca rezultaty dyskusji. Po zapadnięciu uchwał cały wysiłek partii winien być skierowany na ich realizację.

To, co napisałem, nie znaczy oczywiście, że życie partyjne można ułożyć w ramki powtarzającego się schematu: dyskusja, uchwała, realizacja. Między zasadniczymi dyskusjami trwa przecież w partii ciągła wymiana i ścieranie się poglądów. Znajduje to swoje odzwierciedlenie w wypowiedziach towarzyszy na zebraniach, w wypowiedziach, których treść nie musi nawet znajdować wyrazu w uchwałach. To kształtowanie się opinii partyjnej powinno, jak sądzę, znaleźć swój wyraz w prasie partyjnej zarówno przez szersze niż dotąd publikowanie wypowiedzi towarzyszy, jak i przez rzetelną i obfitą informację o zebraniach, konferencjach i naradach aktywu. Również w zakresie spraw partyjnych stosowano dawniej w prasie dość powszechnie metodę przedstawiania opinii na zasadzie dedukowania jej z ogólnych założeń (często zresztą błędnych); podsuwano czytelnikowi jako opinie partyjne odpowiedzi na pytanie: jaka powinna ona być. Jeszcze częściej stosowano swoiste sito — drukiem ogłaszano tylko te dane, które zgadzały się z wydedukowanym modelem.

Było to chyba konsekwencją zachwiania właściwych proporcji między informującą a organizującą czynnością prasy, przy czym rola tej ostatniej była decydująca. Wynikiem tego stanu rzeczy nie były oczywiście ogromne organizatorskie sukcesy naszych gazet, lecz zmniejszenie się ich autorytetu w społeczeństwie. Musimy sobie raz na zawsze uświadomić podstawowy fakt, że kształtowanie opinii partyjnej i publicznej nie może być konsekwencją selekcji informacji, lecz konsekwencją racjonalnego ich oświetlania.

Rola prasy staje się tym większa, że poszczególne organizacje partyjne, nawet takie, które znajdują się w jednej dzielnicy lub w jednym powiecie, są od siebie bardzo dalekie, ich łączność między sobą jest znikoma. Możliwe, że dla takich blisko siebie „mieszkających“ organizacji partyjnych istnieją i inne poza prasą, bardziej bezpośrednie możliwości kontaktu (np. wspólne zebrania), jednak generalnym łącznikiem w terenie pozostaje prasa. Aby zapewnić tę łączność między podstawowymi komórkami partyjnego organizmu, wydaje mi się rzeczą konieczną rozszerzenie niewielkich dotąd łamów działów partyjnych w partyjnych organach prasowych i uczynienie z nich łamów podstawowych nie tylko procentem zajmowanej powierzchni, lecz i wagą poruszanych problemów.

Szczególnie istotna — i tym między innymi tłumaczę sobie zaciętość obecnych bojów o prasę — jest rola gazety w okresie wielkich dyskusji. Trwa teraz jedna z tych dyskusji, zasadnicza i uzdrawiająca. Chciałbym, aby sprawy wewnątrzpartyjne zajmowały w niej więcej miejsca.

8.

Następną sprawą, którą chciałbym poruszyć, a która także wiąże się z zagadnieniem uczenia się partii na własnych doświadczeniach, jest sprawa rekrutacji aparatu partyjnego.

Przy stałym wzroście z jednej strony zadań, z drugiej zaś — liczebności klasy robotniczej odczuwaliśmy ciągle niedosyt aktywu. Towarzysza, który

wykazał się aktywnością w swoim zakładzie pracy, szybko stamtąd zabierano i kierowano w pierwszym okresie do aparatu bezpieczeństwa i milicji, później nieco do aparatu gospodarczego i wojska, wreszcie przez cały czas i do samej partii, poczynawszy od komitetów powiatowych i dzielnicowych, aż do KC. Tych ludzi trzeba było przeszkolić, dać im w krótkim czasie maksimum wiedzy, zwykle nie tylko politycznej, lecz i ogólnej.

Myślę, że wszystkie stosowane środki przyspieszonego tworzenia aparatu partyjnego były do pewnego okresu czasu słuszne, celowe i nieuchronne. Nieuchronne były też pewne skutki, z których najważniejszy polega na tym, że poważna część aparatu partyjnego nie czuje się wysunięta przez masy, lecz „postawiona“ przez instancje partyjne. Dalszym tego skutkiem jest detekcyjna rola aparatu partyjnego — sygnały idące z góry do dołu znacznie łatwiej przechodzą niż głosy organizacji partyjnych do góry.

Jestem jak najdalej od tego, by nie doceniać wysiłku obecnego aparatu partyjnego, szczególnie na szczeblu powiatu czy dzielnicy. Sądzę, że głosy krytyki niejednokrotnie kierowane pod adresem średniego aparatu partyjnego (nie bezzasadnej krytyki dotyczącej głównie trudności przechodzenia na nowe metody pracy przez ten aparat), powinny uwzględniać wielkie zasługi towarzyszy z KP i KD nieraz — jak się często mówi — ciągnących cały powiat.

Dość powszechnym następstwem takiej rekrutacji aktywu jest to, że towarzysze nie troszczą się o uzyskanie osobistego autorytetu. Są tacy towarzysze, którym dość przeświadczenia, że przez ich usta przemawia KD czy KW; stroją się oni w autorytet instancji partyjnej i tym autorytetem często osłaniają się przed oddolną krytyką. Może warto przypomnieć, że w okresie nielegalnej pracy partii sytuacja kształtowała się na ogół odwrotnie: z osobistego autorytetu poszczególnych towarzyszy kształtował się i utrzymywał w społeczeństwie autorytet reprezentowanej przez nich organizacji czy instancji partyjnej.

Myślę, że czas znowu postawić w partii sprawę autorytetu osobistego jej członków, przede wszystkim zaś autorytetu aktywu partyjnego; że należy wysunąć i realizować zasadę: aktywistę partyjnego w fabryce, dzielnicy, powiecie zna *osobiście* fabryka, dzielnica, powiat; działacza wojewódzkiego z jego wystąpień — województwo, działacza krajowego — kraj. Zna — to nie znaczy zna zdawkową biografię. Zna — to znaczy: wie, jakie są jego poglądy, osiągnięcia i braki, sukcesy i pomyłki.

Czy dzisiaj w warunkach istnienia masowej partii jest to możliwe? Bez względu na to. Wzrosła liczba ludzi, którym trzeba dać się poznać, ale i wzrosły możliwości kontaktów między ludźmi. Nie mówiąc już o środkach łączności i transportu (czy dość ich w naszych KP?), jest radio i radiowęzeł, prasa i kino, a jutro będzie u nas i telewizor. Trzeba i można korzystać z tych środków, tworzyć, jeśli w danym terenie nie istnieją, nowe.

Bliski kontakt polityczny między partyjnym działaczem a terenem jest tylko wówczas możliwy, gdy aktywista wyrósł w danym terenie. Trzeba powiedzieć, że nie sprzyja temu polityka przerzucania aktywistów z powiatu do powiatu, z województwa do województwa. Takie przerzucanie (możliwe, że w pewnych okresach nieodzowne) powinno być stosowane tylko wyjątkowo, tylko w specjalnie trudnych wypadkach, a już zupełnie niedopuszczalne jest wówczas, gdy dany towarzysz skompromitował się na

danym terenie; jeżeli to nastąpiło, powinien na tym samym terenie zrehabilitować się w pracy.

W chwili obecnej często bardziej związany z terenem jest aktyw nieetatowy. Sądzę, że należałoby zacząć szerzej ten aktyw wykorzystywać i rekrutować z niego aktyw etatowy.

9.

Myszę, że niesłusznie obruszaliśmy się i zwalczaaliśmy w działalności propagandowej tezę, głoszoną przez naszych przeciwników, że dyktatura proletariatu — a nią jest przecież ustroj państwowy w naszym kraju — jest ograniczeniem demokracji.

Przyznanie się do faktu, o którym mowa, nie naszemu ustrojowi nie ujmuje. Pisał o tym wielokrotnie Lenin objaśniając, że jest to dyktatura w stosunku do klas eksploatatorskich, silnych jeszcze po zdobyciu władzy przez proletariatus.

W moim przekonaniu mylą się ci, którzy sądzą, że w okresie dyktatury proletariatus konieczne jest ustawowe ograniczenie praw pewnych grup społecznych (jak to miało miejsce w ZSRR). Właściwą odpowiedzią na przeciwstawianie naszego ustroju jako rzekomo niedemokratycznego ustrojowi kapitalistycznemu wydaje mi się zwrócenie uwagi na ograniczenie (również nieustawowe) demokracji we wszystkich krajach dyktatury burżuazji. Metody sprawowania dyktatury, jej technika są w obu przypadkach różne.

W związku z tym niebłahy wydaje mi się, łatwy do zaobserwowania fakt zdecentralizowanej formy dyktatury burżuazji, do której świetnie przystosowana jest parlamentarna forma ustrojowa. Ta decentralizacja jest jednocześnie świadectwem dużej siły, jaką burżuazja czuje za sobą. Tylko na tej podstawie mogę zrozumieć znaną tezę VII Kongresu Kominternu, wypowiedzianą przez tow. Dymitrowa, że zwycięstwo faszyzmu „dowodzi (...) słabości samej burżuazji (...) i {burżuazja} nie jest już w stanie utrzymać swej dyktatury nad masami za pomocą starych metod demokracji burżuazyjnej i parlamentaryzmu“.

Sądję, wracając do naszych stosunków, że dyktatura proletariatus u nas w sposób mniej lub bardziej drastyczny (nie bez błędów) chroniła powstałą demokrację robotniczą, między innymi również i przez ograniczenie demokracji pojętej w sposób abstrakcyjny. Myszę, że istotna treść okresu, w który wkraczamy, polega na tym, że obecnie przechodzimy do decentralizacji form sprawowania dyktatury proletariatus, decentralizacji umożliwionej wzrostem naszych sił i osłabieniem aktywnie działających w Polsce sił wrogich oraz zmianami w sytuacji międzynarodowej. Byłoby naiwnością twierdzenie, że odchodzimy od dyktatury proletariatus: zmieniamy tylko jej formy. A dla jej form istnieją szerokie możliwości, między innymi w rozbudowanej już u nas instytucji rad — typowej i w pewnym sensie pierwotnej organizacji dyktatury proletariatus.

Tak więc zmiany, które zachodzą, to — jak już wskazywano na VII Plenum — nie żaden odwrót w stronę demokracji burżuazyjnej, nie, jak to chciało wielu — rezultat odejścia od istniejącego ustroju politycznego, lecz niezbędny krok naprzód po naszej, socjalistycznej drodze. Wskazanie Lenina, że „marksista jest jedynie ten, kto *rozszerza* uznanie walki klas do uznania *dyktatury proletariatus*“ (podkreślenia Lenina) jest nadal aktualne.

Sądzę, że dla nowego okresu życia naszego państwa i partii, w który wchodzimy obecnie, byłoby niezmiernie ważne opracowanie nowych, znacznie obszerniejszych zasad programowych naszej partii. W moim przekonaniu powinien być w nich określony zasadniczy kierunek zachodzących zmian, tj. demokratyzacja życia państwowego i partyjnego; powinna też być w nim przytoczona wspomniana uprzednio teza Lenina. W chwili obecnej, jak nigdy, potrzebna jest pełna jasność w tych zagadnieniach, by obronić generalną linię partii zarówno przed atakami z prawa, jak i z lewa.

W tym nowym dokumencie programowym partii powinna być zawarta szeroka perspektywa budownictwa socjalizmu, perspektywa daleko wybiegająca poza kolejno realizowany program gospodarczy. Trafne rozeznanie dróg wiodących do ustroju socjalistycznego nadaje poczynaniom partii poczucie pewności.

10.

Życie w naszej partii, tak jak i w innych partiach komunistycznych i robotniczych, przechodzi w ostatnim okresie szereg wstrząsów. Zdajemy sobie dzisiaj sprawę z przeszłych błędów, szukamy dróg ich naprawy. Byłoby rzeczą niesłuszną sądzić, że dla wszystkich partii drogi naprawy muszą być takie same, choć są to niewątpliwie drogi równoległe. Uznając możliwość różnych dróg prowadzących w różnych krajach do socjalizmu, musimy chyba zgodzić się z tym, że mogą być różnice w strukturze partii i w aktualnie podejmowanych zadaniach, tak aby ta struktura i zadania najlepiej odpowiadały wybranej drodze budowy socjalizmu.

Przedmiotem powyższych uwag jest troska o takie zorganizowanie naszej partii, które by pomogło i *umożliwiło* demokratyzację życia w kraju. Podkreśliłem słowo „*umożliwiło*“ dlatego, że daleko idąca decentralizacja naszego ustroju nie wydaje mi się możliwa do przeprowadzenia bez zwiększenia wagi dołowych organizacji partyjnych, a do tego niezbędna jest z kolei zmiana metod pracy partii tak wewnątrz organizacji, jak i na zewnątrz niej.

Proces demokratyzacji naszego życia musi mieć za sobą zorganizowaną siłę. Jest to absolutnie konieczne, by był on procesem nieodwracalnym i konsekwentnym. Ważne jest słowo na zebraniu, artykuł w gazecie. Szala zwycięstwa przechyla się jednak zawsze na stronę, która dysponuje organizacją. Taką organizacją powinna być nasza partia,

Kilka uwag w sprawie najnowszej historii Polski

W badaniu i opracowaniu dziejów ruchu robotniczego w Polsce największe trudności wylaniają się przed historykami pracującymi nad problematyką ostatnich 15 lat, obejmujących okres II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej na naszych ziemiach oraz lata Polski Ludowej.

Ostatnie piętnastolecie to okres w dziejach ruchu robotniczego niezwykle trudny i skomplikowany. W latach wojny i okupacji, a szczególnie w okresie Polski Ludowej, przed ruchem robotniczym stanęły zupełnie nowe problemy.

Potrzeba badania tych problemów i procesów społecznych ostatnich 15 lat jest paląca. A przecież nie ulega wątpliwości, że właśnie ten okres jest najslabiej dotychczas zbadany, a braki i błędy w opisach i uogólnieniach historycznych odbijają się w poważnym stopniu na słabości innych nauk społecznych, jak np. ekonomii politycznej i filozofii, które to dyscypliny zdane na własne siły muszą zastępować historyków w oświeclaniu dziejów zachodzących procesów społecznych.

Na badaniach historycznych ostatniego 15-lecia w poważnej mierze ciążyły błędy w metodologii analizy historycznej, znajdujące wyraz w schematyzmie, dogmatyzmie, uproszczeniach i w przykrawaniu faktów do z góry założonych tez. Błędy te wynikały ze źle zrozumianych potrzeb bieżącej polityki. W dotychczasowych oświeceniach okresu okupacji — nie wyłączając dziejów ruchu robotniczego i organizacji marksistowsko-leninowskich tego okresu — nie ustrześliśmy się tzw. aktualizacji faktów, to znaczy upiększania ich bądź przemilczania w zależności od tego, co wydawało się celowe politycznie.

W praktyce badawczej, w opracowaniach i w innych publikacjach odrywaliśmy ruch robotniczy od ogólnonarodowego procesu historycznego. Skupialiśmy naszą uwagę tylko na dziejach walki i pracy organizacji rewolucyjnych poprzedzających powstanie Polskiej Partii Robotniczej (a i to czyniliśmy też bardzo nieśmiało pomijając niektóre z nich, np. Związek Walki Wyzwoleńczej), w latach późniejszych zaś — na działalności Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, Krajowej Rady Narodowej oraz przede wszystkim PPR.

Jeśli chodzi o okres dziejów ruchu robotniczego i narodu od września 1939 r. do powstania PPR — to traktowano go mimochodem, kładąc głównie nacisk na terrorystyczną politykę okupanta, na marginesie wspominając tylko o żywiołowym ruchu oporu, nie podbudowując tej tezy konkret-

nym materiałem historycznym. Nie przedstawiano skomplikowanych warunków podziemnego życia politycznego, w jakich znaleźli się działacze rewolucyjni nie posiadający w tym okresie swej partii. Wiadomo przecież wszystkim działaczom politycznym ruchu robotniczego, którym wypadło żyć i pracować w ówczesnych warunkach, w jakiej niezwykle trudnej i skomplikowanej sytuacji wewnątrz kraju i na arenie międzynarodowej znaleźli się polski ruch rewolucyjny. Stwierdzić należy, że rozwiązanie KPP w 1938 r. było niepowetowaną stratą dla ruchu robotniczego w Polsce, poważnie ograniczyło możliwości działania i walki rewolucyjnej awangardy robotniczej w okresie najtrudniejszym dla całego narodu, w przededniu i dniach klęski wrześniowej, jak również w pierwszych dwóch latach okupacji hitlerowskiej. Wprawdzie po rozwiązaniu partii komunistów polscy podjęli starania o jej restytucję, ale w atmosferze podejrzliwości spowodowanej przez fałszywe oskarżenia i w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej sprawa nie była łatwa i jej rozwiązanie wymagało dłuższego czasu i odpowiednich warunków. Niewątpliwie także zawarcie przez ZSRR w sierpniu 1939 r. koniecznego w ówczesnych warunkach paktu nieagresji z Niemcami zdezorientowało znaczną część społeczeństwa polskiego i utrudniło walkę komunistów polskich, działających bez partii w luźnych i rozproszonych grupach rewolucyjnych. Oświecenie tych problemów wyjaśniłoby niewątpliwie, dlaczego PPR powstała dopiero w styczniu 1942 r. Wyjaśniłoby także, dlaczego w latach 1939—1941 burżuazja zdołała umocnić swoje mocno nadwerżone klęską wrześniową wpływy w społeczeństwie polskim.

Szczególne warunki okupacji — odłożenie przez burżuazyjne partie polityczne swych klasowych postulatów na dalszy plan, wysunięcie hasła wyzwolenia narodowego oraz niczym nie wiążących deklaracji demokratycznych — pozwoliły partiom tym skupić w swych szeregach wielu uczciwych, gorących patriotów, którzy szukali swego miejsca w podziemnym życiu politycznym, chcieli walki o wolność i szli tam, gdzie im ją obiecywano. Jednym z naszych błędów było to, że częstokroć nie widzieliśmy tego procesu, że cały obóz polityczny, podporządkowany organizacyjnie czy też politycznie oraz programowo polskiemu rządowi emigracyjnemu, identyfikowaliśmy z kliką sanacyjną, która najczęściej pod płaszczykiem apolityczności usadowiła się zarówno na emigracji, jak i w organizacjach wojskowych na terenie kraju. Nie potrafiliśmy ukazać całej złożoności politycznej tzw. „obożu londyńskiego” i jego „delegatury” w kraju. Była to dla nas jedna czarna bądź szara plama. A przecież po przeciwnej stronie polskiego obozu rewolucyjnego, którego najbardziej konsekwentnymi bojownikami byli komunisty, stał zróżnicowany obóz polityczny. W skład jego wchodziły obok jawnie faszystowskich i reakcyjnych ugrupowań (np. grupy dawnego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR), Stronnictwo Narodowe i „apolityczne” ugrupowania sanacyjne) organizacje reprezentujące burżuazyjno-demokratyczną myśl polityczną (np. Stronnictwo Pracy, szereg ugrupowań demokratyczno-syndykalistycznych), organizacje o ludowym charakterze (w pierwszym rzędzie Stronnictwo Ludowe z wyraźnie zarysowanymi skrzydłami lewicy i prawicy) i organizacje o reformistyczno-socjalistycznym obliczu (prawica dawnej PPS, tzw. WRN, i prawicowe elementy Polskich Socjalistów, późniejszej Robotniczej Partii Polskich Socjalistów). Poszczególne ugrupowania i — co najważniejsze — ich szeregowi członkowie przechodzili w toku rozwoju sytuacji politycznej bardzo

skomplikowaną ewolucję w poglądach i programach. Zadaniem badaczy jest ukazać te procesy, wyjaśnić ich znaczenie i źródła. Jednakże, jak dotąd, ten bardzo zróżnicowany i skłócony wewnętrznie szczególnie w kraju „obóz londyński“ przedstawiano zazwyczaj jako zwartą siłę kontrrewolucyjną i antyradziecką, wyciągając w konsekwencji wnioski o jego antynarodowym i agenturalnym charakterze. Chcemy być dobrze zrozumiani. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w obozie tym, szczególnie w łonie kierownictwa partii politycznych, było bardzo wielu zajadłych wrogów ruchu rewolucyjnego i Związku Radzieckiego, wielu ludzi powiązanych z wywiadem i dyspozycyjnymi ośrodkami kół imperialistycznych. Ludzie ci faktycznie stawali na pozycjach antynarodowych, nadawali ton, określali kierunek polityki tych organizacji. Jednakże błędem i uproszczeniem w naszych oświeceniach było identyfikowanie np. Stronnictwa Ludowego ze Stronnictwem Narodowym, mówienie jednym tchem o bandach Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), Związku Walki Zbrojnej (ZWZ — AK) i prawicy PPS (WRN). Obraz ruchu oporu w Polsce ograniczono wyłącznie do licznych, ale nie mających szerokich wpływów organizacji rewolucyjnych poprzedzających powstanie PPR, a później do działalności PPR, GL i AL. W ten sposób mimo woli wkład oddziałów innych organizacji wojskowych w walkę przeciw okupantowi — w tej liczbie Batalionów Chłopskich, Armii Krajowej, Socjalistycznej Organizacji Bojowej i innych — zapisywano na konto „londyńczyków“. Nie negując reakcyjnego charakteru programów politycznych tych stronnictw, nie negując reakcyjnego oblicza przywódców ich organizacji wojskowych, a wprost przeciwnie — opierając się na ich własnym materiale dokumentarnym, demaskując w jeszcze większym stopniu ich rzeczywiste stanowisko wobec walki z okupantem, wobec ludu polskiego, wobec PPR i państwa socjalistycznego — ZSRR, należy ukazać głęboki proces polityczny, jaki przechodziły masy członkowskie tych organizacji, i ich konkretny wkład w walkę z okupantem hitlerowskim. Pozwoli to pełniej wyjaśnić, na czym polegał wpływ Polskiej Partii Robotniczej, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na szerokie kręgi społeczeństwa, na czym polegał rzeczywisty, ogólnonarodowy, patriotyczny front przeciw hitleryzmowi i wstecznym siłom polskiej reakcji. Przemilczając w swych opracowaniach ten problem krzywdziliśmy moralnie dawnych bojowników ruchu oporu w Polsce, w szczególności ofiarnych i bojowych żołnierzy Batalionów Chłopskich, a także żołnierzy Armii Krajowej i innych organizacji wojskowych. Wielu z nich oddało swe życie w walce z hitlerowcami, wielu te ciężkie dni przetrwało, ale ich czyny poszły w niepamięć. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu zaapelować do nich o nadsyłanie wspomnień, relacji i tych materiałów dokumentarnych, które zachowały się w ich rękach, by dziś, po przezwyciężeniu dawnej postawy i stosunku, wzbogacić obraz ruchu oporu w naszym kraju.

Nasuwa się wniosek dla naszych historyków. Należy w badaniach i opracowaniach ująć całokształt stosunków politycznych okresu okupacji hitlerowskiej, przedstawić całą ich złożoność, wydobyć na powierzchnię wysiłek całego narodu w walce z okupantem hitlerowskim, aby tym pełniej ukazać rolę rewolucyjnego obozu w Polsce, obozu reprezentowanego przez PPR — partię, której program był wyrazem najgłębiej pojętego interesu narodowego.

To są tylko niektóre problemy, przy których oświeceniu historycy-mark-

siści zajmujący się okresem okupacji popełnili błędy w ocenie obozu przeciwnika politycznego bądź potencjalnie sojusznicznego kierunku czy ugrupowania.

Może więc nie popełniono błędów i ustrzeżono się uproszczeń w opracowaniach dotyczących obozu rewolucyjnego, reprezentowanego przez komunistów i PPR? Niestety — i tu mamy do zanotowania kardynalne braki i błędy. Zarówno w opracowaniach dotyczących SDKPiL (o czym pisał tow. Tych w nrze 6 „Nowych Dróg“ z br.), jak również i w opracowaniach dotyczących PPR — choć ograniczono się tylko do omówienia programowo-politycznego stanowiska partii — nie odeszło się bez schematów i uproszczeń. Czytelnik naszych wydawnictw czy słuchacz wykładów może odnieść wrażenie, że stanowisko programowe PPR było dla wszystkich jej zwolenników, zarówno członków jak i sympatyków, od razu jasne i zrozumiałe, że wszyscy przyjmowali je bez zastrzeżeń, że nie było dyskusji wśród dawnych członków Komunistycznej Partii Polski, którzy wstąpili w 1942 r. w szeregi PPR, że nie włączali się do niej nowi ludzie, którzy dopiero przychodzili do ruchu rewolucyjnego, że nie było żadnej różnicy zdań co do strategii i taktyki partii, co do charakteru walki narodowo-wyzwoleńczej, oblicza Gwardii Ludowej, Armii Ludowej czy Krajowej Rady Narodowej. A nawet jeśli o tych rzeczach gdzieś tam wspominało, były to jedynie niewiele mówiące wzmianki. Po 1949 r. zaciążyły nad tym również błędy związane z ówczesną sytuacją polityczną w partii i w kraju. Fakt sporu ideowego z tow. Gomułą przenoszony był wstecz, do okresu okupacji, różnice, jakie wtedy istniały faktycznie — lub też tylko rzekomo — były podciągane pod aktualne spory. Niewątpliwie całokształt tych spraw wymaga ponownego gruntownego i bezstronnego przeanalizowania.

Złożona problematyka kształtowania się — jeszcze przed powstaniem PPR — oblicza ideowo-politycznego, ruchu rewolucyjnego zarówno w kraju, jak i na emigracji (chodzi tu o komunistów polskich w ZSRR) musi zostać gruntownie zbadana, co pozwoli na pełne ukazanie procesu formowania się linii politycznej poszczególnych organizacji rewolucyjnych, a następnie również i dróg rozwoju Polskiej Partii Robotniczej, Gwardii Ludowej, Armii Ludowej i koncepcji politycznej Krajowej Rady Narodowej. W tych wypadkach, gdy mówiono o ściąganiu się poglądów, koncepcji i dyskusji wokół węzłowych problemów politycznych, np. frontu narodowego czy charakteru władzy ludowej w wolnej Polsce, upraszczano zazwyczaj tę kwestię stawianiem tezy o agenturalnej działalności szpiegowskiej i dywersyjnej poszczególnych grup czy działaczy, tłumacząc wszystkie trudności i niejasności matactwami zakapturzonych wrogów narodu i demokracji. Obóz rewolucyjny nie był wolny od dywersji i infiltracji wroga klasowego, jednakże błędem wydaje się tłumaczenie wszystkich — lub chociażby większości — niejasności występujących w szeregach partii i w obozie postępowo-demokratycznym działalnością dywersji imperialistycznej. Zdajemy sobie jednak sprawę, że oświecenie tych zjawisk wymaga wielu wysiłków, przeprowadzenia wielu rozmów z działaczami tamtych lat, zebrania nowych materiałów i ich analizy, szukania prawdy historycznej, uwzględnienia ówczesnych warunków i sytuacji zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Przeprowadzenie tej pracy jest tym trudniejsze, że problematyka

minionych lat okupacji wiąże się bezpośrednio z bieżącą polityką, która przecież wpływa na badania tych zjawisk i zawsze rodzi niebezpieczeństwo rozpatrywania wydarzeń minionych z punktu widzenia aktualno-politycznych potrzeb chwili bieżącej.

Zupełnym niemal odłogiem leży badanie i oświetlanie konkretnej działalności polityczno-organizacyjnej ruchu rewolucyjnego w latach 1939—1945. Pomimo bardzo skromnego materiału dokumentarnego można było na tym polu uczynić znacznie więcej niż uczyniono. Może wydać się to rzeczą dziwną, ale do dziś dnia nie mamy rozeznania co do rozległości organizacyjnej PPR, co do jej wpływów politycznych. Nie posiadamy nie tylko pełnego obrazu ruchu oporu w Polsce, ale nie mamy również możliwości dokładnego przedstawienia działalności bojowej Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, niewiele możemy powiedzieć o ich liczebności, składzie socjalnym itd. Przemilczenie wielu faktów i zjawisk bądź też ogólnikowe ujęcie problematyki ruchu oporu w Polsce odbiło się nie tylko krzywdząco na żołnierzach Batalionów Chłopskich czy Armii Krajowej, ale również na działaczach PPR, żołnierzach Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Fałszywa zasada, że wolno i należy pisać tylko o ludziach krystalicznie czystych, nieskazitelnych, wiernych — a wiadomo, że na wielu działaczy zmarłych i żyjących wroga agentura rzuciła cień podejrzeń, a nawet fałszywych oskarżeń — doprowadziła do tego, że badacz dziejów ruchu oporu, a w tej liczbie historii PPR, GL i AL, miał związane ręce. W ten sposób powstawała historia anonimowa — bez ludzi, mająca postać wykresu o ciągle wznoszącej się linii sukcesów, bez załamania, bez zygzaków. Dawalo to fałszywy obraz przeszłości, obniżało wartość osiągnięć bojowników o sprawę ludu w Polsce, wartość sukcesów PPR, GL i AL.

Słuszne są pretensje uczciwych, patriotycznych żołnierzy Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, ale pamiętać trzeba, że nie mniej słuszne, a może nawet bardziej uzasadnione są zarzuty byłych działaczy partii, żołnierzy GL i AL, którzy przecież świadomie walczyli o Polskę Ludową, oddawali wszystko, nawet życie, za sprawę ludu, bili się o tę drogę, którą kroczy dziś nasz naród ku socjalizmowi, a ich wkład przemilczano, stawiano poza nawiasem, gdyż padł na nich cień niczym nie uzasadnionego podejrzenia lub oskarżenia.

Czy to znaczy, że wszyscy bojownicy podziemia walczący z okupantem byli ludźmi bez skazy, nie przechodzili okresów załamania i upadków, czy nie mogła się wśród nich znaleźć nikczemna jednostka? Naturalnie były takie wypadki. Jeżeli komuś udowodniono nikczemność (zdradę szeregów, współpracę z hitlerowcami, tchórzostwo), nie należy tych spraw przemilczać. Życie było ciężkie, ludzie się załamywali, byli tacy, którzy nikczemnieli. Należy więc pokazać ich — choćby po to, by tym w jaśniejszym blasku wystąpili ci najlepsi.

Sądźmy, że należy skończyć z przemilczaniem nazwisk partyzantów (dowódców oddziałów, oficerów i żołnierzy), na których słusznie czy niesłusznie padł cień podejrzeń co do faktycznych lub domniemyanych przewinień, popełnionych rzadziej w okresie samej okupacji, częściej zaś po wyzwoleniu. To, że były partyzant rozpiął się po wyzwoleniu i został usunięty np. z organów Bezpieczeństwa Publicznego czy Milicji Obywatelskiej, nie może przekreślić jego wkładu w walkę z najazdem hitlerowskim, a oddział, którego był dowódcą, nie może pozostać bezimienny. Lu-

dziom, którzy zostali fałszywie oskarżeni, należy się pełna osobista rehabilitacja. Musi zostać wyswieślona prawda historyczna o działalności Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, w której szeregach walczyli najlepsi synowie ludu polskiego.

Niewłaściwe ujmowanie problemu ruchu oporu w Polsce prowadziło do przemilczenia pięknych przykładów współdziałania oddziałów GL i AL z oddziałami BCH i AK. Fałszywe określenie obozu pozapeperowskiego jako jednolitej, reakcyjnej, prohitlerowskiej bryły, wyznającej postulat najbardziej reakcyjnych kół „stania z bronią u nogi”, nie pozwalało na udokumentowanie tezy o istnieniu rzeczywistego frontu narodowego walki z okupantem hitlerowskim, skupionego wokół **najbardziej aktywnej siły — Polskiej Partii Robotniczej.**

Sytuacja w okresie okupacji była — jak podkreślamy — skomplikowana. W obozie pozapeperowskim było wiele wrogich sił reakcyjnych. Poszczególne ośrodki tego obozu, np. NSZ, a również niektóre oddziały AK, nie wzdrygały się przed rozpętaaniem wojny bratobójczej przeciw PPR, GL i AL. Dokonywano bestialskich mordów na działaczach naszej partii i żołnierzach-gwardzistach. Niewątpliwie należy z całą bezwzględnością i może w jeszcze szerszym zakresie napiętnować tę zbrodniczą działalność, postawić jej uczestników poza nawiasem ogólnonarodowej walki. Ale zbrodnie te nie powinny rzucać cienia na tych żołnierzy podziemia, którzy nie mieli z nimi nic wspólnego. Na czym polega błąd? W dotychczasowych publikacjach przytaczano kilka faktów bratobójczych zbrodni (o wiele za mało), a pomijano przykłady, które **świadczyły o czymś zupełnie innym, o współpracy GL i AL z oddziałami BCH i AK.**

Nielepiej pod tym względem wygląda sprawa oświecenia i opracowania dziejów obozu KRN-owskiego. Jak dotąd, nie manii historii kształtowania się rewolucyjnego skrzydła socjalistycznego, reprezentowanego przez organizację „Polscy Socjaliści” („Barykadownicy”) i Robotniczą Partię Polskich Socjalistów (RPPS). Ruch ten, który stał się początkiem dziejów PPS w kraju po wyzwoleniu, który świadczył o zdrowej ewolucji działaczy tej partii w kierunku marksizmu-leninizmu, nie został, poza ogólnikowymi sformułowaniami, do dziś opracowany przez żadnego historyka-marksistę. **A o ważności takiej pracy nie trzeba chyba nikogo przekonywać.** Podobnie brak jest omówienia lewicowego nurtu w ruchu ludowym, który szczególnie silnie rozwijał się w latach okupacji hitlerowskiej. Świadczy o tym **najlepiej wkład BCH w walkę zbrojną przeciw okupantowi, postawa wielu oddziałów BCH wobec prób podporządkowania ich reakcyjnemu dowództwu AK, stosunek BCH do GL i AL (czy wreszcie akces ludowej grupy „Woli Ludu” i części BCH do KRN i terenowych rad narodowych.**

Przy omawianiu okresu okupacji wyłania się jeszcze szereg innych trudnych problemów, które rozwiązywano dotychczas przy pomocy ogólników i formulek, a które wymagają poważnych i długotrwałych badań naukowych. Należy do nich np. ocena takich zjawisk społecznych, jak kolaboracja w okresie okupacji lub sprawa wkładu polskich sił zbrojnych na Zachodzie do walki z faszyzmem. Dotychczas przyjmowało się niemal za pewnik, że kolaborantów szukać należy wśród wielkich kapitalistów, obzarników i pewnej części bogatego chłopstwa.

Czy tak jednak było w rzeczywistości?

Przecież wielcy kapitaliści polscy zostali pozbawieni przez okupanta własności, przecież stosunek okupanta do obszarników był inny na ziemiach wcielonych do Rzeszy, gdzie wywłaszczono 5 000 wielkich majątków, a inny w Generalnym Gubernatorstwie. Przecież po przyłączeniu do Generalnego Gubernatorstwa dystryktu Galicji w 1941 r. nie zwrócono tam żadnemu obszarnikowi polskiemu jego posiadłości, o ile przewyższała 50 ha.

W Generalnym Gubernatorstwie rzeczywiście obszarnicy znaleźli się na ogół — szczególnie w porównaniu z położeniem chłopów — w sytuacji uprzywilejowanej, ale czy to określało stosunek okupanta do nich? Czy w planach hitlerowskich pozostawiało miejsce dla nich na okres późniejszy, po zwycięstwie? Odpowiedź na to jest trudna, a samo zagadnienie kolaboracji zbyt złożone i skomplikowane, by zbywać je frazesami i ogólnikami.

Pomijano również na ogół lub przemilczano wkład w dzieło walki z faszyzmem formacji polskich w Afryce, we Włoszech, w Anglii i na innych frontach. Przecież walczyły tam dziesiątki tysięcy Polaków — piechurów, artylerzystów, marynarzy, czołgistów i lotników. Choć tamta droga „wiodła przez Narwik“, a cele dowództwa nie zawsze były dla nich zrozumiałe, walczyli oni i ginęli z myślą o Polsce.

Podobnie jak w okresie okupacji wiele trudnych problemów staje przed badaczami dziejów ruchu robotniczego w Polsce Ludowej. Są to lata niezwykle bogate w wielkie i przełomowe wydarzenia. Są to lata budowania i utrwalania władzy ludowej, dokonywania podstawowych przeobrażeń społecznych: reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu, zagospodarowania ziem zachodnich, lata wkroczenia narodu polskiego na drogę socjalizmu. Czy potrafiliśmy ukazać trudności tych procesów, ostrość walki klasowej, walki o władzę? Czy potrafiliśmy ukazać trudności rozwoju naszej partii — jej braki i osiągnięcia, jej rozwój ideologiczny i organizacyjny? Czy potrafiliśmy ukazać, jak trudna i skomplikowana była walka o zdobycie większości narodu, o umocnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego? Czy pokazaliśmy trudności walki o umocnienie sojuszu ze Związkiem Radzieckim, a także walki z błędami i wypaczeniami w polityce narodowościowej? A przecież walka z nacjonalizmem, tęczona w imię ludowego patriotyzmu i internacjonalizmu, wymaga spojrzenia prawdzie w oczy, obnażenia bolesnych nieraz błędów i wypaczeń, głębokiej analizy.

Czy nie nastrocza ogromnych trudności analiza charakteru naszej rewolucji ludowej, jej etapów, jej specyfiki? Czy można dla dokonania tej analizy wychodzić jedynie z leninowskiej teorii rewolucji i jako nieodparty argument wysuwać taką czy inną tezę — postawioną kilkadziesiąt lat temu w zupełnie innej sytuacji politycznej i innym układzie sił?

Czy nie należałoby raczej, posługując się marksistowską metodą badawczą, którą z taką umiejętnością stosował właśnie Lenin, rozpocząć tę analizę od szczegółowych badań nad układem sił klasowych w Polsce, wpływami i rolą klasy robotniczej oraz jej awangardy — partii robotniczej, rolą różnych grup chłopstwa, inteligencji, drobnomieszczaństwa?

Czy nie należałoby rozpocząć od głębokich studiów nad ekonomiką tego okresu, jego trudnościami i konfliktami, spletem warunków wewnętrznych i międzynarodowych? Czy nie należałoby znacznie dokładniej i wszechstronniej oświetlić specyfikę naszego rozwoju, położyć nacisk na to, co szczególne dla budownictwa socjalistycznego w Polsce, na te właściwo-

ści i cechy, które określają naszą polską drogę do socjalizmu? Określała ją odmienna niż przed 40 laty sytuacja międzynarodowa, nasze wewnętrzne warunki ukształtowane w latach walki przeciw okupacji hitlerowskiej, specyficzny dla nas układ sił klasowych oraz nasze tradycje narodowe.

Musimy przy tym pamiętać, że podstawowym założeniem metodologii marksistowskiej przy wszelkich badaniach historycznych jest wychodzenie od analizy sytuacji wewnętrznej w danym kraju, gdyż przede wszystkim ona determinuje jego rozwój.

Weźmy na przykład warunki powstania i utrwalenia władzy ludowej w Polsce.

Na ogół dotychczas za podstawowe warunki zwycięstwa władzy ludowej w Polsce przyjmowało się dwa równorzędne czynniki: wyzwolenie kraju przez Armię Radziecką oraz istnienie sił rewolucyjnych w kraju, które wykorzystując dogodną sytuację międzynarodową i wewnętrzną ujęły władzę w swoje ręce. Wydaje się jednak, że przy tej zasadniczo słusznej analizie dopuszczono się pewnych uproszczeń.

Wyzwolenie Polski spod okupacji hitlerowskiej zawdzięczamy przede wszystkim zwycięskiemu marszowi Armii Radzieckiej. Również olbrzymią rolę w umocnieniu władzy ludowej odegrało poparcie PKWN i Rządu Tymczasowego przez ZSRR na arenie międzynarodowej, poparcie postulatów wysuniętych przez obóz demokratyczny na konferencji w Jaltie i Poczdamie. Możemy więc powiedzieć, że wyzwolenie Polski przez Związek Radziecki miało zasadnicze znaczenie dla stworzenia najdogodniejszych warunków międzynarodowych powstania i utrwalenia władzy ludowej. Ale o zwycięstwie władzy ludowej w Polsce, o powstaniu PKWN, a później Rządu Tymczasowego zdecydował jednak układ sił klasowych w samym kraju. Gdyby w okresie okupacji nie stworzono PPR, gdyby nie umocnił się sojusz między przodującą częścią klasy robotniczej a biedotą chłopską i gdyby nie powstały załączki władzy ludowej w postaci KRN — to wyzwolenie Polski przez Armię Radziecką nie zdecydowałoby o zwycięstwie sił rewolucyjnych. Wyzwolenie Polski przez Armię Radziecką, pomoc ZSRR w pierwszych latach po wyzwoleniu ułatwiły siłom rewolucyjnym zdobycie i utrwalenie władzy, ale nie mogły tych sił zastąpić.

Poważne trudności nastręcza ocena stosunku narodu polskiego do Związku Radzieckiego w pierwszym okresie po wyzwoleniu. W dotychczasowych publikacjach, wykładach, artykułach przyjmowało się a priori za pewnik, że stosunek ogromnej większości społeczeństwa polskiego do ZSRR był pozytywny, że uregulowanie sprawy granic wschodnich zostało przyjęte ze zrozumieniem. Czy jednak ocena ta odpowiada rzeczywistości? Wydaje się, że niecałkowicie.

Niewątpliwie ogromna większość narodu — jak wykazują m. in. dziesiątki listów chłopskich i sprawozdania komitetów wojewódzkich PPR — powitała wyzwolenie Polski przez Armię Radziecką z największą radością, wznosiła bramy triumfalne, obsypywała kwiatami wyzwolicieli. Ale z tą radością mieszały się i inne uczucia. Pamiętać przecież należy, że w kraju takim jak Polska sprawa narodowa, zagadnienie niepodległości stanowiły niezwykle ostry i poważny problem. Naród, który znajdował się w niewoli ponad 130 lat, który po zaledwie 20 latach niepodległości przeszedł straszliwą gehennę okupacji hitlerowskiej, naród — jak to określił niegdyś Lenin — wstrząsany namiętnościami nacjonalistycznymi był

niesłuchanie wrażliwy na punkcie niepodległości, niezależności i suwerenności. Czy mogły pozostać bez echa stare kompleksy antyrosyjskie, zrodzone w latach niewoli, czy zniknąć mógł od razu jad antyradziecki, szerzony w latach międzywojennych i w okresie okupacji przez rodzimą reakcję, a także przez okupanta hitlerowskiego?

Wydaje się, że nie można odpowiedzieć na to twierdząco. Nie ulega wątpliwości, że większość narodu polskiego witała wkraczającą Armię Radziecką jako swą armię-wyzwolicielkę, ale bardzo znaczna jego część — nie znając innych stosunków między narodami niż kapitalistyczne — bała się utraty niepodległości. A sprawa granic wschodnich? Czy była ona zrozumiała dla całego narodu, czy cały naród godził się wówczas z porozumieniem w tej sprawie zawartym między Związkiem Radzieckim a Polską Ludową? Jak wykazują liczne dokumenty tego okresu, sprawa ta wywoływała bardzo poważne opory wśród znacznej części ludności polskiej, głównie inteligencji, drobnomieszczaństwa i chłopstwa, a także wśród niektórych, bardziej zacofanych kół robotniczych, w sprawie tej reprezentanci burżuazyjno-obszarniczego nacjonalizmu mogli żerować — i żerowali — na braku świadomości, na zacofaniu politycznym znacznej części społeczeństwa.

Znaczna część społeczeństwa polskiego nie rozumiała tego, że ziemie wschodnie zamieszkałe w większości przez ludność ukraińską i białoruską nie umacniały, ale osłabiały Polskę, że zabór tych ziem legł u podstaw długowiecznych sporów i wojen z bratnimi narodami słowiańskimi, że ułatwił militaryzację i faszyzację Polski. Znaczna część narodu uważała te ziemie za polskie, a poza tym nie bardzo wierzyła w możliwość odzyskania ziem zachodnich, w znacznej części już zgermanizowanych. A dla setek tysięcy Polaków — bynajmniej nie osadników, ale robotników i chłopów, osiadłych od wieków na tych ziemiach (podobnie zresztą, jak dla Ukraińców na ziemiach polskich) — sprawa granicy polsko-radzieckiej wiązała się często z ich osobistą tragedią.

Czy pominięcie tych faktów — pominięcie niedopuszczalne ze stanowiska historyka — nie prowadzi zarazem do pomniejszania ogromu pracy wychowawczej dokonanej przez PPR i cały obóz demokratyczny właśnie w tej dziedzinie?

Wielu uproszczeń dopuszczaliśmy się przy ocenie sojuszników PPR — PPS, SL i SD. Ukazując drogę powstania i utrwalenia władzy ludowej pisaliśmy i mówiliśmy przede wszystkim o PPR i jej działalności, a jeśli wspominaliśmy o PPS czy SL — to głównie od strony ich braków i słabości.

Nie ulega wątpliwości, że główny ciężar walki o demokrację ludową dźwigała na sobie PPR, że jej kadry odegrały decydującą rolę w utrwaleniu i rozwoju ludowego państwa polskiego. Ale czy można pominąć doniosłą i pozytywną rolę, odegraną w tych procesach historycznych przez PPS, SL i SD? Przecież trzeba pamiętać, że partie te dokonały olbrzymiego kroku naprzód w swoim rozwoju, wyzwoliły się z wielu obciążeń reformistycznych i drobnomieszczańskich, aby wreszcie stanąć na pozycjach ludowo-demokratycznych, na gruncie współpracy z PPR i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Trzeba pamiętać, że partie te odegrały doniosłą rolę w rozwoju rewolucji ludowej, że zdobywały dla tej rewolucji szerokie koła drobnomieszczaństwa, chłopstwa średniorolnego, a nawet bogatego i inteligencji.

Oczywiście, droga tych partii do socjalizmu była trudna i pełna wewnętrznych konfliktów — niemniej jednak rolę odegraną przez nie w naszej rewolucji ludowej uznać należy za ważną i pożyteczną.

Przed badaczami historii Polski Ludowej stoi jeszcze więcej trudnych i złożonych problemów. Czy nie wymaga nowej analizy sprawa odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w PPR, jeżeli wiemy dziś, że zaciążyła na niej polityczna prowokacja beriowszczyzny wobec Jugosławii lub fałszywa teoria o nieuniknionym przekształceniu się odchylenia w imperialistyczną agenturę? Czy nie wymaga długotrwałych jeszcze badań i poszukiwań ocena niektórych aspektów polityki gospodarczej w okresie Planu 6-letniego, szczególnie polityki na wsi?

Wskazaliśmy tylko na pewne podstawowe problemy badawcze okresu okupacji hitlerowskiej i Polski Ludowej, bez których oświetlenia nie będziemy mogli otrzymać pełnego obrazu polskiego ruchu robotniczego, dziejów PPR i prowadzonej przez nią walki. Problemów takich, wymagających głębokich i długotrwałych badań, szerokich dyskusji — spraw trudnych i nieraz bolesnych — jest bardzo wiele. Ale zerwanie ze schematyzmem i dogmatyzmem, zerwanie z metodą przykrawiania materiałów do z góry przyjętych i ustalonych tez, zerwanie z upraszczaniem procesu historycznego polegającym m. in. na odrzuceniu tego, co jest niewygodne lub nie mile — pozwoli w pełni przedstawić trudny i złożony proces rozwoju rewolucyjnego ruchu robotniczego, pozwoli pokazać jego olbrzymią, decydującą rolę w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne narodu polskiego, jego decydujące znaczenie w naszym marszu do socjalizmu. Wysuwając powyższe zdajemy sobie sprawę, że wiele naszych uwag spotka się z zastrzeżeniami, a nawet negacją ze strony czytelników. Traktujemy je też jako dyskusyjne.

* *

W badaniach historycznych nad okresem najnowszym występuje szereg podstawowych trudności i pytań:

1. Czy w ogóle możliwe są rzetelne badania naukowe nad historią ruchu robotniczego i narodu w ostatnim piętnastoleciu, wysuwanie wniosków uogólniających i tworzenie syntez historycznych?
2. W jakiej mierze udostępnione materiały archiwalne mogą służyć za podłoże badań nad dziejami najnowszymi?
3. W jaki sposób zachęcać naukowców-historyków do badań nad tym okresem?

Czy można badać rzetelnie i obiektywnie okres ostatnich 15 lat — pytają historycy — jeśli ciąży nad nim potrzeby polityki bieżącej i aktualnych zadań dnia dzisiejszego, kiedy sprawy związane z procesem rozwojowym w tych latach wiążą się z nie wyjaśnionymi często do końca sprawami ludzi, którzy byli jego współtwórcami? Nie ma chyba wielu historyków, którzy staliby na stanowisku niezależności historii, zwłaszcza historii lat ostatnich, od polityki. Jednakże większość wysuwa poważne zastrzeżenia co do „podporządkowania” historii aktualnym hasłom politycznym, które przecież zmieniają się, okazują się często niesłuszne, a niekiedy nawet szkodliwe. Wskazują oni, że podporządkowanie zadań historycznych potrzebom bieżącej polityki, to co nazywamy koniunkturalizmem, prowadzi do tego,

że większość opracowań historycznych, opartych na tych zasadach, kwalifikuje się po paru latach jedynie na makulaturę.

Poważne trudności w badaniach nad historią ruchu robotniczego ostatnich lat stwarza słabość bazy archiwalnej oraz ograniczenia w dostępie do podstawowych często materiałów. Jeżeli chodzi o okres II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, pamiętać należy, że lata te nie sprzyjały prowadzeniu przez robotnicze organizacje rewolucyjne i partię dokładnej dokumentacji pracy polityczno-organizacyjnej. Względny bardzo ścisły konspiracyjny, zasada raczej ustnego przekazywania instrukcji, dyrektyw, poleceń i meldunków przyczyniły się do tego, że materiały źródłowe z zakresu działalności podziemnego ruchu rewolucyjnego z natury rzeczy są skąpe. Dodać należy, iż nawet tam, gdzie prowadzono ściślejszą dokumentację i na polecenie kierownictwa tworzono podziemne archiwa, wiele z nich w pożodze wojny zaginęło bezpowrotnie, ulegając zupełnemu zniszczeniu. Inne, być może, są gdzieś ukryte, o ich istnieniu wiedziało szczupłe grono ludzi, którzy zginęli, nie przekazując nikomu informacji o miejscu ukrycia materiałów. Nie do rzadkości należą wypadki, że interesujące historyków materiały z tego okresu, choć się zachowały, były do niedawna, a nawet i dziś są niedostępne. Mamy na myśli dokumenty różnych organizacji podziemnych, w tej liczbie i robotniczych, które nadal znajdują się w zamkniętych archiwach bądź też w rękach osób prywatnych i są skrzętnie ukrywane z różnych względów natury politycznej bądź traktowane jako osobiste „pamiątki“.

Niewiele lepiej przedstawia się sytuacja w zakresie materiałów źródłowych dotyczących okresu Polski Ludowej.

W pierwszych latach po wyzwoleniu sprawa przechowywania i porządkowania archiwów — szczególnie jeśli chodzi o materiały partyjne — była wyraźnie nie doceniana, a stan kancelarii partyjnych — fatalny. W związku z tym z lat 1944/45 zachowały się jedynie materiały szczątkowe, a w szeregu powiatów całość dokumentacji partyjnej owego okresu została zniszczona.

Również stan materiałów archiwalnych w centralnych urzędach państwowych — PKPG, Urzędzie Rady Ministrów, poszczególnych ministerstwach (nie we wszystkich) — pozostawia wiele do życzenia. Materiały są przechowywane w składnicach akt w stanie najczęściej nie uporządkowanym. W materiałach kategorii B (przeznaczonych więc po pewnym czasie do zniszczenia) znalazło się wskutek braku dostatecznego wyszkolenia fachowego kierowników składnic wiele cennych dokumentów.

Szereg materiałów zostało w swoim czasie zniszczonych, tak że obecnie nie posiadamy nawet pełnego kompletu tak ważnych dokumentów, jak sprawozdania z posiedzeń PKWN czy Rządu Tymczasowego.

Podobnie brak szeregu ważnych dokumentów partyjnych, szczególnie dokumentów komitetów wojewódzkich PPR.

Stan składnic w urzędach państwowych sprawia olbrzymie trudności w dotarciu do materiałów źródłowych i ich badaniu. Trudno zorientować się w przepastnych dżunglach tych materiałów, ponieważ nie są one należycie zewidencjonowane i uporządkowane. Często dla znalezienia jakiegś dokumentu, o którym wie się skądinąd, że istnieje, trzeba stracić szereg dni czy tygodni.

Fatalnie przedstawia się stan archiwów w CRZZ i w ogóle w organiza-

cjach związkowych, w organizacjach społecznych itd. Niektóre archiwa centralne, jak np. archiwum Związku Zawodowego Robotników Rolnych, zostały całkowicie zniszczone.

Ponieważ w roku 1956 mija 12 rok istnienia Polski Ludowej, składnice akt rozpoczęły przygotowania do przekazania archiwaliów za lata 1944 i 1945 do Archiwum Akt Nowych. Istnieją jednak całkowicie uzasadnione obawy, że w trakcie tego przekazywania dojść może do zniszczenia (wybrakowania) całego szeregu materiałów mających pierwszorzędne znaczenie dla badań historycznych tego okresu.

Niezależnie od słabości bazy materiałowej i wysoce niedostatecznego jej uporządkowania istnieją poważne trudności w jej udostępnieniu.

Oczywiście jasną jest rzeczą, że dla okresu najnowszego pojęcie tajemnicy państwowej i partyjnej nie jest jedynie pustym sloganem, że istnieje pewien margines prohibitowy, który z takich czy innych powodów nie może być jeszcze udostępniony. Ale życie wskazuje, że margines ten został zbyt poważnie rozbudowany, a przeważająca część tzw. materiałów prohibitowych bez większych przeszkód może zostać udostępniona pracownikom naukowym. Na marginesie słabości bazy materiałowej należy podkreślić również słabość naszej statystyki, zupełny niemal brak terenowych badań społecznych itd., co w poważnej mierze utrudnia badania historyczne.

Jakie wnioski nasuwają się na tle powyższych uwag?

1) Wydaje się, że badania naukowe nad ostatnim 15-leciem są konieczne i możliwe, ale nie nad całym okresem i nie nad wszystkimi zagadnieniami. Sądzymy, że możliwe w chwili obecnej jest rozwinięcie badań naukowych nad okresem okupacji i pierwszym 5-leciem Polski Ludowej, natomiast wydaje się nam niemożliwe rozwinięcie poważniejszych badań nad okresem Planu 6-letniego. Oczywiście procesy zachodzące w tym okresie należy badać, pewne prace można nawet publikować, ale główną rzeczą pozostaje tu zbieranie, kompletowanie, porządkowanie materiałów i żywa dyskusja.

2) Uważamy za konieczne poważne przyspieszenie prac nad uporządkowaniem i udostępnieniem materiałów źródłowych oraz ich rozszerzeniem.

Należy przyspieszyć proces porządkowania materiałów w składnicach centralnych i wojewódzkich urzędów państwowych, organizacjach związkowych, społecznych itd.

Powstanie komisji historycznych przy NKW ZSL i ZG ZMP wskazuje na to, że procesy te już się rozpoczęły. Jednakże cała troska odpowiednich instancji (przede wszystkim Archiwum Akt Nowych) musi być skierowana na to, aby prace te prowadzone były w sposób właściwy i aby zabezpieczone zostały materiały mające znaczenie dla badań historycznych.

3) Należy chyba wydać przepisy określające warunki korzystania z materiałów archiwalnych okresu najnowszego, które by wprowadzały jakąś jednolitość w tej dziedzinie i umożliwiały dostęp do archiwów badaczom współczesności. Należy opracować przepisy dotyczące zakresu prohibitowania materiałów archiwalnych i druków — przy tym należy iść w kierunku zmniejszenia kategorii materiałów „zakazanych”. Jedynie giętko uzasadniona racja tajemnicy państwowej czy partyjnej może kwalifikować dany materiał do kategorii prohibitów.

4) Konieczne jest zorganizowanie masowej akcji zbierania wspomnień,

relacji, pamiętników z okresu okupacji i pierwszego 5-lecia Polski Ludowej, co będzie miało ogromne znaczenie dla rozwoju badań historycznych. Rozszerzą one naszą wiedzę o walce całego naszego narodu z hitlerowskim okupantem, w tym o walce członków AK i BCh w kraju oraz formacji wojskowych w Afryce, Włoszech i Europie zachodniej. Rozszerzą one naszą wiedzę i wyjaśnią niejedno o trudnych procesach powstawania i utrwalania się władzy ludowej, o realizacji podstawowych przeobrażeń społecznych: reformy rolnej, nacjonalizacji przemysłu itd.

Akcja ta została już zapoczątkowana przez Wydział Historii Partii KC PZPR, przez Biuro Historyczne MON. Obradowano również niedawno nad tymi sprawami na wspólnym posiedzeniu przedstawicieli wydawnictw i niektórych instytucji naukowych. Niemniej poczynione zostały dopiero pierwsze kroki.

Rozwinięcie szerokiej dyskusji nad problemami badawczymi ostatniego 15-lecia, rozszerzenie bazy źródłowej i jej wszechstronniejsze opracowanie, kierowanie się w pracy naukowej wymaganiami marksistowskiej metodologii pozwoli, naszym zdaniem, na pousunięcie naprzód badań historycznych tego niezwykle ważnego w naszych dziejach okresu historycznego,

O Ludwiku Waryńskim (24.IX.1856 – 12.II.1889)

(w stulecie urodzin)

W okresie walki z „kultem jednostki“ pisać o jednostce, o wybitnej, przodującej jednostce, z której myślą i działaniem sprzęgnięte są nierozzerwalnie początki polskiego zorganizowanego ruchu rewolucyjnego? W okresie bolesnego burzenia pomników, dźwigniętych entuzjazmem i wiarą w sercach ludzi, budować słowem pomnik człowiekowi, który zajaśniał jak meteor u początków naszej drogi, który bez wahania oddał walce o wyzwolenie klasy robotniczej na ziemi polskiej bez reszty całego siebie?

Właśnie dziś trzeba ruchowi przypomnieć jego własne wielkie tradycje. Właśnie dziś trzeba sięgnąć do niewyczerpanych zasobów moralnych, do porywającego piękna ludzi i spraw na drogach rewolucyjnego ruchu robotniczego, na męczeńskiej drodze i polskiego ruchu. W ich długim szeregu czystością młodzieńczego porywu, bezinteresownym ofiarnym oddaniem, żarliwością nie zaprawioną goryczą żadnego jeszcze zawodu — zapisał się „Proletariat“. Jego czołowym ideologiem i przywódcą od odezwy programowej z sierpnia — września 1882 r. aż po testament ideowy „Proletariatu“, jakim stała się na procesie 29 w warszawskiej Cytadeli ostatnia mowa oskarżonego w grudniu 1885 r., był Ludwik Waryński.

Z jego imieniem związały się początki socjalistycznej propagandy i organizacji nie tylko w Warszawie, nie tylko w Królestwie. Pierwsze rewolucyjne koła robotników, rzemieślników i studentów w Galicji, pierwszy proces socjalistów w Krakowie, pierwsze ognisko polskiej socjalistycznej emigracji w Szwajcarii, w Genewie, pierwsze polskie druki proletariackie, broszury i czasopisma — wiążą się z życiem, z rewolucyjną działalnością Ludwika Waryńskiego.

Tej jesieni mija sto lat od dnia jego urodzin. Dystans to dostateczny, by spojrzeć na postać Waryńskiego przez doświadczenia tego stulecia największych przemian, jakie przeżyła ludzkość, i najszybszego ich tempa w dziejach narodu polskiego, by ocenić historyczną miarą wkład, wyznaczyć miejsce, ustalić hierarchię wielkości człowieka, którego z czcią i miłością wspominali towarzysze i potomni, robotnicy i inteligenci, poeci i historycy.

Nie będzie zadaniem tego artykułu pełniejsza analiza ideologicznych poglądów Ludwika Waryńskiego, dróg ich rozwoju, zakrętów i nawrotów nieuniknionych chyba w każdym pionierskim działaniu, gdy linia zygzakowata jest czasem jedynie realną, jedynie możliwą — prostą. Nie dlatego, by przemilczać takie czy inne niesłuszne sformułowania, i nie dlatego, by

sprawy te nie miały doniosłego znaczenia w ocenie i „Proletariatu“, i Waryńskiego, by można było lekceważyć decydujące o zwycięstwie — w wypadku dojrzałości przesłanek obiektywnych — sprawy teorii. Nie będzie tu o nich mowy, bo ich ocena wymaga historycznych sprawdzianów, dobrazgowej konkretnej analizy, niewykonalnych w ramach jednego artykułu. Dlatego wreszcie, że jakkolwiek by wypadł ten osąd, nie pomniejszy on ogromnego osobistego wkładu Ludwika Waryńskiego, nie zmieni faktu, że niezależnie od tych spraw dawał on wyraz podówczas najpełniej potrzebom i pragnieniom mas robotniczych, że uosabiał wszystko, co było w początkach naszego ruchu robotniczego po proletariacku bezkompromisowe i rewolucyjne, po polsku zadzierzyste i zapamiętałe w ofiarności.

* *

By ocenić wkład człowieka, ujrzeć go trzeba na tle jego czasów, jego społeczeństwa, jego środowiska. Ludwik Tadeusz Waryński urodził się na 8 lat przed powstaniem styczniowym we wsi Martynówka (pow. kaniowski b. gub. kijowskiej) w domu szlachcica Seweryna Waryńskiego, dzierżawcy majątku. W lata pacholęce Ludwika wpłatały się odgłosy tragedii styczniowej, lata szkolne miały mu w atmosferze żałoby popowstaniowej i represji, wzmagającej się z roku na rok polityki rusyfikacyjnej na ziemiach polskich. Pokolenie jego ojców poniosło podwójną klęskę: narodową i klasową. W starym układzie sił rachuby powstańcze żadnych więcej nie rokowały nadziei. Ale krzywda została — krzywda narodowa, coraz brutalniejsza i bardziej bezwzględna, ucisk polityczny, despotyzm i bezprawie, administracyjna samowola i żandarmski gwałt.¹⁾ Została krzywda społeczna, dawna chłopska pańszczyźniana krzywda, zamaskowana po reformie 1864 r., ale wciąż jeszcze w życiu obecna, i krzywda nowa, kapitalistyczna, narastająca powoli, ale stale, ściśle spleciona z dawną. Ją przede wszystkim dostrzegała młodzież, z nią walczyć pragnęła. W kilka lat później członkowie polskiej petersburskiej gminy socjalistycznej tak o tych sprawach pisali, oddając hołd bohaterom powstania listopadowego „za współczucie dla ludu, za męstwo i oddanie ojczyźnie“: „Kochamy ojczyznę niemniej od nich, ale tę miłość pojmujemy inaczej: drogie nam są losy nie garści uprzywilejowanych, lecz dola ludu polskiego“. Nie stan szlachecki, lecz „prosty lud — oto fundament, na którym stanie odrodzona Polska“. Choć pragną również „narodowej niezawisłości i równości politycznej“, to jednak „bardziej niż obcoplemienna niewola, bardziej niż ucisk rządowy cięży nad ludem naszym niewola domowa — jarzmo ekonomiczne“.²⁾

Młodzież gimnazjum białocerkiewskiego, do którego uczęszcza Waryński i które kończy w roku 1874, myśli podobnie. Na tej bogatej ziemi ukraińskiej rachunek krzywdy wzmagą o pozycję niemalą podwójny ucisk narodowy ukraińskiego chłopstwa. Środowisko wielonarodowe: ukraiński chłop, żydowski karczmarz, polski obszarnik, rosyjski pop, żandarm i administra-

1) Na mocy carskiego zarządzenia z dn. 26.V.1871 r. śledztwo w sprawach o przestępstwa polityczne zostało przekazane żandarmerii. Żandarmeria i min. sprawiedliwości uzyskują prawo nakładania kar w trybie administracyjnym.

2) „Narodnaja Wola“, nr 4, z dn. 24.XII.1880 r., str. 177—166.

tor; środowisko o ostrych liniach klasowego podziału, nakładających się na linie podziału narodowego; środowisko o bujnych i dawnych tradycjach antyfeudalnej narodowo-wyzwoleńczej chłopskiej walki i pańskich antycarskich spisków — sprzyjało szybkiemu ocknieniu się świadomości społecznej i narodowej, pędowi do konspiracji antycarskiej, wczesnemu borykaniu się z tą obolalą polityczną, społeczną i narodową problematyką.

Do kółka młodych konspiratorów w gimnazjum białocerkiewskim docierały echa podziemnej walki w Rosji. Wyobraźnię karmiła legenda „Ziemli i Woli“ (jej pierwsza odezwa ukazała się na wiosnę 1863 r.), „Narodnej Woli“ (pierwsza książeczka czasopisma „Wpieriod“ ukazała się właśnie w Zurychu w 1873 r.). Do wzoru urastały postacie jej bohaterów, jak relikwie przekazywano sobie dzieła Hercena i Czernyszewskiego, szeptem powtarzano nazwiska powieszonych, wśród nich — niejedno polskie. W tradycję walki i męczeństwa najlepszych synów Rosji wplatała się w sposób naturalny i oczywisty sprawa polska, imiona polskich patriotów i rewolucjonistów. Sojusz bojowy polskich i rosyjskich bojowników, wymierzony w carat, w krzywdę ludu i w krzywdy tej nosicieli, staje się dla Waryńskiego faktem oczywistym już na ławie gimnazjum w Białej Cerkwi.

Wrażliwy na krzywdę, przekonany o historycznym bankructwie szlacheckich powstań, szukający drogi nowej, rokującej pewniejsze zwycięstwo, młody Waryński wyjeżdża w 1874 r. na studia do Rosji, podobnie jak to czyniła ogromna większość ówczesnej studiującej polskiej młodzieży.

Instytut Technologiczny w Petersburgu, w którym Waryński rozpoczyna studia, był ogniskiem licznych tajnych kół studenckich, do których przenikać zaczęły idee socjalizmu, pierwsze dzieła marksistowskie (w 1872 r. ukazał się w Petersburgu rosyjski przekład pierwszego tomu „Kapitału“). W Rosji wzbierała nowa fala ruchu rewolucyjnego, zawiązywały się pierwsze robotnicze organizacje — Południowy Związek Robotników Rosji i Północny Związek Robotników Rosji, nasilała działalność narodowolców. Młodzież studencka przodowała w tych ruchach, z jej szeregów czerpały one propagandzistów, organizatorów, ideologów.

Waryński, uczestnik kół studenckich o socjalistycznym zabarwieniu, wraz z liczną grupą polskiej młodzieży bierze udział w rozruchach studenckich w 1875 r. i zostaje relegowany z uczelni. Skazany wyrokiem administracyjnym na rok zesłania, odbywa je na wsi u rodziców „pod dozorem policji“. Pod jawnym czy tajnym dozorem policji żyła podówczas cała oświecona, cała patriotyczna i postępową Rosja, a obok niej — ogromne obszary ziem nierosyjskich, zagrabione przez carat.

Ten rok samotności i poważnych studiów nad dziełami socjalistycznymi, również nad dostępnymi mu dziełami Marksa i Engelsa, rok krystalizacji charakteru i światopoglądu odegrać musiał wielką rolę w dalszym biegu życia Waryńskiego. Tu, na odludziu ukraińskiej wsi, dojrzewa decyzja wyjazdu do Warszawy i działania w polskim środowisku robotniczym, decyzja przełomowa nie tylko w życiu Ludwika Waryńskiego.

By ją powziąć, trzeba było mieć głębokie i czynne ukochanie kraju i ludu polskiego, ale też świadomość znacznego kapitalistycznego rozwoju Królestwa, ukształtowania się jego klasy robotniczej, powstania wielkoprzemysłowego proletariatu i zadań dziejowych polskiej klasy robotniczej. Prawd tych, tak dziś zrozumiałych, że nieomal oczywistych, wówczas nie rozumiał jeszcze prawie nikt na polskich ziemiach. Zaprzeczano nie tylko

konieczności, ale samej możliwości kapitalistycznego rozwoju. Rząd carski, podobnie jak rosyjskie klasy posiadające, uważał tereny imperium carskiego za immunizowane przez niezmienny jakoby układ wiejskiego życia od wszelkich „nowinek zachodnich“, od „dżumy nauk socjalnych“. Tak zwane sfery oświecone naszej młodej burżuazji, śledząc z żywą sympatią nawet dzieje paryskiej Komuny, były pewne, że jej zarzewie nie dotrze, nie może dotrzeć do Polski.³⁾ Ogromnych zmian zachodzących na wsi — procesu rozwarstwiania się chłopstwa, początków drugiej wojny klasowej, zasięgu proletaryzacji — nie umiano, nie chciano dostrzegać, póki masy nie zmusiły do tego obszarnictwa. Ale jeszcze na przełomie ósmego i dziewiątego dziesięciolecia ubiegłego wieku, gdy rodził się już „Proletariat“ i gdy — czego wciąż jeszcze nie widzimy dość jasno — czerwony kur krążyć poczynął nad dworami i nad zabudowaniami pojawiającego się już kulaka, a całe gromady wiejskie trwały w masowych, sądowych i pozasądowych zatargach o serwityty pastwiskowe i leśne, w walce o ziemię, o sąd i o szkołę — w takim np. zaciszu kieleckiego zaścianka znaleźć można obronę przeżytków feudalnych, przedstawionych niemal idyllicznie; w noworocznej wierszowanej laurce dla czytelników „Gazeta Kielecka“ radzi: „Ziemiańskie niech... prostaczkom książek ślą krocie“ i ostrzega:

„I niech ustanie gorączka nowa,
Co, śniąc o złocie, zwątpić gotowa
O pracy rolnej pożytku...“⁴⁾

Nielatwo było dostrzec wówczas dojrzewanie obiektywnych przesłanek do pojawienia się ruchu robotniczego. Na 10 guberni Królestwa tylko dwie, piotrkowską i warszawską, cechowały większe skupiska proletariatu wielkoprzemysłowego (w połowie lat siedemdziesiątych); pierwsza liczyła robotników przemysłowych ponad 40 tysięcy, głównie włóknarzy, druga — ponad 20 tysięcy, w tym do 9 tysięcy cukrowników, do 7 tysięcy tkaczy i około 2 tysiące metalowców. Inne gubernie Królestwa, nawet tereny Staropolskiego Zagłębia, miały znikomy odsetek proletariuszy przemysłowych; tak np. gubernia kielecka — około 3 tysiące, gubernia radomska — do 4 tysięcy. Nad całym obszarami ciążył zresztą kolos ordynacji Zamojskich (gubernia lubelska), ogarniający prawie trzy powiaty, prawdziwy rezerwat feudalizmu, z własną rozbudowaną administracją, z całym systemem dzierżaw i poddzierżaw, obsiadły przez całe klany i rodziny, oparty na gospodarce niemal naturalnej, płacący w morgach i prętach ordynackiej ziemi, w drzewie budulcowym i na opał itp. nawet najemnych robotników swoich licznych tartaków i młynów, gontarni i smolarni, gorzelni i olejarni.

Jak ordynacja Zamojskich na południowym wschodzie, tak na całym wschodzie Królestwa rozsiane były polistopadowe i postyczniowe generalskie i dygnitarские latyfundiálne darowizny carskie, równie gorliwie konserwujące przeżytki feudalne. Na zachodnich i południowo-zachodnich ziemiach Królestwa rozsiadły się nie mniejsze i równie feudalnie obciążone dobra magnackie księcia Hugona Hohenlohe, hrabiego Hugona von

³⁾ W takiej chociażby „Lodzer Zeitung“, organie niemieckiej i młodej liberalizującej polskiej burżuazji łódzkiej, znaleźć można w nr 39 z 25.VI.1872 duży artykuł: „Leidensgeschichte eines Kommunisten“, opowieść ex-komunarda, przedruk z londyńskiego „Timesa“.

⁴⁾ „Gazeta Kielecka“, R. XII, N. I, 1880/1881 r., wiersz Józefa G.: „1881“,

Donnersmarka, spadkobierców von Kramsta itd. A poza tym pogranicznym pasem, obejmującym w feudalne obcegi ziemie Królestwa, na terenie wszystkich jego guberni, nie wyłączając piotrkowskiej i warszawskiej, jak okopy pańszczyźnianej przeszłości rozsiane były liczne majątki obszarnicze i dobra rodowe polskiej arystokracji.

Zbyt często ekonomiści i historycy, zapatrzeni w dwie uprzemysłowione gubernie Królestwa, zapominali, jaki był ciężar gatunkowy przeżytków feudalnych, pielęgnowanych przez obszarnictwo i kler, przez mieszczaństwo cechowe i małomiasteczkowe, przez rząd zaborczy i jego agendy na całej reszcie obszaru Królestwa.

Ogółem na ponad 8 milionów ludności Królestwo miało 65—70 tysięcy proletariuszy wielkoprzemysłowych, więc mniej niż 1%. Dostrzec i docenić tę grupę proletariacką jeszcze nie zorganizowaną, walczącą jeszcze ślepo i w rozpyskę, uczącą się dopiero gdzieś gdzieś stosowania „zmów“, „bezroboci“, strajków, związaną jeszcze tysiącem nici z wsią, z chłopskim bytem i chłopską psychiką — mogło jedynie oko nie tylko bystre i odważne, ale świadomie szukające nowego, uzbrojone w teorię, w znajomość tendencji rozwojowych kapitalizmu i zadań dziejowych proletariatu.

Trzeba sobie te fakty uprzytomnić, by uzmysłwić sobie wagę decyzji 19-letniego podówczas młodzieńca, by poczuć w tym planie życiowym nieugiętą wolę, rewolucyjny zapał, jasność myśli i pionierską odwagę. Tak zaczął się orli lot tego życia, poczętego w szlacheckim dworku na ukraińskiej ziemi, biorącego zapłon ze studenckiego radykalizmu, z rewolucyjnego narodnickiego podziemia Rosji, z polskiej tradycji powstańczej, z głębokich i twórczych studiów nad teorią socjalistyczną.

Odkąd Waryński jesienią 1876 r. przybywa do Warszawy, odkąd staje przy fabrycznym warsztacie jako ślusarz u Lilpopa i Raua, w samym gąszczu stołecznego proletariatu, i rozpoczyna swoją rewolucyjną siejbę, życie jego, walka i praca toczą się już nieprzerwanie, zawsze w pierwszym szeregu, zawsze w czołówce, często na jej czele. Przez lat siedem trwało to bohaterskie działanie. Pozornie krótko, w rzeczywistości — biorąc miarę ówczesną, gdy żandarmskie łapy wybierały jedno za drugim pokolenia rewolucjonistów po roku, najdalej po dwu latach konspiracji — nad podziw długo. By utrzymać się przez siedem lat w ruchu i na jego czele, trzeba było łączyć cechy wytrawnego konspiratora z brawurową wprost odwagą, z głęboką znajomością wroga, z bezwzględną pewnością własnej postawy, a co najważniejsze — z istotną więzią z robotniczym ogółem. Trzeba było być tak poważanym i chronionym, tak kochanym przez robotników, przez studentów, przez prostych ludzi, jak był Ludwik Waryński na polskiej ziemi.

Nie trzeba tu szerzej przypominać dobrze znanej rewolucyjnej działalności Waryńskiego w Warszawie — założenia pierwszych kółek socjalistycznych, zainicjowania i zorganizowania w 1877/78 r. Kas Oporu, pierwszych kas strajkowych, a w gronie ich kilkuset członków — bardziej jeszcze zakonspirowanych kół rewolucyjnych — załazków zawodowej i politycznej organizacji proletariatu.

Waryński osobiście przemycą do Królestwa pierwszy transport drukowanych w Lipsku siedmiu polskich broszur socjalistycznych, oryginalnych i tłumaczonych, m. in. W. Liebknechta, Lafargue'a, Lassalle'a, Schramm'a. Waryński jest współautorem programu brukselskiego z 1878 r.

Podczas krótkiego pobytu w Instytucie Rolnym w Puławach skupił w nielegalnym kółku socjalistycznym tamtejszą młodzież radykalną i nawiązywał pierwsze kontakty z okolicznymi wsiami.

O konspiracyjnym mieszkaniu Waryńskiego na Marszałkowskiej 27, gdzie jako Jan Buch założył wspólnie z braćmi Kobylańskimi dla zmylenia żandarmów warsztat ślusarski i skąd udało mu się uciec unikając żandarmskiej zasadzki, o przygodzie w Ogrodzie Saskim, skąd ściganego przez policję i szpicli rewolucjonistę wyprowadziła pod ramię nieznajoma elegancka dama; o nieprzerwanej gorączkowej pracy agitatora, o upartym trwaniu w osaczonym przez szpicli mieście; o liście, wysłanym z drogi do Galicji do ówczesnego wiceprokuratora Warszawskiego Sądu Okręgowego von Plewego, późniejszego osławionego ministra carskiego, o liście, w którym Waryński demaskował swój pseudonim i zapowiadał powrót do Warszawy i do rewolucyjnej działalności — krążyły i wówczas, i później całe legendy.

Już wtedy uznawano przywódcę w tym wysmukłym 22-letnim młodzieńcu o krótkowzrocznych, łagodnych, błękitnych oczach i jasnej czuprynie, zawsze pogodnym, pełnym humoru i energii. Kochano go za prostotę i serdeczność, za dar wymowy, za wyjątkową zdolność zjednywania sobie ludzi.

Prawie dwa lata trwająca działalność Waryńskiego w Galicji — we Lwowie, gdzie przeciwstawił się skutecznie wpływowi Bolesława Limanowskiego, i w Krakowie, gdzie jego propaganda zapoczątkowała ruch robotniczy i gdzie zasiadł wkrótce z ponad 30 towarzyszami na ławie oskarżonych, wzbogaciła rewolucyjne doświadczenia Waryńskiego i jego znajomość ziemi i stosunków ojczyznych.

Wreszcie — emigracja szwajcarska po uniewinniającym wyroku krakowskim, rok życia w Genewie, rok pracy w redakcji „Równości”, rok działania w wielonarodowym środowisku emigracji socjalistycznej w Szwajcarii. Rok znów doniosły dla dalszego ideologicznego dojrzewania Waryńskiego. W ciągu tego roku — znamienne wystąpienie na obchodzie 50-lecia powstania listopadowego, gdzie sławił „krew męczenników zaschlą na starych sztandarach powstańczych”, wskazując drogę rewolucyjnego braterstwa z Rosjanami i zapowiadając z orlą dalekowzrocznością: „Rosja kolosem reakcji być przestanie, bo w łonie swoim nosi rewolucję”; startcie się z Bolesławem Limanowskim na międzynarodowym kongresie w Chur 2.X.1881 r., na którym reprezentowane były partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne Niemiec, Szwajcarii, Belgii, Francji, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Portugalii, Argentyny, Danii, Włoch, Węgier i Polski, a na który Waryński otrzymał mandat od „kilku grup polskich robotników z Poznania”. W Genewie zacieśniły się więzy przyjaźni między Waryńskim a emigracją rosyjską — Plechanowem, Dejczem, Zasulicz. Dejcz tak charakteryzował 24-letniego Waryńskiego:

„...najlepszy mówca, doskonały organizator i działacz. Posiadał on niewątpliwie ogromny dar pociągania mas, co wówczas rzadko cechowało socjalistów. Nawet na zebraniach ogólnorosyjskich, na których często przemawiał, wywierał silne wrażenie... Z każdego jego słowa, popieranego energicznym gestem, biła szczerłość i wiara.”

Do Genewy przyjeżdża żona Waryńskiego, Anna z Sieroszewskich, sio-

stra Adama, proletariaczka, czeladnika ciesielskiego. Tu, w Genewie, przychodzi też na świat jedyny syn Waryńskiego, Tadeusz.⁵⁾

Rewolucjonisty nie zdołały zatrzymać ani rodzina, ani względnie bezpieczne szwajcarskie życie, ani bogate ideologicznie środowisko genewskiej emigracji. Ostra, coraz większa tęsknota za krajem, za warszawskimi robotnicami, za propagandą i walką ogarnęła Waryńskiego. Dojrzewał w nim przekonanie, że polska klasa robotnicza dorosła już do własnej partii. Rwie się do kraju, do Warszawy.

Późną jesienią 1881 r. Ludwik Waryński wyjeżdża z Genewy do kraju, by założyć w Warszawie pierwszą polityczną partię polskiej klasy robotniczej.

Oto druga decyzja życiowa, drugi trudny do przecenienia osobisty wkład Ludwika Waryńskiego.

Waryński znał warunki życia mas we wszystkich trzech zaborach — w Królestwie i Galicji z własnego doświadczenia, w Poznańskim i na Śląsku z dokładnych relacji. Waryński ocenił słusznie, że jedynie Królestwo dojrzało do utworzenia partii naprawdę rewolucyjnej i że jedynie w Królestwie, w Warszawie, należy ją powołać do życia. Tu bowiem wystąpiły najostrzej antagonizmy kapitalistycznego już społeczeństwa, tu postąpił najbardziej w głąb proces kapitalistycznych przemian i miasta, i wsi, tu trwały nie przedawnione tradycje walk powstańczych i w proletariackim środowisku, tu, wreszcie, własne polskie rewolucyjne ogniska podsyca i zasila coraz potężniejsza, coraz bliższa wyzwalającego wybuchu kuźnica rosyjskiej rewolucji. Potrzeba organizacji dojrzywała w masach. Próby jej utworzenia podejmowali socjalistyczni emisariusze polskich gmin studenckich w Rosji. Niemniej jednak niewielu rozumiało przełomową rewolucyjną doniosłość sprawy, którą podejmował Waryński.

I znów pamiętać należy, że decyzję tę powziął i do jej realizacji z nieulekłą konsekwencją przystępował człowiek zaledwie 26-letni, od Warszawy i Królestwa przez trzy z górą lata oderwany. W tej drugiej życiowej decyzji Waryńskiego tkwi ta sama pionierska ofiarna odwaga, ten sam lwi pazur wielkości, jakie cechowały rewolucyjną decyzję młodzieńczą sprzed sześciu laty.

I oto na jesieni 1882 r. zaczyna się ostatni etap rewolucyjnej aktywności Waryńskiego, etap budowania partii „Proletariat“, kierowania w gronie Komitetu Centralnego jego walką, etap przodowania w latach śledztwa i procesu, aż do wtrącenia Waryńskiego do kamiennego grobu Szlisselburga. W skali rewolucyjnego działania — to najważniejszy, kulminacyjny okres w życiu Waryńskiego, zostawił on też najgłębszy ślad w dziejach ruchu.

Nie trzeba tu szerzej przypominać pracy i walki Ludwika Waryńskiego w szeregach „Proletariatu“ — jest on współautorem odezwy programowej, współorganizatorem Komitetów Centralnego i Robotniczego i sieci agentów partii I i II stopnia, jest współautorem i redaktorem trzech pierwszych numerów pisma „Proletariat“.

⁵⁾ Sprowadzony do kraju w latach dwudziestych bieżącego stulecia, zmarł śmiercią samobójczą w kilka lat po przewrocie faszystowskim 1923 r. Żyje natomiast i przebywa w Genewie syn Tadeusza, a wnuk Ludwika, również Tadeusz, dziś liczący ponad pięćdziesiątkę. I on i jego rodzina — żona Francuska, która opanowała język polski, oraz dwie dorosłe córki — otaczają pietyzmem pamięć swego wielkiego dziada.

To Waryński nie zawahał się wydać bitwę caratowi, gdy warszawski oberpolicmajster Buturlin zarządził sanitarną rewizję kobiet-robotniczek na równi z zawodowymi prostytutkami. To krótka bojowa odezwa jego pióra zmobilizowała proletariacką Warszawę i przeraziła tchórzliwe władze carskie. Waryński nie mógł wiedzieć, jak pełne i daleko sięgające było zwycięstwo partii. Mówią o tym akta archiwalne — pełniący obowiązki warszawskiego generalnego gubernatora baron Kridener i naczelnik żandarmerii warszawskiej, generał Czerkasow, alarmują Petersburg: Warszawa pokryta jest odezwami „Proletariatu“, po fabrykach wre. I oto minister spraw wewnętrznych i szef żandarmerii hr. D. Tołstoj, poleca 8.III.1883 r. (odezwa buturlinowska wydana została 13 lutego) odwołać zarządzenie Buturlina, gdyż wywołało ono... nie tylko ferment w robotniczym środowisku i nieprzychylnie dla Rządu pogłoski, ale ponadto stało się powodem pojawienia się oburzających „cdezów“⁶⁾. Tak celnie ugodziła carat akcja „Proletariatu“, tak pełne było w tej sprawie zwycięstwo partii i samego Waryńskiego.

Niezamordowany agitator uczęszcza na zbiórki, jeździ po kraju, przemawia, wiąże i skupia, przekonuje i porywa. Przy udziale Puchewicza i Płoskiego, Janowicza i Rechniewskiego, Dulęby i Szmausa, Kona i Gostkiewicza, pod kierownictwem Waryńskiego, Warszawa wyrasta na kierowniczy ośrodek ruchu zataczającego coraz szersze kręgi, obejmującego Żyrardów, Łódź, Zgierz, Tomaszów, Białystok, Radom, Piotrków, Częstochowę,⁷⁾ cały obszar przemysłowy Królestwa, a ponadto Kraków, a nawet, dla kontaktów technicznych Wrocław, Poznań i Gdańsk, ruchu sięgającego coraz głębiej w masy — na wieś podwarszawską i łódzką, do robotników rolnych, do chłopów, do rzemieślników, do młodzieży robotniczej, do kobiet, do patriotycznej inteligencji, do Rosjan — sympatyków i członków „Narodnej Woli“ zamieszkałych w Warszawie, jak sędzia Bardowski, jak sędzia Dobrowolski, jak kapitan Lury.

Bezpośrednio z posterunku, 28 września 1883 r. Waryńskiego wyrывa z szeregów partyjnych ręka wroga. Ratując przedstawicielkę Czerwonego Krzyża „Narodnej Woli“ na Warszawę, zamieszkałą u Bardowskiego, Barbarę Szczulepnikową, Waryński nie zdołał ująć pościgu. Przy zatrzymanym znaleziono m. in. 40 egzemplarzy odbitej właśnie w drukarni partyjnej „Warszawianki“, wydawnictwa „Narodnej Woli“, „kopertę z wycinkami i notatkami z gazet o wypadkach śmierci lub okaleczenia robotników przy pracy“, korespondencję z Wilna i z Białegostoku do pisma „Proletariat“, korektę odezwy do robotników Łodzi i okolic.⁸⁾

Akta sprawy „Proletariatu“ zachowały nam postać Waryńskiego taką, jaką widziała go robotnicza Warszawa. Wypowiedzi robotników-proletariatczyków są zgodne co do jednego: Waryński był duszą i mózgiem ruchu. Waryński był bliski masom, budził ich zaufanie, uznany był za swojego.

Jan Słowiński, 32-letni ślusarz warsztatów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, uważał, że „przed przybyciem Waryńskiego do Warszawy istniała

⁶⁾ Centralne Państwowe Archiwum Historyczne w Moskwie, zespół departamentu policji, wyd. 3, N 118/1883 r.

⁷⁾ A najpewniej również — Lublin, Włocławek, Ozorków, Pabianice, Łowicz, Zawiercie

⁸⁾ Akta sprawy „Proletariatu“, Archiwum Instytutu Marksa-Lenina w Moskwie, fotokopie — Wydział Historii Partii KC PZPR,

tu najpewniej propaganda, ale całkiem nikła. Z przybyciem Waryńskiego urosła ona do olbrzymich rozmiarów. To on zawrócił ruch natychmiast i ostro i zorganizował partię „Proletariat“... Waryński był głową socjalno-rewolucyjnego ruchu nie tylko w Warszawie, ale w całym tutejszym kraju... Waryński mówił Śliwińskiemu „że go zapraszają do Rosji“, ale on „pragnie działać w Polsce“.

Karol Siedlecki, 30-letni stolarz, sądzony wraz z żoną Julią już w 1880 r. za udział w warszawskich kółkach socjalistycznych, stwierdził: „O ile wiem, grał on (Waryński) rolę główną w propagandzie socjalno-rewolucyjnej w kraju tutejszym, podobnie jak Poznański⁹⁾ w 1880 r. Ale jest między nimi i różnica. Poznański wydawał się bardziej delikatny, wyglądał bardziej na pana, nie do twarzy mu było zadawać się z robociarzami. Waryński, jak powiadają robotnicy, przeciwnie: sam był robotnikiem, dając tym swoją osobą przykład samozaparcia. Dlatego też, jakim słyszał, budził w robotnikach więcej zaufania. Nic się bez niego nie działo. Kierował on ruchem, a ludzie bliscy mu — też inteligenci — pomagali mu tylko dzieląc z nim trud“.

Leonard Gzowski, 50-letni stolarz, opowiadał: „Na następną zbiórkę przyszedł rzeczywiście Waryński, uklonił się nam wszystkim, usiadł i zaczął nam mówić o pracy. Mówił, że cisną nas fabrykanci, że położenie nasze jest ciężkie, że zarobki nijakie i że stan ten wymaga zmiany. W tym celu zaś trzeba się nam zjednoczyć i zająć przede wszystkim czytaniem broszur, których oni nam dostarczają. Poczęstowałbym was wódką, powiedział, ale dużo pić nie należy, bo jeszcze wyda który drugiego. Potem posłał po wódkę i poczęstował nas“.

Franciszek Szymański, 34-letni kowal od Ortweina, był na zbiórce w restauracji „Herkulaneum“, gdzie zastał m. in. Waryńskiego, Dulębę, Aleksandrę Jentys. „Osoby te siedziały przy stole i piły piwo, a Waryński pił zdrowie robotników i mówił, że powinni się mocno trzymać za ręce, a wtedy osiągną wszystko“. Tu też Waryński „radził zamiast Pan i Pani mówić Kolega, za Pan 10 kop. kary“.

Kowal od Ortweina Jan Skórkowski pamięta, że Waryński ostrzegał przed fabrykantami i rządem, mówiąc „sami o siebie zadbać musimy“.

Cieśla Podbielski słyszał, jak „Długi“ — tak robotnicy nazywali Waryńskiego — „nauczał, że ziemia, fabryki i narzędzia należeć winny nie do poszczególnych osób, a do ogółu robotniczego“.

Dulębę Waryński wciąż molestował, by mu sprowadzał „mądrych ludzi spośród robotników“.

Waryński obcuje z robotnikami jak równy z równymi, odwiedza ich, zna ich troski i pragnienia. Raz jeden widzieli go robotnicy zdenerwowanego, zagniewanego. Było to jesienią 1883 r. na krótko przed jego aresztem, gdy secesja Puchewicza groziła partii rozbiciem. Wołał wówczas do robotników „10 lat jestem w tej robocie i nigdy wam nie kłamałem, a Puchewicz oszukuje was!“

Oddanie Waryńskiego, jego entuzjazm promieniowały na otoczenie. Aktywni robotnicy, skupiony wokół Komitetu Centralnego partii „Proletariat“, służy sprawie z takim samym jak Waryński samozaparciem i żarliwością. Zagrożony aresztem cieśla Podbielski oświadcza: „Wszystko mu

⁹⁾ Zygmunt, jeden z inteligentów, organizatorów kółek, sądzony administracyjnie w sprawie 138 w 1881 r.

jedno, niech z nim robią co chcą, a on swoje zrobić musi". Kowal Józef Grabowski poucza towarzysza: „Wszystko jedno, kolego kochany, wytrwałość i subordynacja — to najpierwsze nasze prawo. Mówilem Ci przecież: niech grom grzmi, błyskawica błyska, deszcz ulewny siecze, grad czy śnieg — nam to bez różnicy, my pójdziemy, dokąd nakazą". Taka była wiara w partię, taki zapał i oddanie w tym pierwszym, wychowanym przez Waryńskiego, partyjnym zastępie warszawskiego proletariatu.

* *

Od września 1883 r. do wiosny 1886 r. (7.V.1886 r. władze X Pawilonu przekazały — na żądanie departamentu policji — Waryńskiego żandarmom, w celu przewiezienia do Szlisselburga) trwa ostatni okres jego rewolucyjnego działania w więzieniu, na śledztwie, na samej rozprawie sądowej, po wyroku wśród towarzyszy-skazańców. Nic chyba lepiej nie oddaje hartu ducha i niezłomnego rewolucyjnego optymizmu tego człowieka, jak znane i drogie nam wszystkim zwrotki jego „Mazura Kajdaniarskiego"; nic nie wyraża pełniej pogardy dla wroga, potępienia dla jego barbarzyńskiego sądu i wiary w masy, jak pisany przez Waryńskiego głośny list proletariackich-katorżan po kaźni Bardowskiego, Kunickiego, Ossowskiego i Pietrusińskiego.

Zamknięty w Szlisselburgu Waryński gasł długo i męcząco — zupełna samotność, odcięcie od walki i świata, nieznośne cierpienia fizyczne, siły ogromne trwonione w tym lochu, myśli, których nie można już przekazać towarzyszom.

12 lutego 1889 r. przyszła śmierć.

* *

Wychowany na wsi ukraińskiej, dojrzewający w petersburskiej uczelni wśród rosyjskich rewolucjonistów, Waryński — internacjonalista i patriota — świadomie wrócił do kraju, aby tu właśnie działać. Pelen pietyzmu dla tradycji powstańczych, Waryński włączył się w szeregi nowej, młodej, słabej jeszcze i nielicznej klasy proletariatu, bo zrozumiał, że do niej należy i od niej zależy przyszłość kraju i narodu. Kształcony na praktyce narodowców, Waryński odrzucił ich samotne bohaterstwo, odsunął terror jako jedyną i główną metodę walki, nie oczekiwał z dnia na dzień rewolucji. Podjął walkę o pozyskanie mas robotniczych dla idei socjalizmu naukowego, na plan pierwszy wysunął propagandę i organizację, zdawał sobie sprawę i uczył partię, że chwila zwycięskiej rewolucji socjalnej jest jeszcze daleka, że „Proletariat" przygotowuje do niej jedynie.

Gdy się pisze o Waryńskim, używa się nieprzypadkowo raz po raz wyrazu: pierwszy. Pionierskość działania, samodzielność i twórczość myślenia, niecodzienna zgodność myśli z czynem, światopoglądu z życiem, moralność rewolucyjna najwyższej próby — oto co cechuje postać Ludwika Waryńskiego. Jako działacz miał w sobie ten śmiałość początkowo coś z emisarjusza rewolucyjno-demokratycznego lat czterdziestych. Doświadczenia walki, praca nad sobą, więź z klasą robotniczą, z życiem polskich mas ludowych, związki z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, z międzynarodowym ruchem robotniczym sprawiły, że Waryński wyrasta na działacza nowego typu, na jednego z pierwszych i jednego z najwybitniejszych polskich proletariackich rewolucjonistów.



Z publicystyki Waryńskiego

W setną rocznicę urodzin Ludwika Waryńskiego chcemy zwrócić uwagę na jedną z dziedzin jego działalności rewolucyjnej, mniej znaną nawet ludziom, zajmującym się na codzień dziejami polskiego ruchu robotniczego. Rzadko podkreśla się fakt, że Waryński, wielki organizator i propagandzista, płomienny, porywający mówca, zaznaczył również swą działalność jako publicysta i a łamach stworzonych przy jego współudziale pierwszych czasopism socjalistycznych. Wprowadzić smutniczną publicystyczną Waryńskiego — przynajmniej ta, którą można obecnie zidentyfikować — jest ilościowo skromna, niemniej jednak przedstawia dużą wartość jako najbardziej bezpośrednio utrwalony ślad jego działalności. Szczupłość ilościową znanej nam publicystyki Waryńskiego należy po części przypisać warunkom, w jakich działał. Po-

chłonięty niemal całkowicie bezpośrednią walką w pierwszych szeregach proletariatu, tropiony przez policję, Waryński z trudem tylko mógł znaleźć czas i warunki do pracy pisarskiej. Ponadto zaważyła tu także okoliczność, iż aresztowania Waryńskiego tak w Galicji, jak i w Warszawie, następowały w momencie, gdy otwierały się przed nim możliwości prowadzenia systematycznej propagandy socjalizmu za pośrednictwem publicystyki.

Należy również zaznaczyć, że część — i to niewątpliwie pokaźna część — spuścizny pisarskiej Waryńskiego nie została dotychczas zidentyfikowana ze względu na jej anonimowy charakter, zrozumiały w warunkach pracy nielegalnej. Dokładniejsze badania bibliograficzne, gdyby zostały podjęte, zapewne ustaliłyby autorstwo Ludwika Waryńskiego w stosunku do niejednego artykułu zawartego w odpowiednich rocznikach „Pracy”, „Równości”, „Przedświtu” oraz w numerach „Proletariatu”.

Jak cenne byłyby te badania dla poznania bohaterskiej postaci Waryńskiego, jego stosunku i wkładu do polskiego ruchu robotniczego, niech świadczą dwa zamieszczone tu przedruki jego artykułów. Pierwszy z nich — to artykuł o Filipinie Płaskowickiej. Niezależnie od wartości czysto historycznej, jaką ten artykuł posiada, jest on niewątpliwie ważnym przyczynkiem do charakterystyki samego Waryńskiego jako człowieka, charakterystyki jego stosunku do bliskich mu współtowarzyszy pracy i walki, do których należała również Filipina Płaskowicka.

Przedruk tego artykułu, stanowiącego cenny dokument do poznania historii początków polskiego ruchu socjalistycznego, uważaliśmy za wskazany i z tego względu, że rocznik „Przedświt” z 1881 r., w którym artykuł ten był zamieszczony, należy obecnie do rzadkości, trudno dostępnych nawet dla pracowników naukowych. Autorstwo artykułu ustalono na podstawie stwierdzenia redaktora „Przedświtu”, Stanisława Mendelsońa („Przedświt” Nr 19 z 1891 r. str. 4).

Autorstwo artykułu „My i burżuazja”, zamieszczonego w n-rze 3 z 1883 r. czasopisma „Proletariat” (krajowego organu „Wielkiego Proletariatu”), ustalono przed 1935 r. na podstawie relacji żyjących jeszcze wówczas wybitniejszych działaczy partii „Proletariat”¹⁾. Artykuł ten zamieszczony na łamach „Proletariatu” wkrótce po aresztowaniu Waryńskiego w dniu 28 września 1883 r., zasługuje na wznowienie choćby z tego powodu, że aczkolwiek przedrukowywany był w całości lub częściowo w zbiorach dokumentów poświęconych partii „Proletariat”, to jednak figuruje on w tych publikacjach jako anonimowy.²⁾ Artykuł posiada niewątpliwie duże znaczenie dla ustalenia oblicza ideowego partii „Proletariat” oraz jej wielkiego przywódcy. We wspomnianym artykule Waryński poruszył szereg kapitalnych problemów, które jeszcze przez dziesiątki lat będą przedmiotem ostrej dyskusji i walki ideologicznej w ruchu robotniczym, jak: znaczenie działalności i roli partii proletariackiej dla wzrostu świadomości klasowej proletariatu i przyspieszenia rewolucji proletariackiej, stosunek partii proletariackiej do parlamentu burżuazyjnego, problem dyktatury proletariatu po zwycięstwie rewolucji itp. Choć w artykule nie trudno doszukać się akcentów charakterystycznych dla tego zarodkowego okresu ruchu robotniczego w Polsce, to jednak zadziwia w nim fakt, że Waryński już wówczas dostrzegł i stawiał przed partią tak węzłowe, tak podstawowe dla ideologii ruchu robotniczego zagadnienia.

Teksty artykułów uzupełniono przypisami redakcji. Pisownię i interpunkcję zmodernizowano zastępując zwłascza w artykule o Filipinie Płaskowickiej używane bez uzasadnionej potrzeby liczne wielokropki stosownymi znakami przestankowymi.

Henryk J. Mościcki

1) Por. Ż. Kormanowa — „Materiały do bibliografii druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866 — 1918”. Warszawa, 1935 r. str. 52 oraz „Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce” nr 2 z 1936 r. str. 95 (art. — Ż. Korman: „Proletariat”).

2) H. Bicz — Proletariat, pierwsza socjalno-rewolucyjna partia w Polsce, Moskwa 1934 r., oraz T. Daniszewski — „Wielki Proletariat”, Warszawa 1950 r.

Filipina Płaskowicka*)

(Życiorys)



Szczęśliwym nazywają tego, komu gwiazda sławy świeci za życia. Po śmierci pewnym być on może, że wielkość jego spotęguje się jeszcze, a najdrobniejsze z życia jego szczegóły, od pierwszego uśmiechu w kolebce do ostatnich słów przy konaniu, wielkimi, niezwykłymi wydawać się będą, w promieniach gwiazdy jego sławy.

A na to, aby być sławnym, nie zawsze potrzeba zasług! Bardzo często dosyć być znanym. Występek i prawdziwa zasługa, geniusz i głupota, nauka i bogactwo — wszystko wstawić może... Rzadko tylko sławę daje cicha praca u podstaw, a nigdy prawie sławnym nie uczyni praca wśród ludu i dla ludu. Historia wspomni, być może, o pracowniku cichym, ale współcześni często nawet nic o nim nie wiedzą.

Filipinie gwiazda sławy nie świeciła. Otacza ją tylko aureola męczeństwa za sprawę ludu, której ona całe swe poświęciła życie. Dla wszystkich, którzy by ją znali, wystarczyłaby tylko krótka wiadomość o jej śmierci, aby uczuć, ocenić wielkość straty. Gdyby nam wolno było, chętnie zachowalibyśmy wszystkie wspomnienia o zmarłej. Nie idzie nam bowiem o przechowanie jej w pamięci, jak jej w życiu nie szło o to. Wspomnienie jednak o niej może posłużyć jako bodziec mniej silnym, jako wskazówka dla upadających na duchu, tak jak za życia jej praca zaczęta była dla nas, którzyśmy sprawie ludu swe siły oddali.

Musimy zastrzec się jednak, że zupełnie otwartymi być nie możemy. Szanując wolę zmarłej, która nigdy opowiadać nie lubiła szczegółów niektórych swego życia, wspomnienie o niej — aż do chwili wystąpienia jej na polu działalności rewolucyjnej — pozbieżnie tylko podać możemy. Z drugiej znowu strony i opowiadanie o jej pracy rewolucyjnej obszernym być nie może, każdy pojmie, dlaczego na teraz o wielu szczegółach zamilczeć wypada...

Filipina była córką oficyalistów.¹⁾ Od kolebki prawie znosić musiała dolegliwości, które przypadają w udziale wydziedziczonym tego świata. Rodzice jej niezamożni, nie mogli utrzymać licznej rodziny i musieli dzieci oddawać krewnym na wychowanie. W ten sposób dzieciństwo Filipiny przeszło w podwójnym tulactwie. Raz trzeba było z rodzicami od miejsca przechodzić do miejsca, drugi raz od rodziców do krewnych, a od nich znowu do swoich powracać. W takich warunkach o systematyczności wychowania, o kształceniu się i mowy być nie mogło. Pozostawiona prawie zupełnie, Filipina sama rozwijała w sobie to, co w późniejszym życiu, wzbogaciwszy swoje doświadczenie znajomością pedagogiki, umiała z takim artyzmem rozwijać w dzieciach: siłę i prawość charakteru, zamiłowanie do pracy, wrażliwość na wszystko, co wzniosłe i szlachetne. Gdyby nam wolno było szczegółowe przytaczać fakta, moglibyśmy wykazać, jak wrodzona inteligencja, zdolność zastanawiania się i żywość charakteru zastąpiły Filipinie w dzieciństwie konieczne kierownictwo i opiekę. Rozwijała się ona zbyt szybko, aby ulec wpływowi rówieśników; musiała więc sobie świat własny myśli i potrzeb stwo-

*) O śmierci F. P. donieśliśmy w nr 3—4 „Równości“ w br. („Przedświtu“).

rzyć. Wcześniej rozbudzona ciekawość i potrzeba jej zaspokojenia kazały Filipinie szukać towarzystwa starszych ludzi, którzy mogliby dać jej odpowiedź na tysiące pytań, jakie nasuwały jej spostrzeżenia czynione nad tym, co ją otaczało.

Nie tylko przyrodnicze zjawiska ją interesowały, owszem większość zagadnień, które się jej młodej głowie nasuwały, były psychicznej natury: zależne stanowisko bliskich jej ludzi, wzajemny stosunek ludzi do siebie, ich wady i przymioty zastanawiały ją i zaciekawiały. Dziecko czuło cierpienia innych, pojmowało wyrządzone innym krzywdy, rozumiało i brzydziło się kłamstwem, pogardało upodleniem i pochlebstwem. Nie znosząc bogatych, od których wiele uciepnieć musiało, szukało ono przyjaciół pomiędzy najbiedniejszymi, pomiędzy służbą i robotnikami. Najprzyjemniejsze wspomnienia z lat dzieciennych zachowała Filipina o tych przyjaciółach, z rozrzuconiem wspominała nieraz o ich dobroci i uczciwości. Rodzice i krewni zbyt byli zajęci pracą, by móc żywemu dziecku towarzyszyć w pochodzie myśli i spostrzeżeń. Przyjaciele zaś pomiędzy biedaków nie mogli dać jej odpowiedzi na tysiące pytań, których sami nie pojmowali. Filipina musiała zadowalniać się swoimi własnymi objaśnieniami. W tym czasie wyrabiło się w niej przekonanie, że książki to jedyna droga do rozwiązania wszystkich pytań, że są one zasłoną, poza którą się kryje świat cały nie znany jej jeszcze. Nie nagięta sama poczęła domagać się nauki. W krótkim też czasie, korzystając z pomocy znajomych, nauczyła się Filipina czytać i z całą siłą rozbudzonej ciekawości wzięła się do książek. Bez wyboru — bo wybrać nie umiała i nie mogła — czytała wszystko, co jej do rąk wpadło.

Tak trwała do tej chwili, kiedy polepszone stosunki majątkowe rodziców, pozwoliły im zająć się wykształceniem Filipiny.

Wstąpiła do gimnazjum i doszła do piątej klasy; dalej postąpić nie mogła; trzeba było myśleć o zarobieniu na życie.

Do wyboru miała pedagogię i rzemiosło — wybrała pierwszą. W szkołach już widziała ona, co za znaczenie ma wychowanie dzieci. Widziała, jak bezpodstawnym i złym był system wychowania praktykowany wszędzie, wiedziała, że nie każdy może się tak wychowywać jak ona. Czuła, że musi być inny, lepszy system kształcenia. Toteż zajmując się nauczycielstwem, Filipina wzięła się do studiowania pedagogii i w krótkim przeciągu czasu poznała wszystko, co nauka ta zdobyła na polu teorii. Materiałowo do nowych studiów dostarczyła jej praktyka. Każde dziecko, które wychowywała, było dla niej nowym studium. Powoli osiągnęła z takiej pracy rezultaty ogromne i wyrobiła się na znakomitego pedagoga, a jak pojmowała ona stanowisko nauczycielki, najlepiej ten fakt powie, że nie będąc jeszcze socjalistką, wszędzie, gdzie była płatną nauczycielką, miała wiele uczniów i uczennic bezpłatnych, wszędzie prawie potrafiła urządzić coś w rodzaju szkoły ludowej⁴⁾.

Łatwo zrozumieć, ile przykrości, niepokoju, oszczerstw, wreszcie prześladowań przesieść musiała Filipina za swój zapal do nauczania i demokratyczne usposobienie przy wyborze uczniów. To właśnie najgłośniej rozwinęło w niej chorobę serca, która po mału podkopywała jej silny z natury organizm, a potem wraz z chorobą płuc o śmierć ją przyprowadziła.

Przekonawszy się, że praca nauczycielki w domach prywatnych zbyt ma ciasny zakres i że rozszerzyć go trudno bez wywołania wyraźnej niechęci i prześladowań ze strony swoich chlebodawców, Filipina postanowiła zostać nauczycielką ludową. W tym też czasie zapoznała się ona z zasadami socjalizmu i stała się gorącym ich obrońcą. Myśl pozostania nauczycielką ludową nowe jeszcze tym sposobem uroki zyskała. Mogła ona na tym polu mieć sposobność działania na szerszą skalę, nie tylko jako pedagog, ale i jako rewolucjonistka. Bezpośredni stosunek z ludem, obcowanie z nim, zapozna-

nie się bliższe, a potem propaganda wśród niego i wreszcie organizacja mas ludowych — oto ogromne cele, jakie postawiła sobie Filipina postanowiwszy przyjąć na siebie trudne obowiązki nauczycielki ludowej.

Ze wszystkich zajęć rewolucyjnych propaganda wśród włościan najmniej zwykle znajduje zwolenników. Wszyscy wolą pozostawać w miastach, tam bowiem robota rewolucyjna nie odrywa ludzi zupełnie od zwykłej życiowej sfery, nie pozbawia możliwości zaspokojenia pewnych umysłowych i materialnych potrzeb — słowem nie wymaga zbyt wielkich ofiar z usposobień i przyzwyczajzeń. Inna rzecz, praca rewolucyjna wśród włościan. Pomijamy już jej doniosłość, a na to tylko zwracamy uwagę, że kto się chce jej poświęcić, czy jako nauczyciel wiejski, czy jako robotnik lub rzemieślnik, zawsze skazuje się dobrowolnie na rodzaj wygnania, na zupełne oderwanie się od sfery, w której wyrósł i w której żyć się nazwyczaj, a nadto musi się przełamać, musi nauczyć się żyć otaczającym go życiem — życiem włościan.

Wybierając pracę wśród włościan Filipina dobrze rozumiała, do jakiej pracy ma się przygotować, wiedziała dobrze, co ją czeka na tej mozolnej drodze... Nie kierowała się ona w tym wyborze jedynie zapałem, zapal w niej nigdy nie był w sprzeczności z rozważą, owszem każdy postępek był raczej rezultatem obojga.

Powziąwszy raz postanowienie pozostać nauczycielką ludową przystąpiła natychmiast do jego urzeczywistnienia. W r. 1876 przybywa ona do Warszawy, zapisuje się jako pretendentka na miejsce nauczycielki ludowej i zdaje egzaminy odpowiednie, dzięki odznaczeniu się w czasie egzaminów otrzymuje natychmiast posadę we wsi Janisławicach pow. skierniewickiego w warszawskiej guberni, gdzie też w sierpniu tegoż roku się udała. Historia objęcia posady i pierwszych kilku miesięcy pracy niezmiernie jest charakterystyczną dla naszych stosunków. Opowiemy je pokrótce cokolwiek później, teraz zaś za stosowne mamy poświęcić słów kilka rozwojowi sprawy socjalistycznej podówczas w Królestwie Polskim. W roku 1876 polski ruch socjalistyczny prawie nie istniał, rozpoczynał się on zaledwie, był to czas jego powstania. Kilka odosobnionych jednostek w Kongresówce, kilkanaście głównych central ruchu rosyjskiego — o to wszystkie siły, jakie socjalizm polski pod moskiewskim zaborem przedstawiać mógł. Ani ścisła organizacja, ani program określony sił tych nie łączył w jedną całość. Szukano dróg i sposobów dla szerszej działalności, o zwiększeniu szczupłego zasobu sił posiadanych, myślano o zbliżeniu się do ludu, o zapoznaniu się z naszym robotnikiem, aby mieć możność słowa nowej ewangelii rzucić w masy. Wierzano, że słuszość sama idzie; zdolna poruszyć lud pracujący, zgrupować go pod sztandarem rewolucji socjalnej i pchnąć go do wywalczenia dla ludzkości całej istotnego szczęścia, do zdobycia usilną pracą i zaciętą walką nowego ustroju, w którym by nie było miejsca dla wyzyskiwanych, nędzy, ciemnoty i upodlenia. Uczucia wyznawców nowej idei w tych pierwszych chwilach ich pracy były tak silne, że nie pozwalały one widzieć wszystkich trudności, jakie się nasuną i jakie zwalczać wypadnie. Myślano, że nieufność ludu, wyrodzona pod wpływem wiekowej niewoli, zniknie natychmiast, skoro się przemówi do niego w imię jego praw, skoro się go wezwie jasno i wyraźnie do walki, do walki z jego wiekowymi ciemniznami. Praktyka niejednemu wskazała następnie, że sąd to był słuszny, ale powiedziała ona także, iż rezultaty pracy nie mogą być tak olbrzymie, jak myślano zrazu, że o poważniejsze rezultaty od razu trudno, że niezupełnie łatwo osiągnąć je można. Nieufność zniknęła tylko przy wytrwałym obcowaniu z robotnikiem, przy gruntownym wzajemnym zapoznaniu się; przekonać się łatwo było, że wieśniak i robotnik prędzej rozumie czysto materialny interes niż ideę samą, że prędzej ze względu na materialną korzyść do akcji występuje niż w imię idei i zasady. Z czasem tylko po odpowiednim rozwinięciu poznawać on zaczyna ogromną moralną ideę socjalistycznej doniosłość i wielkość w historycznej klasie pracujących roli. Zresztą tak wszę-

dzie. Rozwój socjalny wszędzie jakby w nagrodę za wielką niewolę i niedolę mas połączył nierozdzielnie z ich interesem materialnym największą historyczną ideę i tym samym wystąpieniu mas pracujących w imię swego klasowego interesu najpiękniejszą dziejów kartę przeznaczył.

Wskazówek tych późniejszej praktyki w pierwszych chwilach nie miano; apostołowie nowej prawdy, kochając ją prawdziwie, chcieli do mas w imię miłości prawdy, w imię oddania się idei słusznej przemawiać, nie myśleli oni jeszcze wówczas o zdradzie, o obojętności, o niezrozumieniu przez lud nowej ewangelii jego własnego wyjarzmienia i uszczęśliwienia.

Filipina w tym gronie pierwszych pracowników sprawy wyzwolenia powszechnego będąc może najżywszego charakteru, będąc najwięcej zapalną, najbezgraniczniej idei oddaną, najmniej idealnie na oczekiwane rezultaty z rozpoczętej pracy patrzeć umiała, najmniej ze wszystkich może przeceniała ona siły, z jakimi do walki wystąpiono.

Upřednio praktyka nauczycielska dała Filipinie możność poznać dosyć dokładnie charakter włościanina, jego wady i zalety. Zajmując stanowisko, które jej pozwalało bezpośrednio się stykać z ludem, zamierzyła ona sobie wytrwałą pracą pozyskać jego zaufanie i dopiero mając to zaufanie, i dopiero utrwalwszy swoje stanowisko w ten sposób, rozpocząć propagandę socjalistyczną. Powoli, nie dając od razu dogmatów, a jedynie grupując celowo pewne fakta i poddając je odpowiedniej krytyce, postanowiła ona zmuszać otaczających ją ludzi do myślenia nad swoim losem, nad swoją przyszłością i tym sposobem z czasem przyprowadzić ich do wniosków, jakie innym dały studia naukowe. Zgoła była ona propagatorem-pedagogiem. Rozumiejąc i odczuwając zapal innych, starała się hamować go jednak, dowodząc zawsze, że dla pomyslnego działania wśród ludu potrzeba bardzo starannie się przygotować i należycie poznać sferę, w której pracować wypadnie.

Siły rewolucyjne, które podówczas skoncentrowały się w Warszawie, były bardzo nieznaczne, środki materialne, którymi rozporządzano, także niewielkie — o wydawaniu książek lub udzielaniu pomocy tym, co propagatorską działalność rozpoczynali, mowy być nie mogło.

W sierpniu 1876 r. Filipina udała się nareszcie na swoją posadę w Janisławicach (pow. skierniewicki, gub. warszawska). Szkoła, w której miała ona rozpocząć pedagogiczną działalność, przedstawiona jej została przez zarząd jako za jedną z lepiej wyposażonych. Przybywszy na miejsce jednak znalazła stary budynek złożony z dwu izb i kuchenki, jedna z izb przeznaczoną była na szkołę, druga zaś na mieszkanie nauczycielki. Budynek był tak zaniedbany i zanieczyszczony, że w pierwszej chwili zdawało się rzeczą niepodobną pozostać w nim przez czas dłuższy. Poprzednik Filipiny, zajęty więcej gospodarstwem i procesami z gminą niż sprawami powierzonej mu szkoły, mało dbał o domostwo, które mu służyło za skład narzędzi lub też na chlewy i kurniki przeznaczone było. Gmina znowuż interesowała się tym mało z tego względu, że „szkoła“ nie była jej własnością, a budynkiem czasową od kościoła odnajętym. Urządźwszy się, jak można było, Filipina przystąpiła do egzaminu i zapoznania się ze swymi przyszłymi uczniami. Na pierwszą lekcję zebrała się mała garstka, a i to najgłówniej z „ciekawości“. Egzamin wykazał, że prócz śpiewania „Boże cara chrań!“ niewielu umiało, patrząc w książkę, recytować jakiś kawałek niby to czytając, a jeszcze mniej „uczniów“ potrafiło kreślić nieforemne litery i liczby. Wszystko trzeba było rozpoczynać na nowo. Po wpisie okazało się, że stale uczęszczać do szkoły zamierza trzydziestu paru uczniów. Wkrótce wszakże postępy, jakie zrobiły one pod kierownictwem nowej nauczycielki, zachęcać zaczęły rodziców do posyłania dzieci na wykłady. Po trzech miesiącach usilnej pracy miała już ona do siedemdziesięciu uczniami. Niezadowolone z tej liczby, a nadto pragnienie nawiązania w ogóle szerszych

stosunków, nakłoniło Filipinę do otwarcia kursów wieczornych, na które ludzie starsi uczęszczać mogli. Początkowo „dorośli“ wstydzili się uczęszczać do „wieczornej szkoły“, przekonawszy się jednak, że nauka tam nie odbywa się razem z dziećmi, a nadto silnie zachęcani przez nauczycielkę zaczęli oni coraz pilniej z jej nauk korzystać.

Programu tych lekcji wieczorowych, zarówno jak i wyliczenia nauk wykładowych podać tu nie możemy — miały one przedstawić uczniom całość wiedzy, wyłożonej w zakresie, który indywidualne osobliwości uczni zaznaczały. Wieczorne te wykłady stanowiły całą rozrywkę naszej dobrowolnej wygnanki, rezultaty pracy były coraz widoczniejsze, każda lekcja dawała coś umysłowi słuchaczy, rozjaśniała ich pojęcia i powoli przybliżała ucznia-włościanina do tego stopnia intelektualnego rozwoju, na jaki w danej chwili całą masę włościan widzieć byśmy byli radzi.

Rezultaty pracy Filipiny wykazują najdowodniej, jak dalece bezpodstawnymi są wszelkie utyskiwania naszych „miłośników“ i „opiekunów ludu“ na jego lenistwo i instynktowną do wiedzy i pracy umysłowej niechęć. Nie mogą pojąć ci panowie, czemu od promyków ich nierealnej „wiedzy“ lud odwraca niechętnie oczy. A rzecz tu jasna jednak. Rozumie on wcale dobrze, że wiedza, którą mu „opiekunowie“ podają, nie jest realnym, zdrowym pokarmem, rozumie on rzeczywistość, iż oświecenie tą wiedzą niekorzystnym mu tylko być miało. Ludowi nie „promyków“ potrzeba, a prawdy jasnej, bijącej w oczy potęgą swego światła, jak słońce. Nie katechizmowej moralności ona pragnie, a pracy umoralniającej istotnie, socjalnie, pracy, której rezultaty mógłby on sam dotykalnie poznać i należycie ocenić. Kiedy mu to dane będzie, wówczas tylko da on swoim nauczycielom takie zaufanie, o jakie próżno dobijają się u niego klasy uprzywilejowane.

W końcu roku szkolnego Filipina miała tyle uczniów, że jej miejsca w szkole zabrakło. Włościanie z początku nieufni, niechętni do nauczycielki usposobieni, upatrując w niej jedną z tych jednostek, które okoliczności niepomyślnie do ciężkiej pracy nauczycielskiej nagnały, przekonali się, że obowiązzków swoich nie pełni ona z musu, że owszem oddaje się ona pracy z zapałem. Patrzyli więc na nią z podziwem i szacunkiem, nie rozumiejąc prawie, jak można taki ogrom pracy dobrowolnie na barki swoje włożyć, jak można ją tak ochotnie i z takim oddaniem się wypełniać. Stosunek ten do Filipiny przede wszystkim objawił się w staraniu się gminy wypłacać należną jej pensję jak najsumienniejsz i jak najakuratniej, podobnież starano się zawsze o dostawienie na czas drzewa, o dostarczenie ordynarii etc., etc. Fakt to bardzo ciekawy dla tych, którzy wiedzą, z jakimi nieraz trudnościami i przykrościami dla nauczycieli łączy się załatwianie po naszych wsiach spraw podobnych, dobrowolne i chętne uiszczenie się z tych zobowiązań, które zwykle uważały się za ciężar niepotrzebny, było pierwszym triumfem naszej pracownicy, miała ona dowód, że pracować w tej sferze może, że praca jej bezowocną nie pozostanie.

W chwili, kiedy włościanie Janisławie poznali kogo mają przed sobą, kiedy swoją nauczycielkę największym zaufaniem obdarzyli, najlepsze względem niej chęci już mieli i o jej wygody starali się dbać wedle możności. Pora była spóźnioną dla restaurowania szkoły, konieczność kazała powstrzymać się do wiosny. W izbie, którą Filipina zajmowała, temperatura pomimo opalania niewiele różniła się od tej, jaka była na dworze, woda i jadło zamarzało, ciepłego obuwia i futra niesposób było zdjąć ani na chwilę. W izbie szkolnej o tyle było cieplej, o ile ją ogrzewała obecność prawie całodzienna stukikudziesięciu uczniów. Pokarmem zwykłym Filipiny był pokarm włościan — w ogóle starała się ona mało w swym życiu od ich sposobu życia wyróżniać. W takich warunkach pracowała nieustannie, bez przerwy po dniach całych. Praca taka wszakże nie mogła pozostać bez ujemnego na jej zdrowie wpływu... Do choroby serca przyłączył się katar żołądka, a następnie choroba płuc. Przedstawienia kolegów

i przyjaciół, ażeby folgowała w pracy i dbała o polepszenie warunków życia, pozostawały bez żadnego skutku. „Wicie żem chora na serce — mówiła zwykle — w każdej chwili mogę skończyć... Trzeba się śpieszyć... Tegom tylko pewna, com dziś zrobiła... Jutro już może być nie moim“. W pierwszym roku z powodu zdrowia musiała przeleżeć w łóżku po kilka dni. Nie osłabiało to jednak jej werwy — owszem po każdej chorobie z podwójnym zapalem przystępowała do przerywanych prac, aby wynagrodzić czas stracony...

W końcu roku szkolnego Filipina wezwana została na zjazd nauczycielski. Część wakacji zajęły jej posiedzenia zjazdu, pozostały zaś mogła ona spędzić w Warszawie w gronie kolegów, gdzie pilnie śledziła za wszystkimi objawami rozpoczynającego się ruchu socjalistycznego między robotnikami oraz przyjmowała żywy, czynny udział w narażach i debatach nad tym, jak tym ruchem pokierować należy, gdzie i jak iść potrzeba, aby celów pręcej dopiąć. Sympatie jej zawsze przychyłały się na stronę rewolucyjnego kierunku. Rozumiano, że podnieść należy masy, a garstka propagandą socjalistyczną wyrobionych jednostek z ludu i robotników powinna ruchowi przywodzić, wysuwając program socjalno-rewolucyjny; masom winno się jedynie wytłumaczyć, że tylko wspólna własność środków i narzędzi pracy może je zabezpieczyć od wyzyskiwania a za tym i nędzy. Przyznając konieczność pozyskania wpływu nad masami, Filipina w tym celu szczególnie zalecała zwracać uwagę na wieś, gdzie trudniej wprowadzić o rezultaty niż w mieście, ale gdzie te rezultaty nierównie są trwalszymi. Dowodziła ona zawsze o potrzebie roznucia sieci oddanych sprawie wśród ludu wiejskiego — bo kiedy w miastach można wiele zrobić zapalem i energią, to po wsiach trzeba kierowników stałych, którzy by powoli i cierpliwie przygotowywali wieśniaka do chwili wybuchu i podczas wybuchu byli jego przewodnikami — pójdzie on za ludźmi, których zna, którym da zaufanie, a nie za tymi, co doń z zapalem przemawiać zechcą.

We wrześniu 1877 r. Filipina wróciła znowu do swych zajęć w Janisławicach i pracowała tam aż do czerwca 1878 r. bez przerwy. Rok ten dał jej wiele przyjemności. Kiedy wracała do zajęć, wieś cała witała ją jak przyjaciółkę, uczniowie z prawdziwą niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia wykładów. W Warszawie zaś widziała nasza propagatorka pewne postępy, była już tam znaczniejsza liczba ludzi oddanych sprawie i zorganizowanych kół robotników. Przybywszy w czerwcu 1878 r. do Warszawy i nie chcąc pozostawać bezczynnie, uczyła się ogrodnictwa i zapoznawszy się z robotnikami po raz pierwszy zaczęła między nimi propagandę. Praca na tym polu wydała pewne rezultaty i przekonała, że pole to bardzo wdzięczne dla socjalistycznej działalności. Pogląd na naszą robotnicę, jako na jednostkę z tak niskim poziomem umysłowym, że propaganda socjalistyczna nie może okazać na nią wpływu, okazał się niesłusznym, pierwsze prozelitki socjalizmu spomiędzy robotnic okazały do zadziwienia wiele energii, oddania się sprawie, zimnej krwi i zainteresowania się przyszłością klas pracujących. Trudno dziś przewidzieć, do jakich rezultatów doprowadziłaby praca Filipiny na tym polu, gdyby jej za wcześniej nie przerwano. W sierpniu 1878 r.³⁾ podczas pierwszych aresztów, jakie młoda organizacja polskich socjalistów przenieść wówczas musiała, uwięziono również i Płaskowicką. W początkach poszłak było niewiele, można było mieć pewne nadzieje na uwolnienie. Niedługo wszakże szpiegowie nazbierali tyle faktów, że ich wystarczyło na oskarżenie Filipiny i zaliczenie jej przez żandarmską komisję śledczą do liczby głównych oskarżonych.

Tymczasem przez dwa lata prawie w Cytadeli, pomimo rozwinięcia się choroby piersiowej i zupełnego wyczerpania sił, nie upadła ona na duchu. Wraz ze zmarłym Józefem Pławińskim była ona jednym z inicjatorów i redaktorów „Głosu Więźnia“, pisma wydawanego w murach więziennych. W kartkach, któreśmy zwa kraty w 1879 r. otrzymali, prosiła ona jeszcze o przygotowanie dla niej paszportów i papierów, aby

w razie uwolnienia zaraz przystąpić do dalszej pracy... Wierzyła ona, że może odzyska wolność nawet w razie wysłania...

Podczas śledztwa gmina janisławicka podała do władz prośbę o uwolnienie Filipiny, ofiarując swoją porękę. Prośby naturalnie nie uwzględniono. Żandarmi tylko przeszukali całą wieś... chociaż poszukiwania te pozostały bez żadnego rezultatu.

W maju 1880 roku zakończyła się pierwsza sprawa: Filipina skazana została na wywiezienie do Wschodniej Syberii... W drodze była już tak chora, że ją musiano na rękach wynosić z wagonów, statków a potem kibitek... Żandarmski meublagany wyrok jednak kazał ją wlec dalej. Przed Krasnojarskiem nareszcie zmarła.¹⁾

Oto wszystko, co o Filipinie powiedzieć tu możemy... Prochy jej złożono w zlodowaciałej Syberii ziem, ale pamięć została w kraju, pamięć została między nami, między włościańską dziatwą, która jej umiejętność czytania zawdzięcza, między garstką naszego ludu, którą ona na racjonalne wprowadziła drogi, między polskimi robotnicami-socjalistkami... Jeżeli znajdą się ludzie, którzy ją naśladować potrafią, jeśli sprawa znajdzie takich, co ją zastąpić będą mogli — będzie to najlepszym hołdem, największym uczczeniem pamięci naszej towarzyszki-męczenniczki. Wierzmy, że ludzie tacy się znajdują. Wierzmy, że nowe siły zajmą w walczących szeregach miejsca tych, których utraciliśmy, wierzymy, że pójdziemy naprzód i naprzód z naszym szlاندarem, pomimo najboleśniejsze ofiary, jakie na drodze do zwycięstwa złożyć nam wypadnie...

„Przedświt“ nr 3—4, 6—7 z 1881 r.

PRZYPISY

1) Filipina Płaskowicka urodziła się w 1847 r. w powiecie radomyskim, na Kijowszczyźnie.

2) W latach 1874—1876 Filipina Płaskowicka była nauczycielką młodszego rodzeństwa Ludwika Waryńskiego w Krzywcu, w powiecie taraszczańskim, na Kijowszczyźnie, gdzie ojciec Ludwika był dzierżawcą majątku ziemskiego. Między Filipiną i Ludwikiem zawiązała się wówczas nć serdecznej przyjaźni. W Krzywcu przy fabryce narzędzi rolniczych, jak stwierdzają protokoły żandarmskie z 1876 r., Płaskowicka prowadziła w ciągu dwóch lat nielegalną szkołkę ludową i kolportowała wśród robotników „zabronione książki“.

3) Aresztowano Płaskowicką 20 sierpnia 1878 r.

4) Śmierć nastąpiła 22 grudnia 1880 r.

My i burżuazja

Przy szklance wonnej mokka lub złocistego węgryzna wielcy tego świata, a nasi pańowie, rozprawiać zwykli o „podłym motłochu“, „ulicy“, która się dziś panoszy i im zaturuwa spokój. Bo też źle dzieć się poczyną — „ludek“ nie słucha, a robotnik hardy, za obelgę obelgą płaci, siebie człowiekiem nazywa i śmie mówić, że jest wyzyskiwany, że na kapitalistów pracuje! To wszystko rezultat podszeptów złych ludzi, co czytają na dobro narodu. Kiedyś w innych krajach i u nas potrosze — gdy trzeba było walczyć za panów, zdobywać dla nich potęgę czy to kosztem królewskiej czy też innej klasy, „ludek“ był dobry, bo słuchał i za obietnicę lał krew, niósł życie, zwyciężał i wracał do jarzma. Tak on trzy razy we Francji budował Rzeczpospolitą, a każda pę swym utrwaleniu kartaczami zmiatała ulice z „podłego motłochu“¹⁾, co śmiał domagać się chleba lub pracy i ginał z okrzykiem: „żyć pracując lub zginąć walcząc“²⁾. Tak on odbudował niepodległe Włochy, oswobodził Hiszpanię, odwojował niezależność Stanów Zjednoczonych Ameryki, dał konstytucję Austrii i Prusom — i trzy razy u nas

porywał za kosę, by panom swym powrócić utraconą władzę. ³⁾ I sił im nie zabrakło, krwi starczyło choć nia hojnie szafowali zwalczeni wrogowie i wczorajsi sprzymierzeńcy — przywódcy ludu, kaci i rzecznicy jego. Cóż zyskał lud od tej krwawej, wiekowej kąpieli? Nic? — O nie. Zyskał świadomość poczucia siły — i choć brak mu władzy, by świat przetworzyć na siedlisko pracy i dobrobytu, z dniem każdym szybko ku temu zdąża on celowi.

Rzućmy okiem tylko na oba światy bodaj z tego, co słuźalczo brukowa prasa nam donosi, zestawmy fakty. Hidałgów hiszpańskich ⁴⁾, co z taką odwagą tępił Francuzów, dziś zmieniła „czarna ręka“ ⁵⁾, a ta chce tępić Hiszpanów wyzyskiwaczy, tych samych co im w walce z Francuzami przewodniczyli. Barcelona powstaje na odgłos Paryskiej Komuny ⁶⁾ i jej los dzieli. We Włoszech już zapomniano o świętej ojczyźnie, jarzmionej przez wroga, bo wolna dziś nie dała oswobodzicielowi swym chleba. Tam Internacjonal ⁷⁾ po dziś dzień się gnieździ i jest jedyną w oczach ludu zbawczą gwiazdą.

Bohaterski lud Francji już po trzykroć rwał się do walki, wyprzedził on świat i dlatego tonął we krwi. Czerwcową rzeź 1848 r. i „krwawy majowy tydzień“ ⁸⁾ Paryskiej Komuny, to nieśmiertelny pomnik tego bohatera. Drogo nam burżuazja zapłaciła za wyrżnięcie w owe dni tysięcy najlepszych naszych braci. Zwierzęca rozprawą nie ocaliła ona siebie, a dziś Monceau les Mones ⁹⁾, paryskie demonstracje, ciągle na całym terytorium wybuchające bezrobocia świadczą o nowym życiu robotniczej klasy.

Konstytucyjną Austrią wstrząsają bezrobocia i choć wojskami je zgniata, choć wyroki na przywódców ruchu sypie — spokoju sobie tym nie przysporzy, pozbywa się tylko fałszywego blichtru burżuazyjnej wolności. Niemcy pomimo wyjątkowych praw przeciw socjalistom potrafili zdobyć w parlamencie 13 krzeseł dla przedstawicieli sprawy wyzwolenia proletariatu. ¹⁰⁾

Oślawiona wolna Anglia wiesza irlandzkich spiskowców. ¹¹⁾ Ameryka jeszcze nie odbudowała poniszczonych w czasie zaburzeń fabryk i gmachów ¹²⁾, a i Rosja — ta 25 szubienic postawiła ¹³⁾ na to, by jej car mógł powiedzieć, że i on nie ostatni, gdy idzie o tępienie wrogów.

Historia cała nie ubierała takiej masy zamachów, wyroków rewolucyjnych, terrorystycznych faktów, wyszłych z łona walczących robotniczych organizacji — jak ubiegłe dziesięciolecie. We własnych swych stolicach monarchowie mniej bezpieczni czują się niż niegdyś na polach walki i jak we wrogich krajach kryć się muszą za mury i kordony żołnierskie.

Burżuazja wylękała sama nie wie, co począć, czego się chwycić. To woła o reformy i ustępstwami chce zażegnać wiszącą nad nią burzę, to we krwi topi, w więzieniach i wygnaniach dusi najślabszy objaw rewolucyjnego życia. To wszystko dziś. A przed stu laty?... Nikt i nie myślał, że my potrafimy przebić kiedy ciemności, w jakich trzymali nas ciemniźcyiele nasi.

Niesłusznie więc myślą ci, którym wydaje się daleką i nie dającą się przybliżyć chwilą wyzwolenia. Czekać, aż naród cały pozna naukowe podstawy socjalizmu, aż każda jednostka wykształci się tak, że sama organizatorem nowego ustroju będzie, nie możemy bodaj dlatego tylko, że chwili tej nigdy się nie doczekamy. Jeśli dziś, by utrzymać ciemnotę, wrogowie nasi wszystkich nie naruszyli środków, to je zużyją, gdy niebezpieczeństwo zagrozi. Walka masy wykształcić winna — ona masom wskaże prawdziwych ich wrogów. Widzieliśmy, jak klasy uprzywilejowane narzucały masom nie tylko nieznane, obce im nowe formy organizacji, ale wrogie ich interesom — a lud francuski nie będąc republikańskim przyjmował republikę. Czyż socjalistyczna forma, choć nie dość mu znana, tak wrogo ku sobie go sposobi, że aż ją odrzuci nie popróbowawszy jej wartości? Wierzymy, że nie! A hasło socjalizmu: **z i e m i ę i f a b r y k i** na wspólną własność proletariatu, na własność socjal-

n e g o p a ń s t w a! hasło to **my** przed wybuchem damy mu poznać. Walką zaciętą za jego prawa i interesy zyskamy jego ufność, propagandą jego przekonania, a organizując go, w walce i dla walki, wyrobimy potrzebny zastęp przywódców rewolucji.

Jeśli trzeźwym okiem przyjrzymy się naszemu rolnemu proletariatu, części fabrycznych i górniczych wyrobników, jeżeli porównamy obecny ich poziom do tego, jaki stanowi pierwszy szczebel świadomości, to przyznać musimy, że dalekim on jest od niego. Za to nędza drogą czysto doświadczalną wyraża w nim rewolucyjny temperament i poczucie odrębności klasowej — nienawiść. W ten sposób rozwija się gromadzi rewolucyjny zasób mszczącej siły, zdolnej zwańczyć stary ustrój, nie organizować. Masa ta uznaje swą nieumiejętność w przeprowadzeniu przewrotu — szuka ludzi, którym by zaufać mogła, powierzyć kierownictwo, a do czasu tego milczy. Któż, jeżeli nie **my**, zaufanie to osiągnąć możemy i powinniśmy! Lecz by je uzyskać należy czynami dowieść, żeśmy wrogami ich ciemności, że chcemy, by masy wzięły wszystko, co im się należy, i dlatego tylko odrzucamy na dziś turniej burżuazyjnych parlamentów, które przy większości nieświadomej oddają losy przewrotu w ręce jego wrogów, dlatego energiczny, li tylko z socjalistów złożony rząd tymczasowy — nam się wydaje być najlepszą gwarancją możliwego całkowitego uwłaszczenia pracującej klasy.

Dopóki u dołu w gminie, okręgu, nie zostaną zaprowadzone podstawowe ekonomiczne i polityczne organy — dopóty u góry na straży stać będzie dyktatorialny rząd, wysadzony i podtrzymywany przez proletariat.

Dyktatura proletariatu będzie pierwszym aktem
przewrotu

„Proletariat“ „Organ Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii“ nr 3 z 20 października 1883 r.

P R Z Y P I S Y

1) Aluzja do wydarzeń kolejnych rewolucji francuskich 1789—1799, 1848, 1871. Autor prawdopodobnie ma na myśli krwawe stłumienie przez rząd termidoriański w dniach 1 kwietnia i 20 maja 1795 roku wystąpień mas plebejskich Paryża żądających chleba i przywrócenia demokratycznej konstytucji z 1793 r., zduszenie przez rząd burżuazyjny wyłoniony w toku rewolucji 1848 r. powstania czerwcowego robotników paryskich oraz zdławienie Komuny Paryskiej w 1871 r.

2) Hasło, pod którym walczyli robotnicy francuscy w czasie powstania liońskiego, które wybuchło 21 listopada 1831 r. na znak protestu przeciw zamachowi kapitalistów na płace robotcze.

3) Autor artykułu mówi o roli mas ludowych w wyzwoleniu i zjednoczeniu Włoc, które nastąpiło ostatecznie w latach 1861—1870, o walce narodowo-wyzwoleńczej ludu hiszpańskiego przeciw agresji Napoleona w latach 1808—1813, o wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775—1783), wywalczeniu konstytucji w Austrii i Prusach w okresie rewolucji 1848—1849 oraz o powstaniach polskich w 1794, 1830—1831, 1863

4) Hidałowie — szlachta hiszpańska; autor ma na myśli udział tej warstwy w walce narodowo-wyzwoleńczej przeciw agresji Napoleona I, w latach 1808—1813.

5) „Czarna ręka“ („Magno negro“) — nazwę taką nosiła organizacja anarchistów hiszpańskich, rozwijająca działalność terrorystyczną w r. 1883 przeciw przedstawicielom klas posiadających oraz władzom państwowym.

6) Powstania w Barcelonie, „na odgłos Paryskiej Komuny“ w 1871 roku, nie znamy, miasto to ogarnięte było powstaniem republikańskim przeciw rządowi monarchistycznym w 1869 r.

7) Autor prawdopodobnie ma na myśli organizację anarchistyczną Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników, które w owym czasie stanowiło na gruncie włoskim zaniżającą organizacyjnie resztkę tzw. Międzynarodówki Anarchistycznej, utworzonej po usunięciu z I Międzynarodówki na kongresie w Hadze w 1872 r. zwolenników Bakunina.

8) „Krwawy majowy dzień“ Paryskiej Komuny — ostatni tydzień (20—28 maja 1871 r.) niezwykle zażartych krwawych walk na ulicach Paryża między wojskami burżuazyjnego rządu francuskiego a komunardami. Po złamaniu Komuny, podobnie jak po stłumieniu czerwcowego powstania robotników paryskich w 1848 r., burżuazyjne władze francuskie dokonywały na proletariacie masowych egzekucji.

9) Monceau les Mones objęte zostało w 1883 r. wraz z całym okręgiem lyońskim wielkim strajkiem połączonym z demonstracjami robotników. W czasie zaburzeń w Monceau les Mones doszło do zamachów bombowych zorganizowanych przez anarchistów francuskich.

10) Prawa wyjątkowe przeciwko socjalistom w Niemczech zostały wprowadzone przez rząd junkierski Bismarcka w roku 1878 w celu zdławienia niemieckiej partii socjaldemokratycznej, której połączony rozwój niepokoił od dawna niemiecką burżuazję i obszarnictwo. Prawa te stawiały faktycznie ruch socjalistyczny w Niemczech poza prawem. Mimo to partia socjaldemokratyczna, choć zdelegalizowana, zdobywa coraz szersze wpływy. Świadczą o tym kolejne wybory do Reichstagu, w których socjaldemokraci w 1881 r. zdobyli 12 mandatów, w r. 1884 zaś 24 mandaty. Autor artykułu mówi prawdopodobnie o wynikach wyborów w 1881 r. podając błędnie liczbę zdobytych mandatów — 13 zamiast 12 (Por. Fr. Mehring — „Dzieje Niemiec od schyłku wieków średnich“. Warszawa 1952 r., str. 301 i 306).

11) Mowa o represjach rządu angielskiego w stosunku do uczestników narodowo-wyzwoleńczego ruchu spiskowego w Irlandii, który przybrał na sile w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych. Ostre objawy walki z uciskiem angielskim doprowadziły w r. 1861 do ogłoszenia stanu wojennego. Sądy angielskie w tym czasie ferowały surowe wyroki do kary śmierci włącznie zwłaszcza w stosunku do uczestników zamachów terrorystycznych na przedstawicieli władz angielskich.

12) Autor ma na myśli zniszczenia, których dokonano w Stanach Zjednoczonych w czasie wojny domowej, tzw. secesyjnej, toczzonej między stanami północnymi a południowymi w latach 1861—1865.

13) Aluzja do częstych wówczas egzekucji w Rosji carskiej wykonywanych na uczestnikach akcji rewolucyjnych. Liczba 25 szubienic nie jest związana z konkretnymi egzekucjami, autor posłużył się nią niejako symbolicznie, chcąc oddać nasilenie terroru carskiego w stosunku do rewolucjonistów.

Kongres Związków Zawodowych w Brighton

Z poważnym zaniepokojeniem czołowe organy angielskiej prasy burżuazyjnej śledziły przygotowania do kongresu brytyjskich związków zawodowych, który odbył się między 3 a 7 września w nadmorskim uzdrowisku Brighton. Kongres zbierał się w okresie pojawiania się pierwszych symptomów pewnego pogorszenia się sytuacji gospodarczej Anglii — masowych zwolnień w przemyśle samochodowym oraz szeregu poważnych konfliktów strajkowych. Znaczna ilość zgłoszonych przez poszczególne związki zawodowe rezolucji domagała się bardziej skutecznej obrony interesów robotniczych oraz przeciwstawienia się antyrobotniczej polityce rządu konserwatystów. W masach robotniczych krystalizowała się tendencja oporu przeciwko dotychczasowej polityce „starej gwardii” — z Rady Generalnej TUC¹⁾, to znaczy przeciwko polityce współpracy z rządem w podstawowych zagadnieniach polityki gospodarczej i społecznej. Jak dosadnie określiło burżuazyjne pismo Manchester Guardian, skończył się okres, kiedy przedsiębiorcy i związki (czytaj pravicowi przywódcy związkowi — W. L.) przyjaźnie klepały się po ramieniu i utrzymywali spokój w dołach.

Toteż Daily Telegraph, Times, Economist — pisma reprezentujące w tych lub innych odcieniach interesy wielkiego kapitału brytyjskiego — nie szczędziły przywódcom związkowym zbawiennych rad, ostrzeżeń i nawoływań do zdrowego rozsądku, umiarkowania i poczucia odpowiedzialności, które w okresie ostatnich lat umożliwiły tak „owocną współpracę po-

między kapitałem a pracą”. Oceniając ten miniony okres Manchester Guardian, z charakteryzującą częstokroć to pismo obiektywnością i nie bez subtelnej ironii zauważył, że „...biorąc pod uwagę potęgę, jaką stanowi brytyjski ruch związkowy..., należy stwierdzić wręcz ze zdziwieniem, jak skromne były żądania związków zawodowych w okresie ostatnich 10 lat... Można wnioskować, że związki te są chyba najmniej chciwym i zachłannym ze wszystkich zorganizowanych ugrupowań na świecie...”

Wreszcie na kilka dni przed rozpoczęciem kongresu zabrał głos „sam” kanclerz skarbu, p. Macmillan, aby wyjaśnić robotnikom konieczność „skromności i mniejszej zachłanności”. Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej kanclerz przedstawił TUC „poważne niebezpieczeństwo”, że „w rezultacie krótkowzroczności i kierowania się interesami poszczególnych grup, możemy sami doprowadzić do pozbawienia Wielkiej Brytanii pozycji jednego z czołowych mocarstw przemysłowych...”. Kończąc swe wywody ostrzeżeniem: „...proszę związki zawodowe, aby dokładnie zastanowiły się nad konsekwencjami, jakie pociągnęłaby za sobą dla narodu akcja, która jest obecnie przedmiotem ich rozważań”, kanclerz zaoferował gotowość przybycia do Bright-

¹⁾ TUC — Kongres brytyjskich Związków Zawodowych.

ton, aby jeszcze lepiej wyjaśnić delegatom istotę swej polityki gospodarczej.

Zatrzymajmy się więc krótko na obecnej sytuacji gospodarczej Anglii, stanowi ona bowiem klucz do zrozumienia nowego kursu brytyjskiego ruchu związkowego, zapoczątkowanego na kongresie w Brighton.

Proklamowana przez rząd konserwatywny polityka zamrożenia płac jest uzasadniana argumentem, że powodem istniejących w gospodarce angielskiej zjawisk inflacyjnych są właśnie te nieznaczne zwwyżki płac, które w ciągu ostatnich lat zostały wywalczone przez związki zawodowe. „Angielskiej gospodarki nie stać na dalszą zwwyżkę płac, jeśli nie będzie ona szła w parze ze znacznym wzrostem wydajności pracy; zwwyżka cen zagraża angielskiemu eksportowi, doprowadzi ona do chaosu gospodarczego, bezrobocia itd.” — oto argumentacja Macmillana, gorąco poparta przez całą niemal burżuazyjną prasę brytyjską. Ale nawet w tym obozie znalazły się głosy krytyczne. zdające sobie prawdopodobnie sprawę z tego, iż polityka Macmillana musi doprowadzić do zaostrożenia walki klasowej — bynajmniej; nie pożądanego w obecnej trudnej sytuacji imperializmu brytyjskiego. Zabrał w tej sprawie głos i Manchester Guardian, który na podstawie analizy ruchu cen i płac w poszczególnych dziedzinach gospodarki dowodzi, że teoria Macmillana nie wytrzymuje krytyki, mimo iż „prawie wszyscy komentatorzy zgadzają się z nią”. Znacznie ostrzej polemizuje jednak z kanclerzem skarbu, o dziwo, konserwatywny Observer, ujawniając przy okazji ukryty cel wystąpienia Macmillana: „...p. Macmillan postarał się wywołać wśród znacznej części bezmyślnej opinii publicznej wrażenie, że przywódcy związkowi są właśnie tymi złoczyńcami, którzy... popierając kolejne żądania podwyżki płac spowodowali inflację... Przywódcy związkowi w dostatecznym stopniu orientują się we współczesnej ekonomice, aby wiedzieć, że wielu ekonomistów — bynajmniej nie tylko lewicowców — już dawno określiło, iż głównym twórcą in-

flacji jest właśnie sam p. Macmillan... Kanclerzowi być może udało się — a taki był niewątpliwie jego cel — wytworzyć w opinii publicznej klimat nieprzychylny dla żądań TUC. Ale tylko za cenę usztywnienia stanowiska związków zarówno w stosunku do przedsiębiorców, jak i w stosunku do rządu”.

Obawy Observera okazały się uzasadnione. Nawet Daily Herald, bliski na ogół właśnie prawicowemu skrzydłu Labour Party, musiał stwierdzić w odpowiedzi na rzucone przez Macmillana wezwania: „Można domagać się ograniczenia poziomu płac, kiedy dokonuje się poważnego wysiłku w celu objęcia kontrolą tych cen, które mogą być kontrolowane, kiedy rozbija się kapitalistyczne monopole... i kiedy w skali ogólnokrajowej planuje się inwestycje czerpane z zysków przemysłu dla zapewnienia gospodarczej przyszłości kraju. Żaden z tych warunków nie został spełniony. Wzywa się natomiast związki zawodowe, aby ten stan rzeczy aprobowaly. Odpowiedź brzmi — nie”.

Dochodzimy do sedna sprawy. W ciągu ostatnich lat, od chwili objęcia w roku 1951 władzy przez konserwatystów, gospodarkę angielską charakteryzuje stały wzrost kosztów utrzymania. Tendencja ta jest bezpośrednim wynikiem zniesienia przez torysów wszelkiej kontroli nad cenami, popierania grup monopolistycznych i stopniowego cofania subsydiów państwowych na artykuły pierwszej potrzeby, wprowadzonych po wojnie przez rządy labourzystowskie. Równocześnie tendencje inflacyjne są podsycane przez olbrzymie zamówienia państwowe o charakterze militarnym. W rezultacie obserwujemy gwałtowny wzrost dochodów kapitalistycznych, który idzie w parze z systematycznym zmniejszaniem opodatkowania zysków, powodującym stałe przesunięcia w podziale dochodu narodowego na niekorzyść klasy robotniczej. Podwyżki płac, które robotnikom udało się wywal-

czyć, stanowią w tej sytuacji zaledwie kompensatę — i to niepełną — wzrastających kosztów utrzymania. O tym, że jest właśnie tak, a nie inaczej, świadczą wymownie dane zaczerpnięte po części z rządowych publikacji. W okresie między 1950 a 1955 r. wydatki na subsydiowanie artykułów pierwszej potrzeby, stanowiących podstawę konsumpcji szerokich mas, zostały zmniejszone z 468 milionów funtów do 343 milionów funtów. Między rokiem 1946 a rokiem 1955 płace podniosły się o 105%, a zyski spółek akcyjnych wzrosły o 115%. Suma ściąganych podatków od zysków obniżyła się z 277 milionów funtów w 1950 r. do 223 milionów funtów w 1955 r. Równocześnie podatki od konsumpcji, obniżające bezpośrednio stopę życiową szerokich mas, wzrosły z 1869 milionów funtów do 2250 milionów. Nic więc dziwnego, że gdy ogólna ilość dóbr wyprodukowanych między 1950 a 1955 r. wzrosła o 3,5%, spożycie wzrosło tylko o 3%. Ponadto wzrost ten zaznaczył się głównie po stronie warstw posiadających, o czym świadczą następujące dane: na utrzymanie pojazdów mechanicznych wydatkowano sumy wyższe o 27%, gdy sumy wydane na odcież wzrosły o 3,5%, a na żywność tylko o 1%.

Jednak organ labourzystowski, zajmujący nadal stanowisko walki o korzystniejszy dla robotników podział dochodu narodowego w ramach istniejącego ustroju, a nie o zniesienie kapitalistycznego wyzysku w ogóle, nie ujawnił w swej polemice z Macmillanem najgłębszych źródeł antyrobotniczej ofensywy wielkiego kapitału angielskiego. Imperializm brytyjski, którego światowa pozycja polityczna została poważnie zachwiana na skutek postępującego w latach powojennych rozpadu systemu kolonialnego, stara się za wszelką cenę utrzymać pozostałości tego systemu, przede wszystkim zaś swoje pozycje ekonomiczne. Jednak w warunkach stałego wzrostu sił antykolonialnych oraz zaostrzającej się walki konkurencyjnej ze znacznie potężniejszym imperializmem amerykańskim, a ostatnio z odra-

dżającym się konkurentem zachodnioniemieckim, utrzymanie tych pozycji staje się coraz kosztowniejsze. Aby utrzymać swoją supremację chociażby w strefie szterlingowej, aby nie dać się wyprzeć w dziedzinie eksportu towarów i kapitałów przynajmniej na terenie „swego własnego domu“, kapitalizm angielski zmuszony jest do gruntownej modernizacji swego własnego przemysłu, do podniesienia wydajności pracy — do coraz szerszego stosowania automatyzacji. A więc do zwiększenia wyzysku własnych mas robotniczych, który by mu pozwolił taniej produkować, a równocześnie akumulować kapitały potrzebne do obrony swych pozycji ekonomicznych na świecie. Rozpoczyna się więc proces, w toku którego angielska klasa robotnicza zamiast korzystać, jak to było w ciągu kilkudziesięciu lat z pewnej części zysków dodatkowych czerpanych przez imperializm brytyjski, sama zaczyna się stawać obiektem **wzmoczonego** wyzysku. Charakterystyczny pod tym względem jest fakt, że jeśli angielskim robotnikom w ostatnich latach nawet udawało się uzyskać pewien wzrost płac, to odbywało się to w zasadzie w drodze intensyfikacji pracy i przedłużenia dnia roboczego przez szerokie stosowanie pracy w godzinach nadliczbowych. Jednak zasadniczą barierą chroniącą dotychczas klasę robotniczą było istnienie pełnego zatrudnienia, brak rezerwowej armii bezrobotnych, ciśnającej na płace. Toteż publiczną tajemnicą stało się zdanie ekonomicznych doradców wielkiej finansjery londyńskiej, iż równoległe z szeroko realizowaną automatyzacją i zamrożeniem płac, podstawowym warunkiem „uzdrowienia“ angielskiej gospodarki powinno się stać stworzenie armii bezrobotnych liczącej od siedmuset do ośmiuset tysięcy ludzi. W tym też kierunku jawnie zmierza szereg ostatnich posunięć ekonomicznych i finansowych rządu Edena.

W takiej sytuacji zebrał się w poniedziałek 3 września br. 88 kongres związków zawodowych. Nastrój 1 000 delegatów reprezentujących ponad 8,2 miliona zorga-

nizowanych związkowców odzwierciedlał rosnące zaniepokojenie mas robotniczych. Toteż charakterystyczną cechą kongresu stała się jednomyślność we wszystkich podstawowych zagadnieniach gospodarczych i społecznych oraz brak tych wewnętrznych walk pomiędzy wielkimi związkami, które tak często cechowały angielski ruch zawodowy.

Po pierwszym dniu, w którym kongres zajmował się drobnymi sprawami organizacyjnymi, na porządku dziennym znalazła się rezolucja w sprawie automatyzacji, zgłoszona przez Franka Haxella, zdeklarowanego lewicowca, sekretarza Związku Zawodowego Elektryków. Rezolucja ta, aprobując w zasadzie automatyzację jako przejaw postępu technicznego, domaga się ścisłej kontroli związków zawodowych nad jej wprowadzeniem, zapewnienia pracy robotnikom zwalnianym w wyniku zastosowania automatycznych urządzeń na warunkach nie gorszych niż dotychczasowe, ułatwienia zdobycia przez nich kwalifikacji potrzebnych w nowej pracy oraz podniesienia poziomu płac i poprawy warunków pracy w tych gałęziach gospodarki, w których automatyzacja w najbliższej przyszłości nie jest przewidziana. Broniąc tej rezolucji, Haxell podkreślił, iż „...tendencją przedsiębiorców jest dążenie do zmniejszenia kosztu siły roboczej i do powiększenia zysków... jedynie w systemie gospodarki socjalistycznej i planowej cały zysk przypada masom pracującym”. Niezmiennie charakterystyczny był fakt poparcia rezolucji przez delegata wybitnie prawicowego Związku Pracowników Samorządowych oświadczeniem, iż „w sprawie czy mamy iść naprzód, czy cofać się nie ma lewicy, prawicy ani centrum”. Nie zabrakło jednak w dyskusji i głosu przedstawiciela prawicy — przywódcy Federacji Robotników Żelaza i Stali, Douglasa. Broniąc prawa przedsiębiorców do zwiększonych zysków, ponieważ „są one konieczne dla modernizacji przemysłu”, Douglas reprezentował, według określenia Daily Worker — „ten odłam

w ruchu robotniczym, który uważa związki zawodowe za młodszych partnerów klasy kapitalistycznej, powołanych do pomocy kapitalistom, aby przedsiębiorstwa ich funkcjonowały jak najlepiej, w zamian za co mogą uzyskać poprawę bytu robotników”. Jednak apele Douglasa nie wywarły wrażenia i — jak ze zmartwieniem stwierdza burżuazyjna Neue Zürcher Zeitung — „wobec demagogicznych nawoływań komunisty Haxella apelującego do instynktów walki klasowej, umiarkowana, rozsądnie myśląca mniejszość nie zdołała zdobyć sobie posłuchu”. Rezolucja Haxella została przyjęta przytłaczającą większością głosów, co według tejże Neue Zürcher Zeitung stwarza warunki, w których jeśli zostanie ona zrealizowana, „gospodarczy sens automatyzacji (dla kapitalistów rzecz jasna — W. L.) staje się więcej niż problematyczny...” Ale trudno — nastrój sali był taki, że nawet prawicowa część Rady Generalnej nie odważyła się przeciwstawić i „będzie teraz zmuszona — lamentuje Neue Zürcher Zeitung — działać w kierunku sprzecznym z jej własnymi rozsądnymi poglądami”.

Jednak uchwalenie rezolucji w sprawie automatyzacji stało się tylko prologiem do dyskusji na temat polityki gospodarczej rządu. Dyskusja ta, tocząca się wokół rezolucji wysuniętej przez 12 wielkich związków zawodowych, obfitowała w niezwykle ostre i agresywne przemówienia, wykazujące jednocześnie całkowitą jednomyślność delegatów co do odrzucenia apelu Macmillana. „To nie jest dyskusja, to jest demonstracja” — mógł oświadczyć sekretarz Związku Zawodowego Górników, komunista Artur Horner, popierając z całą stanowczością uchwałę. Szczytowym momentem debaty stało się przemówienie Cousinsa, sekretarza Związku Zawodowego Transportowców, liczącego ponad 1,3 miliona członków i będącego do niedawna ostoją prawicy związkowej i labourzystowskiej, domeną niepodzielnego panowania Bevana a później Deakina. Frank Cousins, czołowy przedstawiciel grupy „młodych” radykalizujących (by-

najmniej nie komunistycznych) przywódców związkowych, zdobył sobie salę kategorycznym odrzuceniem apelu Macmillana, zapowiedzią stanowczej walki swego związku w obronie interesów jego członków oraz praw wszystkich robotników i uzyskał owacyjne oklaski, gdy przeniósł zagadnienie na forum polityczne atakując bezpośrednio kanclerza słowami: „Nie robi na nas najmniejszego wrażenia oferta kanclerza, iż chciałby on do nas przemawiać. Cóż on sobie wyobraża, że odbywa się tu festiwal filmowy?... Owszem, będziemy słuchać kanclerza, ale zaczekamy, aż będzie to kanclerz labourystowski“.

Rezolucja domagająca się walki o podwyżkę płac przy równoczesnym niedopuszczeniu do dalszej wyżki cen została przyjęta przez aklamację. Jednogłośnie została również uchwalona rezolucja żądająca skrócenia służby wojskowej i wzywająca rząd do energicznej akcji na rzecz rozbrojenia.

Temperatura obrad podniosła się jeszcze bardziej następnego dnia, gdy przystapiono do omawiania nadzwyczajnej rezolucji w sprawie Suez, przedstawionej przez Radę Generalną i domagającej się od rządu pokojowego rozwiązania konfliktu i wniesienia sprawy na forum ONZ. Charakterystyczny przy tym jest fakt, że rezolucja została wniesiona przez Radę Generalną mimo oporów prawicowej grupy, która stała na stanowisku poparcia rządu w jego polityce szantażu wojennego. Wyczuwając jednak nastroje klasy robotniczej Rada Generalna zdecydowała się w końcu na przedstawienie rezolucji, stanowiącej niedwuznaczne ostrzeżenie pod adresem rządu, iż zorganizowani robotnicy Anglii odmówią mu swego poparcia, gdyby zechciał on wciągnąć kraj w awanturę wojenną przeciwko Egipcjowi. Reakcja sali była na tyle jednomyślna i burzliwa, że kilkakrotnie zmuszała referenta, przewodniczącego Komisji Międzynarodowej w Radzie Generalnej, prawnicowca Geddesa, do coraz radykalniejszych oświadczeń. Gdy zasugerował on, że związki zawodowe popierają plan 18 państw, rozległy się licz-

ne okrzyki „nie“. Pan Geddes więc szybko postarał się naprawić wrażenie mówiąc: „...oświadczamy rządowi, że jeśli wciągnie nasz kraj w niepotrzebną wojnę, wywoła zacieklę i nieubłagany gniew narodu, jakiego historia jeszcze nie знаła...“ Oświadczenie to przyjęto burzą oklasków i po dyskusji, nacechowanej całkowitą jednomyślnością, rezolucja z poprawką domagającą się niezwłocznego zwołania parlamentu została uchwalona przez aklamację.

Dyskutowano także nad wnioskami zmierzającymi do nawiązania kontaktów organizacyjnych między TUC a Światową Federacją Związków Zawodowych oraz związkami zawodowymi ZSRR. Oba wnioski zostały odrzucone pod silnym naciskiem Rady Generalnej, przy czym drugi wniosek upadł przy nieznacznej większości 4,6 miliona głosów przeciwko 3,4 miliona. Dyskusja jednak wykazała, że poważna liczba delegatów dąży do ustalenia normalnych kontaktów ze związkami zawodowymi ZSRR i krajów obozu socjalizmu. Świadczy o tym zresztą fakt, że Cousins, który solidaryzując się z Radą Generalną wypowiadał się przeciwko nawiązaniu kontaktów organizacyjnych z radzieckimi związkami, równocześnie dał do zrozumienia, iż sam wybiera się na czele delegacji swojego związku z wizytą do ZSRR. Niekonsekwencję swojego postępowania starał się wytłumaczyć różnicą, jaka istnieje między kontaktami kulturalnymi czy technicznymi oddzielnych związków a oficjalną współpracą organizacyjną central związkowych.

Resztę popołudnia zajęły przemówienia przedstawicieli amerykańskich związków zawodowych, którzy przekazali kongresowi braterskie pozdrowienia od swoich organizacji. Wystąpienia te zaskłują na uwagę zarówno ze względu na swoją treść, jak i ze względu na reakcję angielskich związkowców. Naiwny byłby ten, kto by przypuszczał, że p. William F. Schnitzler, przedstawiciel AFL—CIO, mówił o zagadnieniach nurtujących amerykański ruch związkowy, o wspólnych

interesach angielskich i amerykańskich robotników lub o podobnych „nieciekawych” sprawach. Daleki od tego rodzaju „błahostek” p. Schnitzler zabrał się do wypełnienia bardziej wzniosłego zadania — uświadomienia angielskich robotników co do perfidii radzieckiej polityki zagranicznej oraz „okropności totalitaryzmu” w krajach socjalistycznych. Jednak próba odwrócenia uwagi delegatów od istotnych problemów nurtujących robotników Anglii i podważenia wzrastającej świadomości wspólnoty interesów wszystkich robotników spaliła na panewce. Przemówienie nosiciela tak szczególnych „braterskich pozdrowień” — według relacji sprawozdawcy Manchester Guardian — było kilkakrotnie przerywane „całkiem niebraterskim szmerem dezaprobaty i kilkoma okrzykami protestu”. Sporo delegatów demonstracyjnie wyciągnęło gazety, niektórzy niegrzecznie spali, a wielu poszło do bufetu, aby bardziej pożytecznie spędzić czas.

Najważniejszym wydarzeniem ostatniego dnia kongresu było uchwalenie — i to wbrew stanowisku Rady Generalnej — rezolucji Związku Zawodowego Kowali, domagającej się 40-godzinnego tygodnia pracy i zobowiązującej Radę Generalną do poparcia tego żądania. Przeciwno rezolucji z polecenia Rady Generalnej występował Cousins. Według relacji korespondentów podjął się on tej misji pod wyraźnym naciskiem i niechętnie, ponieważ zdawał sobie sprawę, że naraża na szwank swój zdobyty w poprzednich dniach autorytet. Wystąpienie jego poprzedziła ponoć awantura w Radzie Generalnej, w czasie której przedstawiciele „starej gwardii” mieli oświadczyć, że Cousins zachował się na poprzednich posiedzeniach z „takim brakiem poczucia odpowiedzialności”, iż powinien teraz wykazać, że może stać się godnym zaufania większości Rady. Jego mocno kulejąca argumentacja, że „rezolucja taka, chociaż w zasadzie Rada popiera 40-godzinny tydzień pracy, mogłaby sprawić wrażenie, że TUC dąży do osiągnięcia swych celów za wszelką cenę”, nie przekonała

większości zebranych. Po ożywionej dyskusji, w której podkreślano, że angielska klasa robotnicza powinna sobie wywalczyć 40-godzinny tydzień pracy właśnie w okresie pełnego zatrudnienia, a nie czekać, aż się zacznie bezrobocie, rezolucja została przyjęta 4,2 milionami głosów przeciwko 3,6 milionom. Głosowanie to stanowiło pierwszą poważną porażkę Rady Generalnej.

Aby scharakteryzować głębokie wrażenie, jakie wywołał przebieg kongresu poza granicami Anglii, zacytujemy wypowiedź paryskiego burżuazyjnego Monde: „... 1 000 delegatów w Brighton wypowiedziało wojnę rządowi sir Anthony’ego Edena... Faktem jest, że oficjalna polityka związków zawodowych przybiera o wiele bardziej bojowy charakter... Głosowania w Brighton staną się podstawą zaostrożenia konfliktów społecznych...” W tym samym tonie daje wyraz swego niepokoju szwajcarska Neue Zürcher Zeitung: „Wydaje się, iż cały brytyjski ruch związkowy jest ożywiony wolą porzucenia dotychczasowego umiarkowanego kursu i przejścia do ofensywy... Pozycje przeciwników zbliżenia z komunistycznym ruchem zawodowym stają się coraz trudniejsze do utrzymania...”

Zreasumujmy: 88 kongres TUC stworzył nową sytuację w angielskim ruchu związkowym. Sytuacja ta nie może nie odbić się także i na układzie sił w Partii Pracy. Charakterystyczną cechą kongresu było jednolite stanowisko trzech największych związków (Związku Zawodowego Transportowców, Pracowników Komunalnych i Górników), których oblicze polityczne decyduje w znacznym stopniu o obliczu całego ruchu związkowego, a także o obliczu Labour Party, której bazę masową oni stanowią. Na czoło wysunęła się energiczna grupa młodych działaczy, do której należy Cousins. Grupa ta, o zabarwieniu radykalnym, pozostaje jednak na pozycjach reformizmu. Prawica związkowa znalazła się bądź to w izolacji, bądź też poniosła porażki w zasadniczych sprawach polity-

ki ekonomicznej i społecznej. Pod naciskiem mas robotniczych w kierownictwie ruchu związkowego nastąpiło przesunięcie, które można scharakteryzować najzwyczajniej jako przejście od bloku prawicy i centrum do bloku centrum i lewicy.

Jednak mimo iż lewica związkowa wzięła w swoje ręce inicjatywę — przyjmując praktycznie wszystkie zasadnicze postulaty ekonomiczne wysuwane przez program minimum partii komunistycznej — pozostaje ona na razie na platformie reformizmu. Charakterystyczne, że Cousins, polemizując ostro z reakcyjną „starą gwardią” w sprawach związkowych, równocześnie popiera jej kandydata na skarbnika Labour Party przeciwko Aneurinowi Bevanowi, przywódcy lewicowo-socjaldemokratycznego skrzydła tej partii. Prawica zachowała dostateczne wpływy, aby nie dopuścić do przyjęcia politycznych wniosków ko-

munistów i udaremnić wybór komunistów do Rady Generalnej, nawet niezwykle popularnego sekretarza Związku Zawodowego Górników, Hornera.

Nie będziemy się zajmowali przewidywaniem najbliższych perspektyw rozwoju ruchu robotniczego Anglii. Nie ulega wszakże wątpliwości, że proces radykalizacji angielskiej klasy robotniczej nie będzie procesem łatwym i jednoznacznym, że nie będzie przebiegał po linii prostej. Jednak nie ulega również wątpliwości, że Kongres Związków Zawodowych w Brighton stanowi poważny krok naprzód w tym historycznie nieuniknionym procesie i że zaostrenie konfliktów niewątpliwie nastąpi, przyczyniając się do dalszego przewyciężenia przez angielską klasę robotniczą iluzji reformistycznych, ciężących od wielu dziesiątków lat na brytyjskim ruchu robotniczym.

Witold Leder

Kto zdelegalizował Komunistyczną Partię Niemiec

„Unità”, organ KP Włoch, podaje szereg niezwykle interesujących informacji o danych personalnych dotyczących głównych organizatorów procesu przeciw KPN.

Pierwszorzędną rolę w sprawie tej odegrała delegacja rządu bońskiego, która występowała w procesie jako powód cywilny. Na jej czele stał sekretarz stanu do spraw wewnętrznych, Ritter von Lex, który żądał właśnie w imieniu rządu bońskiego zdelegalizacji KPN. Tenże Ritter von Lex był długoletnim posłem niemieckiego „Centrum” katolickiego. W 1933 r. głosował on za udzieleniem pełnomocnictw Hitlerowi i zaraz potem wystąpił z ruchu katolickiego, aby stanąć u boku Hitlera jako członek partii narodowo-socjalistycznej. Szybko awansował w ministerstwie spraw wewnętrznych Reichu zostając niedługo przed końcem wojny dyrektorem gabinetu zbrodniarza wojennego Himmlera. Zaraz po wojnie Lex musiał przez jakiś czas

ukrywać się w Szwajcarii bojąc się aresztowania za zbrodnie wojenne. Zastępcą von Lexa jest dr Rudolf Dix, jeden z najbardziej znanych adwokatów nazistowskich okresu hitlerowskiego. Po wojnie podjął się bezinteresownej obrony kilku spośród najbardziej znanych zbrodniarzy wojennych, m. in. Schachta i Fliczka. W skład delegacji rządowej wchodziło poza tym kilku znanych adwokatów hitlerowskich, takich jak Heinrichs, Karlsbach, Gude, Winterfeld. Listę uzupełniał Erich Kaufmann, występujący jako biegły. Idzie tu o najlepszego „eksperta”, jakiego Adenauer mógł znaleźć, ponieważ był on już „ekspertem” cesarza Wilhelma i Hitlera w zagadnieniach prawnych. Jest on autorem książki „Das Wesen des Völkerrechts”, w której utrzymuje, że rząd może zawiesić każde prawo, jeżeli uzna to za stosowne, ponieważ prawo powinno być podporządkowane rządowi, a nie odwrotnie.

Trybunał Konstytucyjny orzekł, że Ko-

munistyczna Partia Niemiec jest nielegalna. Orzeczenie takie jest pogwałceniem 21 artykułu Konstytucji Republiki Federalnej. Konstytucja ta bowiem zapewnia wszystkim patriotom i ruchom politycznym wolność działania. Teoretycznie Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe powinien czuwać nad tym, ażeby w Niemczech zachodnich nie zapanowały takie stosunki, które stanowiłyby niebezpieczeństwo dla Konstytucji i dla reżimu demokratycznego. Wyrokiem z 17 sierpnia skazana została właśnie ta partia, która walczyła bardziej zdecydowanie niż jakakolwiek inna (czasami nawet sama) przeciwko tyranii hitlerowskiej, która zapłaciła za swą wytrwałość ponad dziesięć tysięcy swych członków skazanych na śmierć z rozkazu Heydricha i Himmlera.

Sam skład Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe (najwyższego organu sądowego Niemiec zachodnich, od którego wyroku nie ma odwołania) wskazuje na jego istotę. Przewodniczącym jego jest Joseph Wintrich, były prokurator hitlerowski, który awansował w 1940 r. za zasługi wobec hitleryzmu. W czasie wojny pełnił nadal funkcje prokuratora (w Berlinie), powodując skazanie niemałej liczby przeciwników hitleryzmu na karę śmierci. Sekretarzem Trybunału Konstytucyjnego jest dr Erwin Stein, również były członek partii hitlerowskiej i co więcej — także agent wywiadu amerykańskiego od 1945 r.

A oto kim są sędziowie Trybunału, których jest 8: Franz Wessel, zbrodniarz wojenny, były Regierungsdirektor Reichu w Krakowie, gdzie pomagał w przeprowadzaniu akcji likwidowania Żydów przez SS;

Theodor Rittersprach, członek partii hitlerowskiej od 1935 r., robił tak szybko karierę, że w czasie drugiej wojny światowej piastował już w Bawarii wysokie stanowisko Regierungsrata (radcy rządowego) w hitlerowskim ministerstwie oświaty;

Martin Draht, członek partii hitlerowskiej, zbrodniarz wojenny, którego Hitler

wysłał do Polski w 1941 r. na „służbę” w różnych sądach wojennych;

Richard G. Heiland, były oficer hitlerowski;

Karl Heck i Conrad Zweigart, byli członkowie partii hitlerowskiej, sędziowie w hitlerowskiej Rzeszy.

Listę uzupełniają dwaj inni sędziowie, co do których nie wiadomo, czy byli hitlerowcami: Erna Scheffler i Joseph Scholtissek.

Prawdziwy skandal wywołało w auli Trybunału w Karlsruhe pojawienie się głównego świadka oskarżenia, Paula Lewerkuehna. Miał on „odślonić” machinacje komunistyczne, zmierzające do obalenia rządu. Interesujący jest fakt, że Lewerkuehn był jednym z założycieli partii hitlerowskiej w 1923 r. i brał aktywny udział wraz z Hitlerem i Goeringiem w nieudanym puczu w Monachium. Lewerkuehn jest członkiem prezydium niemieckiego komitetu do spraw „Stanów Zjednoczonych Europy” i w tym charakterze zaprosił niedawno na konferencję do Hamburga Maurice’a Bardèche, tego, który we Francji został określony jako „najohydniejsze indywiduum czasów powojennych”. Bardèche, przyjaciel Lewerkuehna, napisał książkę, w której utrzymuje, że Hitler popełnił tylko ten jeden błąd, że nie wymordował wszystkich Żydów, a jedynie 5 milionów.

Proces został zainscenizowany z inicjatywy ex-ministra spraw wewnętrznych Roberta Lehra, jednego z pierwszych, którzy finansowali Hitlera już od 1925 r., i był celebrowany pod egidą nowego ministra spraw wewnętrznych w Bonn, dra Gerharda Schrödera, byłego członka SA. Innym osobnikiem, który przyczynił się w dużej mierze do przeprowadzenia procesu przeciw Komunistycznej Partii Niemiec, jest sekretarz stanu Kancelarii Federalnej, Hans Globke, słynny „komentator” rasistowskich uchwał norymberskich z 15 września 1935 r., zbrodniarz wojenny nr 101 (na wspólnej liście wydanej przez rządy: angielski, amerykański, radziecki i francuski w 1945 r.).

Dyskusja przedzjazdowa w partyjnej prasie włoskiej

W partyjnej prasie włoskiej toczy się obecnie ożywiona dyskusja przedzjazdowa. Biorą w niej udział przywódcy partyjni oraz szeregowi członkowie partii z różnych miast i prowincji Włoch.

Wszystkie pisma partyjne, w szczególności „Unità“ oraz „Rinascita“, otworzyły swe łamy dla tej wielkiej debaty. „Unità“ poświęca dyskusji co kilka dni całą kolumnę, ostatnio zaś, z okazji „Miesiąca prasy komunistycznej“, zamieszcza również liczne wypowiedzi i przemówienia z zebrań i wieców, odbytych z udziałem szerokich rzesz bezpartyjnych.

Cechą charakterystyczną tej dyskusji jest to, że udział w niej bierze nie tylko czołowy aktyw partyjny, ale i liczni szeregowi członkowie partii, fakt, iż głosy pochodzą ze wszystkich prowincji, wreszcie przejawiające się w niej szerokie zainteresowanie nawet terenowych działaczy wielkimi sprawami ogólnokrajowymi, sprawami perspektyw frontu demokratycznego, walką o pokój, drogą do socjalizmu we Włoszech i na całym świecie.

Wiele wypowiedzi dotyczy spraw demokracji wewnątrzpartyjnej. I tak towarzysze De Lazzari z Wenecji, kładąc nacisk na podniesienie poziomu i zwiększenie autorytetu aparatu partyjnego wszystkich szczebli, wysuwa postulat, by każdy etatowy pracownik aparatu był wybierany przez aktyw partyjny. Równocześnie podkreśla on konieczność przestrzegania, by pracownicy aparatu utrzymywali ciągłą, codzienną więź z terenem, by byli otoczeni grupami nieetatowych aktywistów, czujących się współodpowiedzialnymi za pracę. To przyciągnięcie „bazy“ do pracy aparatu, do współdecyzji, uważa tow. De Lazzari za jedną z podstaw demokracji wewnątrzpartyjnej.

Inną stroną demokracji wewnątrzpartyjnej zajmuje się na łamach „Rinascita“ tow. Caracciolo. Podkreśla on potrzebę szerokiego pojmowania zasady centra-

lizmu demokratycznego w partii. Żąda szerokiej dyskusji i przekonywania członków partii, aby uzyskiwać nie pozorną jednogłębność, ale rzeczywistą zgodę na kolegiąlnie wypracowaną decyzję. Powołując się na zasady demokracji tow. Caracciolo proponuje, by aparat partyjny na wszystkich szczeblach pochodził z wyboru, dokonanego swobodnie w tajnym głosowaniu spośród kilku przedstawionych kandydatów. Wysuwa też zasadę osobistej odpowiedzialności i odwoływalności wszystkich członków instancji partyjnych, jak też sprawę maksymalnej jawności życia politycznego, jawności stanowiska zajmowanego w konkretnych zagadnieniach przez poszczególnych przywódców partyjnych.

Dla tow. Edoardo d'Onofrio, który zabiera głos na te tematy w „Unità“ (nr z 1 września), podstawowym zagadnieniem jest „cyrkulacja idei“ z dołu do góry i z góry do dołu. Tow. d'Onofrio wypowiada się przeciwko proponowanej zasadzie dwóch (lub więcej) list kandydatów przedstawianych przy wyborze do instancji partyjnej ze względu na możliwość powstawania w ten sposób tendencji grupowych, frakcyjnych.

D'Onofrio przypomina, że zasady centralizmu demokratycznego powinny być stosowane w ten sposób, by i demokracja partyjna była ściśle przestrzegana, i decyzje po ich powzięciu były wykonywane przez wszystkich; jest to podstawowy warunek jedności i skuteczności działania partii. D'Onofrio zwraca też uwagę na fakt, iż leninowski centralizm demokratyczny jest niezbędny tym bardziej, że komuniści włoscy walczą nie sami, lecz we współpracy i jedności działania z Partią Socjalistyczną i innymi siłami postępowymi i pokojowymi społeczeństwa włoskiego.

Z całości dyskusji w tej sprawie widać życzenie towarzyszy włoskich rozwijania, w ramach centralizmu demokratycznego, jak najszerszej pojętej demokra-

cji wewnątrzpartyjnej, dostosowanej do tradycji włoskich i do specyfiki obecnej sytuacji we Włoszech.

Ciekawe są uwagi towarzyszy dotyczące struktury i stylu pracy organizacji partyjnych. Tow. Pardi z Turynu stara się wyciągnąć na podstawie doświadczeń z wydarzeń w Poznaniu wnioski, dotyczące walki z biurokryzacją aparatu partyjnego oraz więzi partii z masami. Twierdzi, iż w Turynie kontakt organizacji partyjnych z masami jest jedynie dorywczy. Domaga się takiej zmiany stylu pracy, by organizacja partyjna była ściślej i w sposób stały związana z terenem. Tow. Usai z Genui i tow. Baldini z Nowary wyrażają żal, że organizacje partyjne nie umieją dotrzeć do robotników poza miejscem pracy, na ulicy i na wsi, proponują też zwrócić większą uwagę na podstawowe organizacje partyjne terenowe, uliczne, blokowe i dzielnicowe.

Tow. Augusto Campari stwierdza, iż życie polityczne podstawowych organizacji partyjnych jest wciąż słabe. Uważa, iż często jest to wynikiem zbytniego rozdrobnienia organizacji, i proponuje, by szczególnie w większych zakładach pracy i w obrębie większych dzielnic zbierać częściej komunistów na szersze zebrania i dyskusje na temat aktualnych spraw politycznych i ideologicznych.

W „Rinascita” zabiera głos w sprawie programu szkół partyjnych tow. Mario Spinella. Omawia on w szczególności zagadnienie programów szkół, sprawy podniesienia ich poziomu i politechnizacji przez ściśle związanie z praktyką, z konkretnymi włoskimi warunkami walki o socjalizm. Tow. Spinella wypowiada się za szerszym potraktowaniem w studiach przedmiotów ekonomicznych, a także historii, geografii i aktualnych problemów politycznych i społecznych Włoch.

Tow. Spinella radzi poważnie zapoznać słuchaczy szkół partyjnych z problematyką propagandy wroga, przygotować i uzbroić ich w odpowiednią argumentację.

Szereg innych towarzyszy partyjnych omawia w swych wywodach sprawę mło-

dzieży, organizacji kobiecych, problem nowych, lepszych metod współpracy partii ze związkami zawodowymi, sprawę współpracy z bezpartyjnymi itd. Niektórzy aktywiści proponują, na przykład, aby w celu zacieśnienia więzi z bezpartyjnymi zapraszać ich częściej na zebrania partyjne, żeby zapraszać czasem również towarzyszy związkowców oraz socjalistycznych działaczy partyjnych, a także republikanów i chrześcijańskich demokratów.

Wiele miejsca w dyskusji na łamach włoskiej prasy partyjnej zajmuje zagadnienie „włoskiej drogi do socjalizmu”. Pierro della Seta, z rzymskiego Komitetu Partii, polemizując z wypowiedzią tow. Arturo Colombi, stara się wykazać realność pokojowej drogi do socjalizmu w warunkach włoskich. Mówi o znaczeniu walki o przestrzeganie konstytucji, o pełne prawa parlamentu, o akcji reindykacyjnej jednościowej związków zawodowych, podkreśla zwłaszcza olbrzymią siłę atrakcyjną idei socjalistycznych dla najszerszych mas narodu włoskiego.

W „Unità” Carlo Salinari polemizuje z towarzyszami, którzy obawiają się gwałtownego nawrotu reakcji we Włoszech w warunkach wzrastającego dla burżuazji niebezpieczeństwa dojścia do władzy frontu demokratycznego. Tow. Salinari żąda zastosowania nowej taktyki jedności sił ludowych, opartej na analizie doświadczeń przeszłości, na zbadaniu obecnego układu sił i możliwości postępu demokratycznego we Włoszech.

Odpowiada mu w „Unità” z 5 września tow. Luciano Romagnoli, zarzucając mu niezrozumienie charakteru rozwijającej się walki klasowej oraz dalszego nacisku i knowań imperiaistycznych w skali krajowej i międzynarodowej, co prowadzi do niedocenienia starań burżuazji włoskiej o przygotowanie „prewencyjnej kontrrewolucji” przeciw rosnącemu frontowi demokratycznemu. Okoliczności te zmuszają WPK do trzeźwej oceny wszystkich możliwych alternatyw rozwoju sytuacji, do uważnego śledzenia posunięć wroga i

uwzględnienia ich przy wypracowaniu najsluszniejszej, najbardziej szerokiej i czujnej taktyki.

Niezmiernie ciekawą jest dyskusja w sprawie oceny polityki partii tocząca się na łamach „Rinascita”. Numer lipcowy tego miesięcznika zamieszcza ostry artykuł krytyczny tow. Fabrizio Onofri, w którym zarzuca on kierownictwu Włoskiej Partii Komunistycznej oderwanie się od rzeczywistości, wyrzeczenie się „włoskiej drogi do socjalizmu”, zarzuca postawę wyłącznie obronną w całym szeregu spraw, zbiurokratyzowanie aparatu partyjnego itp.

W tym samym numerze „Rinascita” zamieszcza **odpowiedź tow. Palmiro Togliattiego**. Tow. Togliatti odpowiada przede wszystkim na zarzut, jakoby w 1947 r. Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych miało narzucić Włoskiej Partii Komunistycznej ocenę, która oznaczała wyrzeczenie się „włoskiej drogi do socjalizmu”. Tow. Togliatti przypomina, iż — wprost przeciwnie — w 1947 r. Biuro Informacyjne skrytykowało komunistów włoskich za to, iż nie potrafili przez zorganizowanie odpowiedniej akcji mas zatrzymać lub przynajmniej osłabić rozłamu w szerokim jednolitym froncie, stworzonym w czasach Ruchu Oporu przeciw hitlerowskiemu najeźdźcy.

Wyjaśniając, co oznacza „włoska droga do socjalizmu”, tow. Togliatti pisze:

„Włoska droga do socjalizmu nie oznacza nic innego jak postęp ku socjalizmowi, walkę o socjalizm, prowadzoną przy dokładnym uwzględnieniu sytuacji międzynarodowej i sytuacji wewnętrznej, w jakiej kraj się znajduje. Ustalać drogę włoską oznacza więc odrzucić te wszystkie wzory z innych krajów, które nie odpowiadają sytuacji Włoch”.

Wskazując na błędność mniemania, iż „włoska droga do socjalizmu” oznacza drogę wyłącznie parlamentarną i pokojową, Togliatti dodaje:

„Wszelka droga, która prowadzi do socjalizmu, jest nieuchronnie drogą demo-

kratyczną, zawsze i w każdym wypadku. Iść ku socjalizmowi znaczy rozwijać demokrację gospodarczą i polityczną; rozwijać świadomość, stopień organizacji i aktywność mas pracujących; realizować osiągnięcia, których treść jest zawsze demokratyczna. Ruch ku socjalizmowi jest więc, zarówno dla Włoch, jak i dla wszystkich innych krajów, ruchem demokratycznym”.

W dalszym ciągu swego artykułu Togliatti przechodzi do bezpośredniej odpowiedzi na zarzuty tow. Onofri:

„Komuniści zawsze zwracają się do faktów i na nich się opierają. W nich tkwi prawda. Tym bardziej uzasadnione jest pytanie: jak mogło się zdarzyć, że taki towarzysz, jak Onofri, mógł dojść do tak błędnych wniosków? Albo należy zgodzić się z tym — a do takiego wniosku nie chcielibyśmy dojść — że nie jest on już naszym człowiekiem, w tym sensie, że odrzuca te kryteria analizy i rozumowania, które dla nas są kryteriami elementarnymi i z których nigdy nie zrezygnujemy. Bądź też należy przypuścić, że formuła „włoska droga do socjalizmu” stała się dla niego maniackalnym koszmarem, fetyszem, który przeszkadza mu widzieć rzeczywisty stan rzeczy, a przede wszystkim główną sprawę, tj. działanie sił klasowych, a zwłaszcza akcję wroga — imperializmu, wielkiej burżuazji kapitalistycznej z jej organizacjami, partiami, z jej posunięciami i ludźmi. Nie od 1947 roku, ale od 1943 **zawsze** opieraliśmy naszą włoską politykę na walce przeciwko imperializmowi. Gdybyśmy tego nie czynili, to nasza polityka nigdy nie byłaby ani komunistyczna, ani socjalistyczna. I od 1947 roku dajemy należyłą odprawę imperializmowi, jego polityce wojny i jego atakom i dzięki temu mogliśmy odegrać we Włoszech i na całym świecie wielką, pozytywną rolę, czym słusznie się szczyci każdy komunist. Nasza walka przeciwko polityce militarnej imperializmu, mówi w istocie rzeczy Onofri, zmusiła nas do zejścia z „włoskiej drogi”, którą jest on tak opę-

tany. Trzeba mu odpowiedzieć wyraźnie i zdecydowanie, że rzecz ma się wręcz przeciwnie. Nasze wyjaśnienie niebezpieczeństwa nowej wojny, walka przeciwko planowi Marshalla, przeciwko paktowi atlantyckiemu, przeciwko tzw. europeizmowi amerykańsko - klerykalnemu oraz planowi Schumana, przeciwko Europejskiej Wspólnocie Obronnej i Unii Zachodnio-Europejskiej; nasza obrona niezawisłości i suwerenności narodowej przed panowaniem i zalewem obcego imperializmu, mobilizacja narodu przez zorganizowanie dwóch masowych plebiscytów ludowych przeciwko niebezpieczeństwu wojny atomowej; zacięte bitwy, jakie toczyliśmy pod sztandarem pokoju w parlamencie i na ulicy, łącznie z apelem do katolików w sprawie ratowania cywilizacji przed zagładą termojądrową — wszystko to stanowi istotny element naszej walki o wkroczenie na włoską drogę do socjalizmu, o pójście tą drogą. Zmienić ku socjalizmowi — oznacza, że czynimy sztandar niezawisłości narodowej, pokoju i braterstwa narodów naszym sztandarem.

Czy te bitwy nie osłabiały naszego marszu w innych kierunkach? Nie wiem, ale wiem jedno: gdybyśmy ich nie toczyli, to nie tylko uległyby osłabieniu nasze pozycje we wszystkich dziedzinach, lecz również zdradziłibyśmy interesy mas pracujących i narodu, zadania i ideały naszej partii i socjalizmu. I skąd wziął się ten nędzny, spóźniony defetyzm, w myśl którego po 1947 roku zaczęliśmy się rzekomo cołać, odłazić od socjalizmu?

Przypomnijmy przede wszystkim, że właśnie na gruncie walki przeciwko wojnie, o pokój odnieśliśmy wspaniałe sukcesy polityczne. Nie mówię już o 17 milionach podpisów (chodzi o podpisy pod Apelem Obronców Pokoju — red.). Mówię o fakcie, że w latach 1950—1951 imperializm z jego polityką militarną został przyparty do muru, a sytuacja w kraju znajdowała się faktycznie pod dominującym wpływem naszej opozycji. Fiaszkiem zakończyła się próba De Gaspe-

riego wskrzeszenia „jedności narodowej“, by móc usunąć Włoską Partię Komunistyczną. Odrzucono wojenną ustawę o obronie cywilnej. Nie poddano nawet pod dyskusję ustawy o udzieleniu rządowi nadzwyczajnych pełnomocnictw w dziedzinie ekonomicznej. Odrzucono również projekt przewidujący wprowadzenie kontroli władz wojskowych nad zasobami surowców. Sądzę, że w żadnym innym kraju zachodnim imperializm amerykański nie doznał takiego fiaska, jak we Włoszech. Oczywiście nie ma to żadnego znaczenia dla ludzi takich, jak Onofri, którzy zapewniają, iż ich zdaniem niebezpieczeństwo wojny istnieje dziś w takim samym stopniu, jak w 1948, 1950 lub 1951 r., tj. dla osób, które zaślepione w swym dążeniu do negowania wszystkich osiągnięć partii w pracy i walce, utraciły wszelką zdolność orientowania się w zmieniającej się sytuacji i negują rzeczy najbardziej oczywiste.

Po wtóre, absolutnie fałszywe jest twierdzenie, że w okresie tej naszej wielkiej walki ludowej przeciwko imperializmowi nie zajmowaliśmy się rzekomo i zaniedbywaliśmy sprawy walki ekonomicznej i społecznej o zaspokojenie żądań mas pracujących i o reformy struktury społecznej. Przeciwnie, i punkt ten wymaga szczególnego oświecenia, gdyż ludzie często mylą się w tym względzie — właśnie w ciągu pierwszych dwóch lat po zwycięstwie nad faszyzmem niedociągnięcie w naszej pracy polegało na tym, że w tej dziedzinie działaliśmy zbyt wolno. A więc sprawa ma się wręcz odwrotnie, niż to usiłuje dowieść Onofri. W początkowym okresie wskutek obawy, iż może być wyrządzona szkoda sprawie jedności, wahano się przed akcjami na polu ekonomicznym; być może pewne znaczenie miał również fakt, że same masy pracujące nie były jeszcze na początku przygotowane do wielkich bitew na tym terenie. Walka o reformy rozwinęła się w toku kampanii wyborczej 1948 roku. (Zdaniem Onofriego, powinniśmy byli ją bodaj prowadzić wówczas wspólnie z

chadecją: co za zamieszanie! — Ale tylko w jego głowie!). W późniejszych zaś 2—3 latach przybrała ona na sile, rozwijała się, zaostrzała i doprowadziła do poważnych sukcesów. Są to lata, kiedy chłopci zajmowali ziemię i rozwijał się ruch demokratyczny na południu, co zmusiło do uchwalenia częściowych ustaw agrarnych. Są to lata walki przeciwko redukcjom, o plan zatrudnienia (autor ma tu na myśli plan demokratyzacji życia gospodarczego we Włoszech i zapewnienia całkowitego zatrudnienia ludzi pracy, przygotowany przez Włoską Powszechną Konfederację Pracy w 1950 r. — red). O planie tym Onofri — jak widać — zapomniał, gdyż lekceważył go jako rzecz bezwartościową. A przecież specyfika sytuacji polegała na tym, że jedna walka stanowiła bodziec i poparcie dla innej, postulat planu zatrudnienia sprzyjał kampanii przeciwko wojnie, zajmowanie ziemi sprzyjało organizowaniu demonstracji przeciwko militarystyce, walki przedwyborcze sprzyjały walce ekonomicznej i odwrotnie. Jest to zgodne z tym, co powinno nastąpić i co następuje, gdyż walka klasowa i walka o socjalizm rozwijają się nie według schematu, lecz w sposób żywy i różnorodny. Kto ma w głowie nie prawdziwe kryteria oceniania realnych rzeczy, lecz tylko abstrakcyjne formułki i martwe schematy, ten nigdy nic nie zrozumie...”

„Daleka jest ode mnie myśl, że to, co stanowiło podstawową linię inspiracyjną naszej polityki, było zawsze stosowane w sposób odpowiedni, z niezbędną odwagą i giętkością; jednak jest pewne, że dzięki tej naszej linii działania zrodziły się wielkie osiągnięcia włoskiego ruchu ludowego za ostatnie lata. Oczywiście, wywołać może zdziwienie fakt, iż w łonie naszego Komitetu Centralnego znalazł się towarzysz, który nic z tego nie rozumiał i który teraz opowiada nam, że naszą walkę z wojną należy interpretować w ten sposób, że trzeba było, by „wybuchł pokój“, by doprowadzić nas do władzy, i dlatego też

byliśmy „zaskoczeni“ odprężeniem, które było przecież naszym głównym celem; „zaskoczeni“ rewolucjami kolonialnymi, które codzienny organ prasowy naszej partii zawsze badał, którym przypisywał odpowiednie znaczenie, jak to też należało czynić (choć przeciw temu nasz pedant protestował); „zaskoczeni“ zbliżeniem z Jugosławią, któregośmy się domagali, przedstawiając w odpowiedni sposób naszą opinię towarzyszom radzieckim; i „zaskoczeni“ nawet XX Zjazdem, chociaż niektóre decyzje jego były ustalone i rozpracowane właśnie na podstawie naszych „doświadczeń“.

„...Wśród kadr kierowniczych i zapewne także wśród mas (choćby twierdząc to, powinienem być szczególnie ostrożny w związku z niezwykle przykłym danym przez chłopstwo w jego ostatnich bojowych wystąpieniach) zauważyłem jakąś niepewność, której źródło należy dobrze zrozumieć, by uniknąć błędów. Na ogół rozwój ogólnego ruchu odbywał się na naszą korzyść, jednakże miał on miejsce w innej niż poprzednio sytuacji, zmienionej tak na skutek zaistnienia nowych elementów rzeczywistości, na skutek nowych przedsięwzięć przeciwnika, jak i na skutek sukcesów i porażek, które zmuszały i nas, i przeciwnika do podejmowania kroków nie przewidzianych i których nie można było przewidzieć. Ciekawym potwierdzeniem tego jest to, co nastąpiło po roku 1953 na polu działalności parlamentarnej, gdzie sytuacja, w ramach możliwości, była przez nas kierowana, choć nie wszyscy to rozumieli (wy sędzicie, że rozumie to Fabrizio Onofri!) i nie brakło wahań i nawet błędów w ocenie i w samym ruchu. Stąd konieczność uważnego studiowania wszystkiego co nowe i popierania tych, którzy się tymi studiami zajmują, nawet gdyby nie wszystkie ich pierwsze wywody miały wytrzymać próbę dalszej, bardziej pogłębionej analizy. Stąd konieczność niezniechęcania nikogo, kto to robi jak należy, kto stara się wydobyć ze wszystkich nowych elementów treść nowej,

słusznej syntezy politycznej, nawet gdyby dochodziło i do niesłusznych częściowo wywodów krytycznych. Należy jednak nie tylko potępić, ale i bezwzględnie odrzucić postawę negującą i przekreślającą to, co niezmiernie cenne w przeszłości, z której wyrastają korzenie rzeczy nowych, które dziś dojrzewają na naszą korzyść a także tych, których nie potrafimy może jeszcze dostrzec i dobrze zrozumieć. Jest to tym bardziej niezbędne, że sposob, nie we wszystkich do przyjęcia, nie zupełnie słuszny, w jaki krytyki w stosunku do Stalina zostały dokonane i doprowadzone do wiadomości towarzyszy, nie mógł nie dać podstawy do pojawienia się niebezpiecznej tendencji do kry-

tyki negującej i przekreślającej wszystko i wszystkich. Taka krytyka żadnej jeszcze partii nie przyniosła pożytku. Należy potępić defetyzm, potępić niepoważne krytykowanie przez tych, którzy wykazali niezrozumienie istoty naszej polityki i naszej działalności. Niech krytyka będzie taka, jaka być powinna, to jest coraz lepszym rozumieniem spraw przeszłości i spraw obecnych, poprawą, a nie niszczeniem, źródłem większego męstwa, nie zaś rozterki, a zwłaszcza niewnoszeniem do naszych szeregów brudów, które rozrzuca wróg; niech będzie rozsądną odpowiedzią na oszczerstwa wroga, pełną świadomości naszej jedności i naszej siły“.

a. b.

Rzemiosło i przemysł prywatny w okresie Planu 6-letniego

W pierwszych latach Planu 6-letniego nastąpił znaczny spadek liczby warsztatów rzemieślniczych. W 1950 r. w stosunku do analogicznych danych z 1949 r. liczba warsztatów zmniejszyła się o 20,7%, a stan zatrudnienia — o 34,2%.

Do spadku liczby warsztatów rzemieślniczych przyczyniło się między innymi rozgraniczenie rzemiosła od przemysłu (okólnik przewodniczącego PKPG w sprawie rozgraniczenia przemysłu fabrycznego i rzemieślniczego — Monitor Polski z 1949 r. nr A-86, poz. 1067).

Na podstawie tego okólnika, dotychczasowe zakłady rzemieślnicze, które miały charakter zakładów przemysłowych, zostały zaliczone do przemysłu i odwrotnie — zakłady przemysłowe nie zatrudniające siły najemnej, a wykonujące określoną działalność rzemieślniczą, zaliczone zostały do rzemiosła.

W następnych latach spadek ten nie jest już tak jaskrawy i wynosi dla roku 1951 — 6,1% warsztatów i 13,1% zatrudnienia. W 1952 roku liczba warsztatów podniosła się nieznacznie (o 0,6%), lecz zatrudnienie zmniejszyło się o 4,1% w stosunku do roku poprzedniego. W 1953 r. liczba warsztatów obniżyła się w porównaniu z rokiem poprzednim o 6,9%, a zatrudnienie o 6,5%.

Zakłady i zatrudnienie w rzemiośle prywatnym w latach 1950 i 1955

Grupy rzemiosł		Liczba zakładów	Zatrudnieni w zakładach			
			ogółem	właściciele, współwłaściciele i członkowie rodzin	najemni	
					razem	w tym uczniowie
O g ó ł e m	1950	92774	157765	104734	53031	20942
	1955	89627	129571	94915	34656	17391
Grupa:						
budowlana i mineralna	1950	6329	13789	7189	6600	1188
	1955	6674	11147	7001	4146	1295
metalowa i elektrotechniczna	1950	16953	29049	18890	10159	4547
	1955	22594	32662	23739	8923	5058
drzewna	1950	8833	15548	9801	5747	2704
	1955	10389	16168	10866	5302	3488
poligraficzno-papiernicza	1950	2141	3504	2511	993	307
	1955	2388	3244	2622	622	290
skórzana	1950	18513	24193	19337	4856	2317
	1955	14264	16846	14557	2289	1181
włókiennicza	1950	26020	39978	27483	12495	7411
	1955	23347	30564	23914	6650	4666
piekarzy i cukierników	1950	5533	14616	8410	6206	1032
	1955	3203	7253	4335	2718	504
rzeźników i wędliniarzy	1950	2354	5085	3923	1162	311
	1955	141	225	192	33	9
fryzjerów	1950	4466	8806	5176	3630	1077
	1955	3835	7204	4404	2800	866
instrumentarzy muz. i galanter.	1950	1632	3197	2014	1183	48
	1955	2792	4253	3065	1173	94

Zakłady i zatrudnienie w rzemiośle prywatnym w województwach

Województwa		Liczba zakładów	Zatrudnieni w zakładach			
			ogółem	właściciele, współwłaściciele i członkowie rodzin	najemni	
					razem	w tym uczniowie
M. st. Warszawa	1950	5694	12603	6859	5744	939
	1955	6352	11099	6820	4279	855
Warszawskie	1950	8799	12407	9762	2645	958
	1955	8546	10836	8964	1872	773
Bydgoskie	1950	8243	13253	9028	4225	2211
	1955	7417	10312	7716	2596	1639
Poznańskie	1950	13891	25806	15713	10093	4307
	1955	12389	19314	13136	6178	3527
M. Łódź	1950	3843	7567	4476	3091	759
	1955	2948	4792	3203	1589	451
Łódzkie	1950	5712	8467	6396	2071	1068
	1955	5451	6883	5704	1179	681
Kieleckie	1950	3314	5599	3748	1851	798
	1955	3117	4574	3461	1113	524
Lubelskie	1950	3523	4807	3821	986	440
	1955	4461	5108	4568	540	261
Białostockie	1950	2760	3761	2831	420	244
	1955	3381	3709	3444	265	219
Olsztyńskie	1950	2083	2841	2226	605	405
	1955	2215	2780	2276	504	432
Gdańskie	1950	3167	5659	3580	2079	904
	1955	3453	5404	3648	1756	942
Koszalińskie	1950	1214	1749	1337	412	209
	1955	1223	1596	1293	303	171
Szczecińskie	1950	1162	1847	1343	504	156
	1955	1278	1846	1339	507	191
Zielonogórskie	1950	1850	2393	1826	567	215
	1955	1398	1692	1422	270	151
Wrocławskie	1950	4185	6546	4618	1928	603
	1955	3311	4344	3518	826	310
Opolskie	1950	3001	4764	3345	1419	762
	1955	2917	4506	3169	1337	1014
Śalinnogrodzkie	1950	9993	20289	12244	8045	2943
	1955	9294	15675	10189	5486	2971
Krakowskie	1950	7706	12630	8539	5091	2277
	1955	7315	10911	7762	3149	1615
Rzeszowskie	1950	2825	4277	3032	1245	744
	1955	3161	4190	3283	907	664

W ostatnich dwóch latach okresu Planu 6-letniego nastąpiła pewna poprawa ilościowego stanu rzemiosła. W 1954 r. liczba warsztatów zwiększyła się o 7,7%, a zatrudnionych o 8,4%; w 1955 r. wzrost liczby warsztatów wynosił 2,0% w stosunku do analogicznych danych z 1954 r., lecz liczba zatrudnionych obniżyła się o 2,7%.

Na wzrost liczby warsztatów rzemieślniczych w ostatnich dwóch latach wpłynęła zmiana polityki państwa w stosunku do rzemiosła, jaka nastąpiła po II Zjeździe PZPR i III Plenum KC PZPR. Ubytek prywatnych zakładów rzemieślniczych rekompensuje w pewnym stopniu rozwój rzemiosła uspołecznionego. Rozwój ten nie jest jednak zadowalający, gdyż nie wszyscy rzemieślnicy, którzy zlikwidowali swoje warsztaty, przeszli do pracy w spółdzielczości, wielu znalazło zatrudnienie w innych zawodach, np. przemyśle socjalistycznym.

Natomiast przemysł prywatny wykazuje w okresie Planu 6-letniego znacznie większy niż rzemiosło prywatne spadek zarówno liczby zakładów, jak i stanu zatrudnienia. W roku 1955 liczba zakładów w przemyśle prywatnym była o 60,4%, a liczba zatrudnionych o 87,2%, niższa niż w 1949 r. Liczba pracowników najemnych obniżyła się o 92,3%. Uwzględnić tu jednak trzeba, że w tym okresie znaczna część zakładów tego przemysłu przeszła pod zarząd państwowy.

Zakłady usługowe podległe Centralnemu Związkowi Spółdzielczości Pracy
(Stan w dniu 31.XII.1955 r.)

Grupy rzemiosł	Liczba zakładów usługowych	Zatrudnienie
O g ó ł e m	32376	66740
Grupa:		
budowlana i mineralna	6194	8427
metalowa i elektrotechniczna	5690	21517
drzewna	2621	3659
poligraficzno - papiernicza	291	1880
skórzana	7891	15118
włókiennicza	6629	3985
fryzjerów (łącznie z kosmetyką)	2869	11348
instrumentów muzycznych i galant.	191	806

Zakłady usługowe podległe Centralnemu Związkowi Spółdzielczości Pracy
według województw

(Stan w dniu 31.XII.1955 r.)

M. st. Warszawa	1370	5583
Warszawskie	1670	3083
Bydgoskie	2174	4179
Poznańskie	2262	5205
M. Łódź	1113	3162
Łódzkie	2195	2651
Kieleckie	1465	3105
Lubelskie	1320	2848
Białostockie	1271	1266
Olsztyńskie	956	1753
Gdańskie	1168	3973
Koszalińskie	1242	2107
Szczecińskie	1031	1837
Zielonogórskie	931	2050
Wrocławskie	4007	7113
Opolskie	1089	2559
Stalinogrodzkie	2983	6546
Krakowskie	2004	5558
Rzeszowskie	2125	2172

Zakłady i zatrudnienie w przemyśle prywatnym w latach 1950 i 1955

Gałęzie przemysłu		Liczba zakładów	Zatrudnieni w zakładach			
			ogółem	pracownicy najemni		właściciele, współwłaściciele i członkowie rodzin
				razem	w tym robotnicy	
O g ó ł e m	1950	8606	62387	36776	32433	25611
	1955	4174	11103	5028	4114	6075
Przemysł materiałów budowlanych i mineralnych	1950	189	8403	6696	6075	1707
	1955	99	689	451	368	238
Przemysł metalowy i elektrotechniczny	1950	232	5854	4687	4028	1167
	1955	183	1007	830	648	177
Przemysł chemiczny i gumowy	1950	465	5509	4105	3235	1404
	1955	172	1048	846	568	202
Przemysł papierniczy i poligraficzny	1950	26	1048	846	758	202
	1955	7	66	60	43	6
Przemysł skórzano-obuwniczy i odzieżowy	1950	534	1948	1218	1064	730
	1955	98	325	212	178	113
Przemysł drzewny	1950	654	4934	2419	2108	2515
	1955	416	1318	585	534	733
Przemysł spożywczy	1950	6377	28740	11496	10176	17244
	1955	3087	5692	1185	1072	4507
Inne gałęzie przemysłu	1950	129	5951	5309	4989	642
	1955	112	958	859	703	99

Zakłady i zatrudnienie w przemyśle prywatnym w województwach

Województwa		Liczba zakładów	Zatrudnieni w zakładach	
			ogółem	w tym: właściciele, współwłaściciele i członkowie rodzin
O g ó ł e m	1950	8606	62387	25611
	1955	4174	11103	6075
M. st. Warszawa	1950	293	9545	615
	1955	140	1576	134
Warszawskie	1950	1325	7986	4123
	1955	641	1683	1148
Bydgoskie	1950	336	1684	973
	1955	162	379	267
Poznańskie	1950	1007	6114	2356
	1955	488	1115	565
M. Łódź	1950	52	561	128
	1955	27	99	30
Łódzkie	1950	628	3057	1665
	1955	304	605	417
Kieleckie	1950	904	5428	3304
	1955	458	900	727
Lubelskie	1950	955	5490	3611
	1955	463	1009	842
Białostockie	1950	430	1560	1127
	1955	207	261	247

Województwa		Liczba zakładów	Zatrudnieni w zakładach	
			ogółem	w tym: właściciele, współwłaściciele i członkowie rodzin
Olsztyńskie	1950	95	436	256
	1955	48	72	56
Gdańskie	1950	189	2807	564
	1955	90	470	123
Koszalińskie	1950	77	250	179
	1955	37	42	42
Szczecińskie	1950	17	187	51
	1955	9	26	13
Zielonogórskie	1950	26	125	51
	1955	13	17	12
Wrocławskie	1950	155	749	435
	1955	76	128	93
Opolskie	1950	198	1061	564
	1955	95	179	125
Stalinogrodzkie	1950	465	5490	1332
	1955	227	907	295
Krakowskie	1950	1136	8048	3278
	1955	553	1339	718
Rzeszowskie	1950	318	1809	999
	1955	156	296	221

Opracowanie GUS

RECENZJE I BIBLIOGRAFIA

JAN GURANOWSKI

Nad wolterowskim „Traktatem o tolerancji”

W roku bieżącym na półkach księgarskich pojawiła się książka Woltera „Traktat o tolerancji”. *) Dzieło to w latach sześćdziesiątych XVIII stulecia pisał siedemdziesięcioletni już prawie wówczas Wolter. Jest to utwór publicystyczny, po wolterowsku namiętny i gwałtowny, który żądając sprawiedliwości w konkretnej sprawie — rehabilitacji niewinnie skazanego człowieka — poddaje w rzeczywistości osądowi opinii publicznej swoją epokę, jej instytucje, jej moralność.

Rzecz niewątpliwa, sam wielki pisarz nie zdawał sobie sprawy z eksploatującej siły własnego słowa. On — który w obliczu zbrodni „dewotów”, kierowanych ręką fanatycznych i ciemnych mnichów, odwołuje się do oświeconego rozumu monarchów i poczucia ludzkości wolnomyślnych arystokratów, jakże daleki od rewolucyjnych i burzycielskich myśli, z trwogą obserwujący rosnące wzburzenie plebejskiego „tłumu” — czyż mógł przypuszczać, że jego dzieło adresowane do utytułowanych liberyńskich przyjaciół, do „osób wpływowych”, do królów i carycy — będzie jednym z tych, które rozżarzą do czerwoności żagiew ludowego gniewu, tę samą, która w niecałych lat 30 później będzie płonąć w sercach patriotów szturmujących Bastylę.

„Traktat o tolerancji” miał być obroną pamięci człowieka zamordowanego i obroną innych, którym groził i mógł grozić jego los. Obrażony rozum i porzucie człowieczeństwa miały domagać się w tym dziele od ludzi rządzących państwem okiełznania ciemnych sił fanatyzmu, które przygotowują w „wieku filozofii” nowe noce świętego Bartłomieja. Ale dzieło, poczęte z kołatania do oświeconych rozumów władców i możnych, przerosło ramy owego zamierzenia. Obrona pamięci Jana Calasa i dobrego imienia nieszczęśliwych Sirvenów rozrasta się w gwałtowny nurt społecznego oskarżenia; podnosi głos już nie tylko przeciw łamaniom kołem i stosom, rozpalanym przez fanatyzm, ale przeciw systemowi, którego są one praktyką.

* * *

Sędziwy kupiec tuluzjański, Jan Calas, został oskarżony o zamordowanie swego syna Marka, którego zeszytniałego trupa wiszącego na drzwiach odkryła pewnego wieczoru rodzina Calasów. Było to samobój-

*) Wolter — „Traktat o tolerancji napisany z powodu śmierci Jana Calasa”. PIW, Warszawa 1956,

stwo albo mord rabunkowy — rzecz nigdy nie została wyjaśniona. Ale sędziowie tuluzjańscy byli innego zdania — uznali za możliwe, by schorowany starzec zamordował młodego i silnego mężczyznę — i to w sposób wymagający od mordercy szczególnie wielkiej siły. Jediną okolicznością, która miała rzekomo obciążać Jana Calasa, była... jego przynależność do kościoła kalwińskiego. Według zaś prowokacyjnych rewelacji rozgłaszanych przez mnichów i dewotów religii kalwińska nakazuje ojcom zabijanie dzieci, które przechodzą na katolicyzm. Wywnioskowano stąd — bez najmniejszych podstaw — że młody Calas zamierzał przejść na katolicyzm i że wobec tego został zamordowany przez ojca z pobudek religijnych. 9 marca 1762 r. starzec został z wyroku sądu poddany okrutnym torturom, w trakcie których zmarł.

O tragicznym zgonie Jana Calasa dowiedział się wkrótce Wolter, który przebywał wówczas w swojej rezydencji w Ferney. Wstrząśnięty okolicznościami, które towarzyszyły jawnej „omyłce sądowej“, rozwijał Wolter gorączkową działalność w obronie pamięci niewinnie zgładzonego. Jej bezpośrednim celem jest przywrócenie pełni czci i praw obywatelskich pozostałym przy życiu członkom rodziny Calasów — wdowie i skazanemu na wygnanie synowi Piotrowi.

Z Ferney płynie potok listów, adresowanych do najwybitniejszych ludzi Francji, do wszystkich stolic europejskich. W krótkim czasie — w owym wieku, który nie znał radia, telefonu i telegrafu — zostaje zaalarmowana przez jednego człowieka opinia publiczna oświeconej Europy. Wolterowska korespondencja dociera do wszystkich bez mała panujących. Jednocześnie pisarz pozyskuje dla sprawy rehabilitacji Calasa najwybitniejszych przedstawicieli palestry paryskiej. Interesuje się osobiście losem wdowy i syna, organizuje zbiórkę pieniężną na ich rzecz, gości młodego wygnańca w swoim zamku w Ferney.

W tym samym prawie czasie co i proces Calasa dochodzi Woltera, tym razem z północy Francji, nowa tragiczna wieść o nieszczęściu, jakie spotkało z ręki katolickich fanatyków protestancką rodzinę mieszczańską Sirvenów. Córka Sirvenów, młoda dziewczyna, została uprowadzona przemocą do katolickiego klasztoru, gdzie usiłowano okrutnymi metodami zmusić ją do przyjęcia wiary katolickiej. Determinacja ojca, który gwałtownie protestował u świeckich i duchownych władz przeciw temu przestępstwu, wyrwała córkę z więzienia klasztornego. Jednakże po jej powrocie do domu zauważono w zachowaniu dziewczyny objawy choroby umysłowej; wkrótce po przybyciu zniknęła bez śladu i dopiero po paru dniach znaleziono jej trupą na dnie nie używanej od dawna studni. To tragiczne odkrycie uświadomiło protestanckiej rodzinie śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie grozi jej z rąk miejscowych klerykałów — zdecydowała się więc na natychmiastową ucieczkę do protestanckiej Szwajcarii. I istotnie wkrótce po ucieczce rodziny wszczęto proces zabójczy, w toku którego, bez żadnych nawet pozorów przeprowadzenia dochodzenia, uznano Sirvenów za winnych morderstwa z pobudek religijnych, przyjmując kłamliwą wersję o dobrowolnym przejściu ich córki na katolicyzm. Wobec nieobecności Sirvenów, skazanych na tortury i śmierć, wyrok wykonano na kuklach.

Wielki pisarz szuka odpowiedzi, kto i w imię czego kieruje stronnictwem i niesprawiedliwym sądem, obskurantką propagandą nienawiści, histerią religijnego motłochu. I — w olśnieniu, które przenikliwym wzrokiem dostrzega więcej niż zdoła zrozumieć — Wolter przekracza ramy widzenia, które zakresliła mu epoka, i porzucając jak gdyby oświeceniowy schemat walki rozumu z fanatyzmem, szuka głębszych przyczyn krwawego widowiska, jakie ogląda współczesność. Okazuje się w genialnych błyskach myśli, że owa ludobójcza ciemnota fanatyzmu jest tylko narzędziem w ręku sił wyższego kręgu. Że zbrodnia zrodzona w obskurantkim zaślepieniu jest tylko ogniwem przemyślanego planu strategicznego, wypracowanego w sztabie reakcji politycznej. I aczkolwiek słowo to nie padnie w „Traktacie“, nikt, kto dziś czyta to dzieło, nie może wątpić, że zbrodnicy czy system penitencjarny, którego ofiara padł Jan Calas, jest bronią sił reakcji społecznej w jej walce o zachowanie starej, feudalnej Francji, że ta pomyłka sądowa nabiera posępnych barw przemyślanej prowokacji, że wreszcie owa prowokacja staje się — w warunkach organizowanej z góry „wściekłej fanatyzmu“ — główną bronią polityczną przeciw siłom postępu.



Oświeceniowy antyklerykalizm, dopatrujący się źródeł wszelkiego zła społecznego w „przesądzie“, niewątpliwie w pewnej mierze zamazuje rolę „czynnika świeckiego“ w inkwizytorskich rozprawach z „heretykami“. Sukces Woltera i innych obrońców sprawy Calasa — rewizja tuluzjańskiego wyroku i rehabilitacja zamordowanego starca przez Radę Królewską w trzy lata po procesie — mógł dalej ludzi wielkiego pisarza co do roli monarchii w ofensywie reakcji katolickiej. W rzeczywistości, mimo pewnych tarć między klerem, królem, zakonami i parlamentami — okoliczności, którym, być może, zawdzięczała obrona pamięci Calasa swój względnie łatwy sukces — zasadnicza jedność linii politycznej sił starego społeczeństwa ujawniła się szczególnie ostro w innej sprawie, w której Wolter również gorąco interweniował: 19-letni La Barre został skazany na tortury i spalenie na stosie za to, iż nie zdjął czapki przed procesją. Z poduszczenia miejscowego biskupa wyrok ten wydał parlament Abbeville, a król, który osobiście interesował się śledztwem, poparł swym autorytetem jego okrutną sentencję. Działo się to w tym samym 1765 roku, kiedy Rada Królewska rehabilitowała Calasa!

Ale — z drugiej strony — owo obciążenie pełnią odpowiedzialności politycznej za dokonane zbrodnie biskupów i prałatów oraz wielotysięcznego mrowia mnichów, wyłączne prawie skupienie uwagi na działalności Kościoła — jakże jest usprawiedliwione przez rzeczywisty obraz ówczesnej historii Francji. Kler bowiem, świecki i w większej jeszcze mierze zakonny, znajdował się w czołowie sił ówczesnej reakcji, dostarczając rozkładającemu się reżymowi niezliczonej armii kaznodziejów-apologetów starego porządku, szerzycieli ducha uległej i pokornej ciemnoty, prowokatorów fanatycznych rozpraw z heretykami i bezbożnikami — nieprzyjaciółmi oficjalnej religii i prawowitej monarchii.

Ideologia kościoła, głoszona w listach biskupich, z ambon, piórami klerkalnych autorów — takich np., jak cytowany przez Woltera ksiądz glo-

rylikujący noc świętego Bartłomieja i nawołujący otwarcie do pogromów na tle wyznaniowym — była sztandarem najbardziej zacietrzewionej i nie-tolerancyjnej reakcji feudalnej, która w czasach „Traktatu” przystępowała do nowej inkwizytorskiej ofensywy. Dlatego też Wolter nie ogranicza się do piętnowania poszczególnych wystąpień i knoń. Sęga on głębiej atakując ideologiczne podstawy klerykałizmu, obnażając jego anty-humanistyczną treść i jego ponurą historię. Już sam fakt powtarzania naiwnych bajek, legend, opisów cudów itp. wymyślonych w zamierzonych mrokach historii odczuwa Wolter jako obelgę wobec oświeconego rozumu. A. cóż dopiero jeśli owe bajki i legendy wbija się siłą w głowy ludzkie w wieku wybitnych postępów nauki i filozofii, jeśli karze się surowo odstępstwa od obowiązującej wersji teologicznych „nauk”, przesładuje okrutnie więzieniami, torturami i stosem swobodna myśl ludzką, ducha nauki i oświecenia, ducha postępu i ludzkości? Cóż dopiero, jeśli szaleństwo fanatyków podjudza jednych obywateli państwa przeciw drugim, organizuje masakry, wyludnia całe okolice, dezorganizuje życie publiczne, handel, przekreśla dobrobyt — i wszystko w tym celu, by zapewnić niedorzecznymi dogmatami niepodzielną władzę nad umysłami, z której korzyści czerpią jedynie obskuranci.

* *

*

Jest w „Traktacie o tolerancji” kilka rodzajów spraw splatających się ściśle ze sobą, ale i wyróżnionych ostrymi cięciami pióra w huraganowym ataku wolterowskiej prozy publicystycznej.

Pierwsza jest sprawa człowieka, jednostki ludzkiej, której swobodny i nieskrępowany rozwój, bezpieczeństwo, nienaruszalność mienia, poszanowanie osobistych poglądów i wierzeń powinny być zagwarantowane przez prawa i instytucje rozumnie urządzonego społeczeństwa. Sprawa Człowieka, pisanego przez epokę nadciągającej rewolucji burżuazyjnej, przez jej prekursorów i zwiastunów z dużej litery, to sztandar antyfeudalnych rewindykacji wieku Oświecenia. W pełnym blasku swojej politycznej niewinności, nie skażona jeszcze praktyką swojej klasowej władzy, nie przeczuwająca nawet jeszcze rzeczywistej treści swego ogólnoludzkiego patosu — postępową myśl burżuazyjna epoki poprzedzającej rewolucję przeniknięta jest szczerą troską o szczęście człowieka bez tytułów i zaszczytów, ale nie feudalnego próżniaka, człowieka „uczciwej pracy”: rzemieślnika i rolnika, negocjanta, bankiera i kupca.

I dlatego, gdy prawa i instytucje starego porządku rzucają złowrogi cień na osobiste życie jednostki, gdy fanatyzm i przesąd zagrażają jej szczęściu, gdy dzieje się krzywda, gdy dokonuje się zbrodnia — podnosi się natychmiast oskarżycielski głos ideologów młodej klasy, która w owym wieku jest szczerym, pełnym entuzjazmu orędownikiem tolerancji i ludzkości.

W „Traktacie o tolerancji” wiek Oświecenia sławi świetnym piórem Woltera filozofię, „która zasadza się na odrazie do zabobonu i na owej powszechnej miłości, zalecanej przez Cyserona, owej *charitas humani generis*, miłości, której imię przywłaszczyła sobie teologia, jakby to była tylko jej wyłączna własność, ale którą aż nazbyt często ogółalała z wszelkiej treści, miłości, umiłowania rodzaju ludzkiego, tej cnocie zapoznanej przez

oszustów i pedantów, o zanadru wypełnionym argumentami i żadnych prześladowań fanatyków“ („Traktat“, str. 272).

Filozofia ta — w obliczu nowego ataku reakcji — nie może już dalej ograniczać się do deklaracji i manifestów. I właśnie Wolter — sztandarowa postać swojego wieku — przerzuca pomost pomiędzy humanistyczną myślą a humanistycznym działaniem. „Skłonnością filozofa — pisze — jest nie użalanie się nad nieszczęśliwymi, lecz służenie im“.

Słowa te padają w związku ze sprawą Calasa.

Ale „sprawa Calasa“, „sprawa Sirvena“ — to nie tylko krzyczące akty bezprawia, fanatyzmu i nietolerancji, skierowane przeciw poszczególnym ludziom. Inny co prawda pisarz polityczny tego wieku głosił, że państwo, w którym chociażby jeden człowiek pada ofiarą bezprawia, jest państwem, w którym zagrożona jest wolność wszystkich obywateli — ale pod tym wyznaniem wiary epoki mógłby się podpisać przecież i Wolter, który w „Traktacie o tolerancji“ wypowiada te oto słowa: „Jeżeli oskarżony nie ma na swą obronę nic prócz swej cnoty, jeśli mordujący go sędziowie... mogą bezkarnie zabijać swym wyrokiem, wtedy podnosi się krzyk powszechny, każdy lęka się o samego siebie, (...) nikt nie jest już pewny swego życia przed trybunałem powołanym do czuwania nad życiem obywateli i wszystkie głosy łączą się w jednym wołaniu o zemstę“ (str. 15).

Nikt nie był już pewny swego życia w owej połowie XVIII wieku, kiedy najbardziej reakcyjne siły starego społeczeństwa połączyły się w walce przeciw potężnemu nurtowi postępowej myśli, który właśnie wówczas w dziele Encyklopedii, w pracach Woltera, Diderota, Holbacha, Rousseau i całej plejady wybitnych i mniej wybitnych, ale zawsze odważnych, krytycznych i ofensywnych pisarzy, osiągał swoje szczytowe wzniesienie.

I co najgroźniejsze dla starej feudalnej Francji — myśl buntownicza, drwiąca z oficjalnych świętości i strącająca je z piedestału, myśl niosąca nowe treści ideologiczne, polityczne i społeczne poczęła już stopniowo przenikać z oświeconych salonów na ulicę.

Już przecież niedługo, a w naelektryzowanej atmosferze zbliżającej się burzy poczną przywódcy ludowi cytować całymi stronami książki, których treść dostarcza gotowych formuł ideologicznych rewolucyjnemu działaniu żywiołu...

Toteż riposta jest wściekła. Mnożą się prześladowania pisarzy, biczowanie i palenie ich dzieł (jak np. Słownika filozoficznego Woltera), więzienie i torturowanie ich czytelników. 19-letni La Barre ginie na stosie nie tylko jako rzekomy profanator krzyża i bluźnierca nie odsłaniający głowy na widok procesji, ale i jako posiadacz bezbożnej i wywrotowej literatury, którą wykrywa w jego domu rewizja.

Dogmat religijny jest cementem spajającym chwiejący się gmach feudalizmu, więc obrona dogmatu staje się w tych czasach państwową racją stanu. Literatura klerykalna, obfita, napastliwa, wojująca, woła wielkim głosem o rozprawę z heretykami.

I dlatego, kiedy w nadgranicznym Ferney dowiaduje się Wolter o losach Calasa, on, który jak czuły sejsmograf notuje od lat wszelkie poruszenia klerykalnej reakcji, wie już: oto nadszedł moment, oto siły fanatyzmu, którym marzy się od dawna nowa rozprawa z heretykami, wkraczają na drogę najgroźniejszą — na drogę prowokacji.

Jak zwykle w aluzyjnej literaturze walczącej owych czasów, najostrzejsze słowa i najgwałtowniejsze oskarżenia nie zostają explicite sformuło-

wane: niech je dopowie czytelnik. Ale opisując realia, oddając klimat, w którym rodzi się owa polityczna zbrodnia, pisarz doprowadza do takich właśnie, a nie innych dopowiedzeń.

Oto Tuluza ma obchodzić święto — rocznicę rzezi hugenotów. Kler rozpala fanatyzm ciemnego tłumu mrozącymi krew w żyłach wieściami o zbrodniach heretyków. Ci wrogowie wiary rzymskiej gotowi są zabijać swe dzieci, jeśli one chciałyby ją przyjąć. Tak im nakazuje ich kacerska wiara. Święto przygotowuje się od dawna. Będzie procesja i fajerwerki...

I oto okazuje się, że w domu starego protestanta znajdują trupa jego syna. Cóż za gratka! „Mówiono publicznie, że szafot, na którym Calasowie zostaną połamani kołem, będzie największą ozdobą święta, mówiono, że sama Opatrzność sprowadziła te ofiary, aby zostały złożone naszej świętej religii“ (str. 20).

Tak więc miejsce, jakie z góry wyznaczono „sprawie Calasa“ w świadomym rozpętaniu masowej hysterii, przesądza o losie starca, zanim zapoznano się ze szczegółami „sprawy“. Jest protestantem. Protestanci gotowi są mordować własne dzieci, gdy te przechodzą na świętą wiarę rzymską. Jeśli więc w domu Calasa znaleziono trupa jego syna, dwa wnioski są tu niewątpliwe:

- 1) że młody Calas chciał przyjąć katolicyzm,
- 2) że dlatego zamordował go ojciec.

Wolter opisuje drobiazgowo, jak zbrodnicza ręka duchownych reżyserów podsycala tę zbiorową histerię. Zanim jeszcze jakiekolwiek śledztwo zostało ukończone, ogłasza się zamordowanego Calasa jako kogoś w rodzaju katolickiego męczennika:

„Biali bracia odprawili przy Marku Antonim Calasie nabożeństwo uroczyste, jak przy ciele męczennika. Nigdy kościół nie obchodził święta prawdziwego męczennika z większą okazałością, ale ta okazałość była straszna. Ponad katafalkiem postawiono szkielet, który wprowadzono w ruch i który wyobrażał Marka Antoniego Calasa trzymającego w jednej ręce palmę, a w drugiej pióro. Miał nim podpisać wyrzeczenie się herezji, ale w rzeczywistości pisał nim wyrok na swego ojca“ (str. 19).

Proces się toczy, a w zespole sędziowskim trwa dyskusja co do Calasa. Ale opętane przez kler miasto ma już swoje zdanie: Czyż przy grobie zamordowanego nie dzieją się cuda, czyż więc samo niebo nie potwierdza niejako oskarżeń podszeptowanych tłumowi przez podżegaczy. I oto:

„Wszystek lud uważał go za świętego. Jedni wzywali jego imienia, drudzy chodzili się modlić na jego grób, inni wołali o cuda, a jeszcze inni opowiadali o cudach, które uczynił“ (tamże).

— Gdy więc „lud sam woła“ o śmierć dla starego Calasa, a Bóg świadectwami swej łaski pielgrzymującym do trumny „jego ofiary“ daje owej „woli ludu“ najwyższą swą sankcję — czyż można się dziwić, że w warunkach potwornego nacisku klerykalnego obskurantyzmu na sąd ci spośród sędziów, którzy bronili Calasa, musieli skapitulować przed większością, w której rej wodzili zakonnicy.

Wszystko w tej zbrodni politycznej świadczy o tym, że popełniono ją z premedytacją, że była ona ogniwem w daleko zakrojonej akcji ujarzmnienia społeczeństwa przez wojujący klerykalizm. Ów list „pewnego beneficjanta do jezuity Le Telliera“, w którym ten pierwszy proponuje środki celem eksterminacji wszystkich nieprawowiernych — świetny pamflet wolterowski — ukazuje w satyrycznej formie ostateczne konsekwencje

fali zezwierżenia, którą podnoszą podobne procesy. I jeśli Wolter osłabia dla pozorów ton swego oskarżenia mówiąc o „niepojętych motywach wyroku“, o „omyłce sądowej“, to parę wierszy dalej udowadnia w sposób nie budzący wątpliwości, iż sędziowie tuluzjańscy nie mogli nie zdawać sobie sprawy, że sądzą niewinnego.

I bezlitośnie obnażając cały mechanizm tego procesu pisze słowa smagające biczem, słowa, których odmierzone szyderstwo rozświetla jak błyskawica cały ów system sprawiedliwości, którego sędziowie tuluzjańscy są jedynie częścią:

„Wielu ludzi, których nazywa się we Francji dewotami, mówiło głośno, że lepiej połamać kołem starego, niewinnego kalwinistę niż narazić cśmiu radnych langwedockich, aby musieli przyznać, że się omylili. Posługiwano się nawet takim określeniem: «Więcej jest sędziów niż Calasów» i wyciągano z tego wniosek, że rodzinę Calasów winno się poświęcić w imię czci sądownictwa“ (str. 26).

* * *

Wraz z wolterowskim „Traktatem o tolerancji“ racjonalistyczna filozofia XVIII wieku, filozofia, która chce uczynić „ziemię bardziej urodzajną, a ludzi szczęśliwsi“, przechodzi od ogólnych deklaracji do konkretnej walki politycznej, atakując już nie tylko ideologiczne podstawy starego społeczeństwa, ale i działalność określonych instytucji feudalnych, stając w obronie ludzi dotkniętych przez ich niesprawiedliwość.

Ale zarazem bitwa wydana reakcji na kartach „Traktatu“ jest dla Woltera, jak bardzo by nie był zainteresowany jej doraźnym rezultatem, jedynie fragmentem wielkiej kampanii, którą na czele postępowych pisarzy swojego wieku prowadzi już od z górą ćwierćwiecza.

Dlatego „Traktat o tolerancji“ — publicystyczne dzieło zrodzone w ogniu walki politycznej, której celem jest powstrzymanie fali prześladowań protestantów — jest zarazem dziełem, w którym filozof powtarza raz jeszcze swoje credo, tak dobrze znane czytelnikom jego dialogów, pogawędek i powiastek filozoficznych. Wysoka temperatura walki politycznej nadaje temu credo ostrość zabójczej broni wymierzonej przeciw feudałno-kłerykalnej Francji. Mistrz satyry, zjadliwej aluzji, ukrytego szyderstwa w tej książce, jak w żadnej innej, rezygnuje często z błyskotliwych efektów swego niedoścignionego kunsztu, by wręcz, bez ornamentów i dwuznaczników, walić na stół najcięższe argumenty, grzmieć i oskarżać. To już nie wytwórny poeta, dowcipny i gładki światowiec, bożyszcze intelektualnej elity, ów de Voltaire zamykający w czasie filozoficznej biesiady drzwi do kuchni, by prostacka służba nie usłyszała kpin z rzeczy, które powinna otaczać szacunkiem. W pasji obrony Calasa, w owej — jak ją nazywali jego wrogowie — wolterowskiej furii, poznajemy człowieka kipiącego namiętnościami politycznymi, tego samego Woltera, który rokrocznie dostaje gorączki w rocznicę nocy świętego Bartłomieja, na samo jej wspomnienie, które pali go nie słabnącym wstydem, bólem i oburzeniem. Zbyt konserwatywny, by odwoływać się do ludowego gniewu, by mobilizować ten gniew do rozprawy z mordercami Calasów — Wolter, autor „Traktatu“, chce zarazem, by słuchali go wszyscy, by powszechne poruszenie umysłów zmusiło reakcję do odwrotu.

W „Traktacie o tolerancji“ nowa filozofia wychodzi na wielki masowy wiec i przemawiając prostym językiem, opisując odrażające praktyki fanatyzmu domaga się uznania swoich zasad i potępienia zasad jej wrogów, których demaskuje jako wrogów ludzkości.

„Traktat o tolerancji“ — to manifest burżuazyjnego racjonalizmu w jego bojowej antyteologicznej osiemnastowiecznej postaci, z jego humanistyczną żarliwością tak charakterystyczną dla epoki — zawartej pomiędzy dwoma rewolucyjnymi faktami: publikacją Wielkiej encyklopedii i ogłoszeniem Deklaracji praw człowieka i obywatela.

Dzieło to przepojone jest wiarą młodej myśli burżuazyjnej w możliwość lepszego urządzenia świata, by zapewnić człowiekowi maksimum wolności i osobistego szczęścia.

Znak równania, postawiony między wolnością człowieka a jego szczęściem, jest wyzwaniem rzuconym przez „Traktat“ pod adresem feudalnego systemu społecznego, który w dziedzinie ideologicznej oznaczał despotyzm „prawd“ uznanych i opatrzonych pieczęcią prawomyślności przez najwyższe instancje rządzące społeczeństwem.

Im mniej pewnie też czuły się one w siódle, tym zacieklej prześladowały wszelką myśl krytyczną wobec panującej dogmatycznej bezmyślności. W atmosferze reakcyjnej hysterii początku lat sześćdziesiątych wielotyśięczna armia donosicielska w habitach i sutannach poczęła odkrywać wszędzie heretyków oraz odszczepieńców i rozwijać pod auspicjami oficjalnych koryfeuszy urzędowej mądrości złotą zasadę stwierdzającą, że kto heretyk i bezbożnik, ten niewątpliwie i zbrodniarz. Uznanie tej zasady przez feudalny aparat sprawiedliwości dostarczało pracy katom i palaczom. Uczynienie jej założeniem polityki państwowej rodziło akty ustawodawcze i praktykę polityczną, oparte na dyskryminacji nieprawomyślnych, pozbawieniu praw protestantów i Żydów, więzieniu, torturach i stosie za zbrodnię bezbożnictwa.

„Traktat o tolerancji“ domaga się — jako elementarnego prawa obywatela — prawa do swobody wyznawania i głoszenia wszelkich przekonań religijnych. To właśnie jest owa zasada tolerancji — potępienie przymusu i gwałtu w dziedzinie światopoglądowej. Zwraca się ona przeciw teorii i praktyce kościoła katolickiego, przeciw panującemu pod jego skrzydłami fanatycznemu duchowi nienawiści wyznaniowej:

„Następca świętego Piotra i jego konsystorz nie mogą się mylić — czytamy w „Traktacie“. — Pochwalili, wynieśli pod niebiosa, uświęcili to, co się stało w noc świętego Bartłomieja. A więc to, co się wtedy stało, było nader święte. A więc z dwóch morderców równych sobie pobożnością ten, który by rozpruł brzuchy dwudziestu czterem ciężarnym kobietom hugonockim, powinien być wyniesiony w chwale dwakroć wyżej niż ten, który by rozpruł tylko brzuchów dwanaście (...) Są to osobliwe prawa do chwały wiecznej“ (str. 87).

Przytaczając ogromną ilość przykładów historycznych Wolter wskazuje opłakane skutki wojen religijnych i rozbicia społeczeństwa na nienawidzące się odłamy wyznaniowe. Pietnuje on nie pisane zasady, które stały się od wieków praktyką klerykalnego fanatyzmu: „Wierz w to, w co ja wierzę, a w co ty wierzyć nie możesz; inaczej zginiessz“. Lub też: „Wierz albo cię znienawidzą. Wierz albo wyrządzą ci wszelkie zło, na jakie będą się mogli zdobyć. Potworze, nie wyznajesz mojej religii, nie masz przeto

żadnej religii. Niechże cię mają w ohydzie twoi sąsiedzi, twoje miasto, twoja prowincja“ (str. 48).

Nawołując do tolerancji wyznaniowej „Traktat“ głosi zarazem potępienie nienawiści narodowej, bezsensownego — zdaniem Woltera — wywyższania się jednych narodów ponad inne, niedorzecznej pychy z racji swego urodzenia i zrodzonej z ciemnoty i zabobonu nienawiści rasowej.

Ów postulat tolerancji wyznaniowej, narodowej i rasowej, bez którego „Japończyk nienawidziłby Chińczyka, Chińczyk miałby odrazę do Syjamczyka. Ów prześladowałby Gangarydów, a ci rzuciliby się na mieszkańców Hindustanu“ (str. 48) — zostaje uzupełniony w „Traktacie“ postulatem swobody głoszenia własnych poglądów, swobodnego ścierania się różnych poglądów celem dochodzenia prawdy.

„Ciała nader szanowne — pisze Wolter — domagają się głośno, aby nie pozwalano wwozić do królestwa książek, w których zwalczą się ich poglądy. Nie wiedzą pewnie, że te dwa zdania: „Proszę użyć swojej powagi, aby wzbronić mojemu przeciwnikowi zwalczania moich racji“ albo: „Nie wierzę w sądy, które głoszę“ — są ściśle jednoznaczne“ (str. 11).

Głębokie przekonanie wieku filozofii, że „za każdym razem, ilekroć ludzie mają swobodę dyskusji, tryumfuje w końcu jedynie prawda“, nienawiść do feudalnego administrowania duszami, które rodzi ciemnotę i zezwierzęcenie, dyktują Wolterowi gniewne słowa przeciw tym, którzy chcieliby uzasadniać nietolerancję w dziedzinie myśli rzekomym interesem społecznym. „Niektórzy utrzymują, że... nietolerancja jest konieczna dla szczęścia ludzkości. To oszczerstwo rzucone na naturę ludzką. Jak to? Z chwilą, gdy ludzie odważają się myśleć, zaraz stają się zbrodniarzami?“ (str. 10). I — w innym miejscu — znamienne słowa pod adresem epoki skuteczej więzami klerykalnego dogmatyzmu:

„Poddajcie się kuracji samodzielnego myślenia. Zastanówcie się, jaką korzyść przynosi wam pragnienie panowania nad sumieniami innych. Pójdzie za wami paru głupców, a we wszystkich rozsądnych umysłach wzbudzie wstręt. Jeżeli wierzycie, bylibyście tyranami wymagając od innych, by wierzyli, jak wy. Jeśli zaś nie wierzycie, jesteście potworami, gdy głosicie to, czym gardzicie, i prześladowacie tych, których poglądy w głębi serca podzielacie“ (str. 270).

Wolter domaga się pełnego równouprawnienia w swobodnej wymianie poglądów pomiędzy ludźmi. Wykpiwa on jezuicką taktykę klerykałów, którzy „argumentując“ ogniem i łamaniem kołem podnoszą głos przeciw rzekomej nietolerancji wolnomyślicieli. Albowiem warunkiem triumfu tolerancji, rozumu i wzajemnej miłości ludzi jest nieublagana walka przeciw wszelkim przejawom fanatyzmu i nietolerancji:

„Spróbujcie pozostawić swobodę tej bestii, przestańcie obcinać jej pazury i wylamywać kły, niech zamilknie rozum, tak często nękaną prześladowaniami, a ujrzyte na własne oczy te same okropności, które działały się w minionych stuleciach. Zaródz tego chwastu pozostała; jeśli jej nie zdepczecie, rozpleni się na całą ziemi“ (str. 263).



Jak już była o tym mowa, Wolter nie dostrzega społecznych korzeni nietolerancji, rzeczywistej funkcji kościoła katolickiego jako ideologa feudalizmu, fanatyzmu klerykalnego, ducha nienawiści wyznaniowej, naro-

dowej i rasowej, jako reakcyjnej kontrbroni skazanego na upadek systemu przeciw siłom przyszłości.

Oświeceniowy optymizm racjonalistyczny przepaja głęboka wiara, a na drodze ku szczęściu człowieka stają nierozumne — iły ogarnięte szaleństwem i ludzie bez skrępułów, którzy rozpalają to szaleństwo dla własnych korzyści. Wystarczy, by zasady rozumu i ludzkości zatrmfowały w sercach obywateli, a zmieni się oblicze ziemi. Wiele dopiero lat miało minąć, zanim owo królestwo rozumu, propagowane przez Woltera i jego wiek, okazało się w rzeczywistości królestwem burżuazji, zanim mit zrehabilitowanego hasła wolności, równości i braterstwa rozwiął się w praktyce rządów nowej klasy, która wyzwalaając ludzkość z pęt feudalizmu, zakulała ją w nowe kajdany. Nowa epoka, którą oświecena filozofia zapowiadała jako epokę niezamąconej szczęśliwości, miała — w schyłkowym stadium rządów burżuazji — spotęgować jeszcze ową odrażającą „bezrozumność“ ucisku i pohańbienia człowieka, wojny i „fanatyzmów“ nienawiści rasowych, narodowych i religijnych. Ale wówczas, w połowie XVIII wieku, najlepsze umysły epoki są przekonane, iż „królestwo rozumu“ przekształci świat, w którym ludzie zarzynają się nawzajem z powodu jakiegoś niedorzecznego dogmatu — w kwitnący ogród, uprawiany przez zgodną rzeszę, w którym różnice wiary i przekonań nie stanowią przeszkody dla wspólnego solidarnego dążenia do wzajemnej szczęśliwości.

Wiara ta ożywia również i Woltera, który piętnując zbrodniczą klerykalną reakcję jest przecież głęboko przekonany, iż możliwe jest rozumne urządzenie społeczeństwa w drodze oświeconej decyzji władców, w oparciu o najbardziej wykształconych i światłych spośród elity rządzącej. Wiara ta — wraz z nieufnością i obawą w stosunku do bezrozumnej i niszczycielskiej masy plebejskiej — nadaje postępowej myśli Woltera specyficznie ograniczony charakter. To fakt. Nie ma jednak sensu czynić z tego problemu głównej osi, wokół której ma się obracać ocena „Traktatu o tolerancji“, dokonywana przez dzień dzisiejszy. Zwłaszcza że o wiele więcej skłonni byliśmy dotychczas kontemplować z lekceważącym uśmiechem wyższości owe ograniczenia, wyliczać poprawnie, czego ten wielki pisarz nie rozumiał i czego nie dostrzegał — niż widzieć w jego twórczości to, co z niej pozostało żywe i aktualne dla naszych czasów.

SPRSTOWANIE

W numerze 7—8 (85—86) w tablicy „Liczba mieszkańców“, str. 105 w ostatniej kolumnie zatytułowanej „Miasta liczące 100 tys. i więcej mieszkańców“ wkradły się następujące błędy:

	jest	powinno być
Województwa	118	—
Łódzkie	132.1	118.1
Kieleckie	—,2	132,2
Lubelskie		

T R E Ś C

Stanisław Kuziński — Niektóre dysproporcje sześciolatki w naszym przemyśle	3
--	---

Problemy i dyskusje

Leszek Kołakowski — Intelektualiści a ruch komunistyczny	22
Roman Werfel — O miejsce intelektualistów-komunistów w partii	32
Ryszard Herczyński — Parę tez dotyczących spraw wewnątrzpartyjnych	54
W. Poterański i W. Góra — Kilka uwag w sprawie najnowszej historii Polski	64

*

Żanna Kormanowa — O Ludwiku Waryńskim (24.IX.1856 — 12.II.1889)	77
Z publicystyki Waryńskiego (Filipina Płaskowicka; My i burżuazja)	87

Z międzynarodowego ruchu robotniczego

Kongres związków zawodowych w Brighton (Witold Leder)	99
Kto zdelegalizował Komunistyczną Partię Niemiec	105
Dyskusja przedzjazdowa w partyjnej prasie włoskiej	107

Fakty i liczby

Rzemiosło i przemysł prywatny w okresie Planu 6-letniego	113
--	-----

RECENZJE I BIBLIOGRAFIA

Jan Guranowski — Nad wolterowskim „Traktatem o tolerancji“	118
--	-----

